

Czarnek:
Subwencja w bezpiecznym tunelu

Wolszczak-Derlacz i in.:
Analiza MINIATURY

Szczepaniak:
Porwane czasopisma

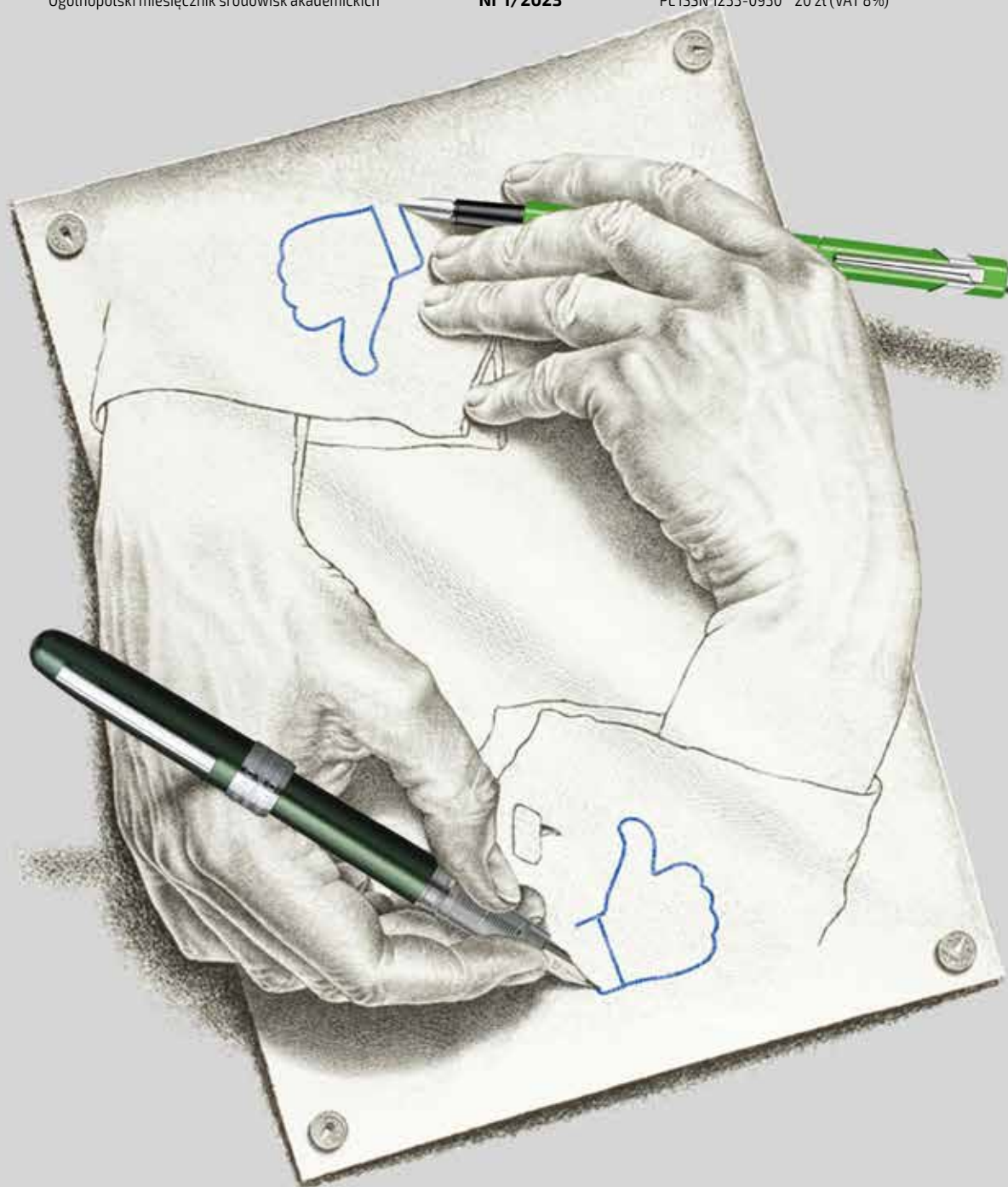
FORUM

AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 1/2023

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Kultura recenzji naukowych Str. 14-17, 23-30

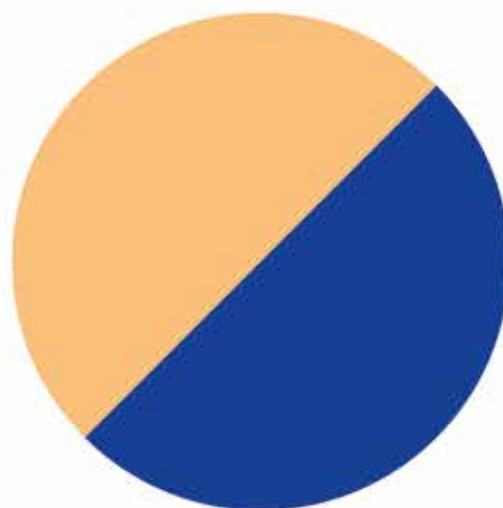
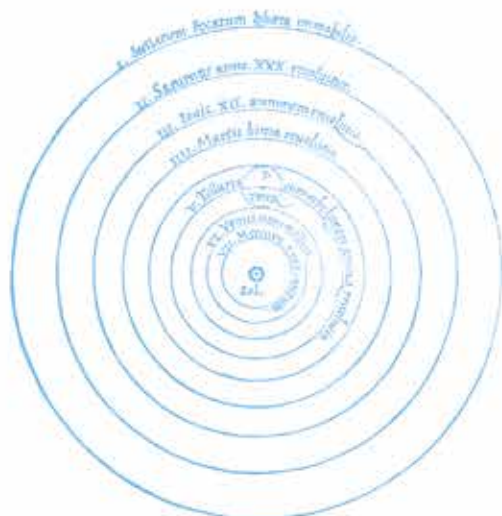
Łazarowicz-Kowalik:
Trudne powroty

Krajka, Sowa:
Nowe obszary filologii

Kreft:
Władza platform

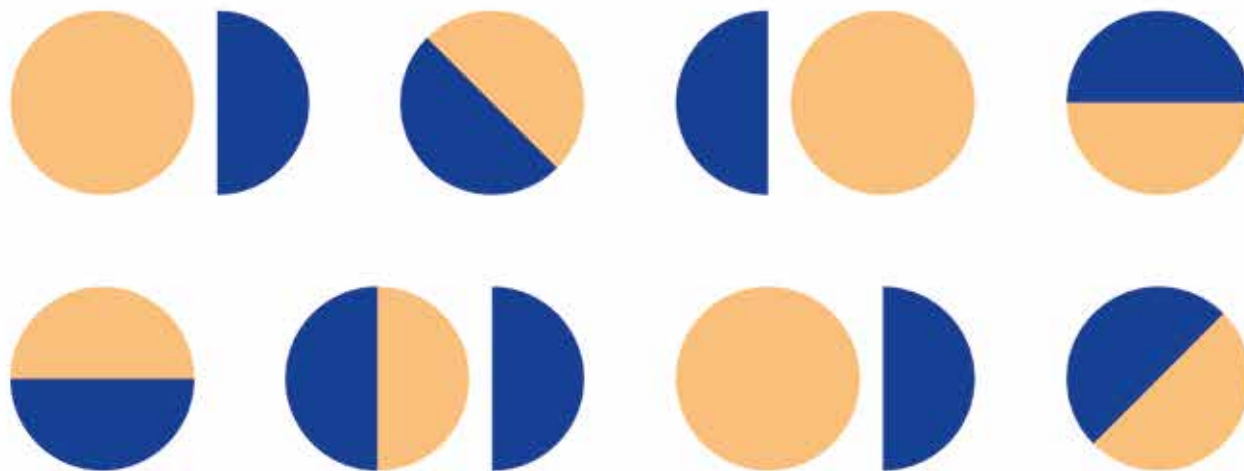


ŚWIATOWY KONGRES KOPERNIKAŃSKI



550-lecie urodzin Mikołaja Kopernika 1473–2023

Inauguracja Kongresu, Toruń, 19.02.2023
Kraków 24–26 maja 2023
Olsztyn 21–24 czerwca 2023
Toruń 11–15 września 2023



→ TORUN@COPERNICUS2023.COM → WWW.COPERNICUS2023.COM

ORGANIZATORZY



Partnerstwo ze Instytutu Ministerstwa Edukacji i Nauki



PARTNERZY CZĘŚCI TORUŃSKIEJ KONGRESU



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Subwencja 2022: większa niż zapowiadano – Piotr Kieraciński	6
Nowa Rada NCN już działa	8
Wyzwania kadencji – Robert Hasterok	8
Pluralizm dziedzinowy i podmiotowy – Karol Dobrzeński	9
Podkarpacie ze szpitalem uniwersyteckim	10
Struktura i wyniki ewaluacji – Sylwester Czopek	11
PAN-owcy na liście 2% – Andrzej Pilc	12
Kosmonauci z wydziału elektrycznego – Marek Kosmulski	12
Etyka sztucznej inteligencji	13
Nowi profesorowie	64

Kultura recenzji naukowych

Rzetelność recenzentów? – Piotr Kieraciński	14
Recenzowanie wniosków grantowych – Andrzej Jajszczyk	14
Mniej wadliwych recenzji – Grzegorz Węgrzyn	16
Łatwiejsze i trudniejsze recenzje – Zbigniew Drozdowicz	17

Materiał sponsorowany

Trzy lata z polską kulturą studencką – Izabela Pastuszko	18
---	----

ROZMOWA FORUM

Powrót do algorytmu – rozmowa z dr. hab. Przemysławem Czarnkiem, ministrem edukacji i nauki	20
---	----

KULTURA RECENZJI NAUKOWYCH

Recenzja naukowa: nieśmiertelnik humanisty – Anna Folta-Rusin	24
Co straciliśmy, co zyskaliśmy? – Grażyna Woroniecka	28

ŻYCIE NAUKOWE

MINIATURA, mały format, duże możliwości – Joanna Golińska-Pilarek, Renata Mazurkiewicz, Anna Strzebońska, Joanna Wolszczak-Derlacz	32
Porwania czasopism – marginalizowany problem? – Jolanta Szczepaniak	38
Praca w Polsce czy za granicą? – Marta Łazarowicz-Kowalik	43
Razem czy osobno? – Zbigniew Drozdowicz	46

ŻYCIE AKADEMICKIE

Quo vadis, philologia? – Jarosław Krajka, Magdalena Sowa	49
---	----

Tkanina nieoczywista – rozmowa z prof. Anną Goebel z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu	53
--	----

Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	58
---	----

Publikuj lub giń

Tylko bez nazwisk – Marek Misiak	59
-------------------------------------	----

Z LABORATORIÓW

Władza platform – Jan Kreft	62
Jak zmienił się polski świat fantastyki – Stanisław Krawczyk	65

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej

Wybitny inżynier – Marcelina Smużewska	69
---	----

Pro publico bono (4)

Opóźniony doktorat i truskawki ze śmietaną – Piotr Hübner	72
--	----

OKOLICE NAUKI

Reportaż naukowy – Magdalena Bajer	74
---------------------------------------	----

Książki

W bólach i chaosie – Bogdan Bernat	77
Zapomniany moderantysta – Tomasz Klusek	77
Dlaczego wszędzie widzimy spiski – Justyna Jakubczyk	78
Jeśli nie koniec świata, to co? – Aneta Zawadzka	78
U progu nowoczesności literackiej – Paweł Bohuszewicz	79
Faust na Mazurach – Zbigniew Chajnowski	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Choroba Morgellonów – Piotr Müldner-Nieckowski	76
---	----

Na marginesach nauki

Produkowanie stopni – Leszek Szaruga	80
---	----

Projekt okładki – Sławomir Makal	
-------------------------------------	--

Nowi wiceprezesi PAN

WARSZAWA Na grudniowej sesji Zgromadzenia Ogólnego PAN wybrano nowych wiceprezesów. Zgłosił ich prof. Marek Konarzewski, który w październiku został nowym sternikiem PAN. Pierwszym wiceprezesem jest prof. Aleksander Welfe (Uniwersytet Łódzki, Szkoła Główna Handlowa), któremu została powierzona misja związana ze stworzeniem nowej ustawy o PAN i piecza nad Wydziałem V Nauk Medycznych. Za współpracę międzynarodową, otoczenie Akademii, a także wydziały: III Nauk



Fot. PAN

Ścisłych i Nauk o Ziemi oraz II Nauk Biologicznych i Rolniczych odpowiada dr hab. Mirosława Ostrowska (Instytut Oceanologii PAN). O relacje z uczelniami i instytucjami oraz Wydział IV Nauk Technicznych zadba prof. Natalia Sobczak (Instytut Metalurgii i Inżynierii Materiałowej PAN). Kreowaniem i umacnianiem wizerunku, promocją PAN, wydawnictwami oraz współpracą z Komisją ds. etyki w nauce i Wydziałem I Nauk Humanistycznych zajmie się prof. Dariusz Jemielniak (Akademia Leona Koźmińskiego).

Michał Klimczyk szefem KR D

WARSZAWA Michał Klimczyk ze Szkoły Doktorskiej Nauk Inżynierjno-Technicznych na Politechnice Rzeszowskiej został czternastym w historii przewodniczącym Krajowej Reprezentacji Doktorantów. Był jedynym kandydatem na to stanowisko. Od początku 2022 r. reprezentuje KR D w RGNiSW. Jest m.in. współautorem propozycji krótkoterminowych wyjazdów zagranicznych jako jednego z wymiarów mobilności akademickiej.



Fot. Kamil Pułteko

Zamierza rekomendować zwiększenie wysokości stypendiów, postuluje finansowanie działalności samorządów doktoranckich oraz wprowadzenie przepisów umożliwiających pobieranie przez osoby kształcące się w szkołach doktorskich zapomóg w zakresie analogicznym do studentów. Wśród priorytetów wymienił m.in. opracowanie wskaźników jakości kształcenia w szkołach doktorskich w sposób odzwierciedlający potrzeby środowiska. W planach ma także rozwiązania zapobiegające nadinterpretacji zakazu zatrudniania doktorantów.

Wśród priorytetów wymienił m.in. opracowanie wskaźników jakości kształcenia w szkołach doktorskich w sposób odzwierciedlający potrzeby środowiska. W planach ma także rozwiązania zapobiegające nadinterpretacji zakazu zatrudniania doktorantów.

Pięć kobiet w radzie

WARSZAWA Dr hab. Renata Ciołek (Uniwersytet Warszawski), prof. Agnieszka Gniazdowska-Piekarska (Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego), dr hab. inż. Agnieszka Jastrzębska (Politechnika Warszawska), prof. Elżbieta Mączyńska-Ziemacka (Szkoła Główna Handlowa) i prof.



Fot. Grzegorz Jakiłowski

Celina M. Olszak (Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach) weszły w skład prezydenckiej Rady ds. Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Innowacji. Wraz z nimi do 18-osobowego gremium powołanego w listopadzie przez prezydenta Andrzeja Dudę dołączył prof. Dariusz Dudek (KUL). Postulat włączenia kobiet w prace rady zgłosił prof. Piotr Wachowiak (SGH) przy poparciu trzech pozostałych rektorów w niej zasiadających. Przewodniczącym rady jest prof. Artur Hugo Świergiel, zootechnik, neurofizjolog, badacz zachowań zwierząt, kierownik Pracowni Fizjologii Behawioru i Stresu na Wydziale Biologii Uniwersytetu Gdańskiego, dyrektor Instytutu Biotechnologii Przemysłu Rolno-Spożywczego im. prof. Wacława Dąbrowskiego – PIB. Jednym z pierwszych zadań stojących przed radą będzie ocena funkcjonowania ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce.

Zmiana w PIWecie

WARSZAWA/PUŁAWY Prof. Stanisław Winiarczyk z Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie został powołany na stanowisko dyrektora Państwowego Instytutu Weterynaryjnego – Państwowego Instytutu Badawczego w Puławach. Jest lekarzem weterynarii, specjalistą w zakresie chorób psów i kotów oraz epizootiologii. Kieruje Katedrą Epizootiologii i Kliniką Chorób Zakaźnych UP. W 2019



Fot. MRBWR

r. został wybrany na wiceprezydenta Europejskiej Federacji Lekarzy Weterynarii (FVE). Trzy lata temu otrzymał prestiżową Nagrodę Chirona dla najlepszego popularyzatora wiedzy weterynaryjnej. PIWet utworzono w 1945 roku jako jednostkę badawczo-rozwojową, nadzorowaną przez ministra rolnictwa. W 2003 r. placówka otrzymała status państwowego instytutu badawczego. Przedmiotem działalności jest prowadzenie i wdrażanie wyników badań naukowych i prac rozwojowych w zakresie ochrony zdrowia zwierząt, profilaktyki i diagnostyki chorób zakaźnych zwierząt, w tym zoonoz, higieny i toksykologii żywności zwierzęcego pochodzenia, higieny pasz i ochrony środowiska.

MIBMiK wkrótce w nowej siedzibie

WARSZAWA Prawie 14 tys. m² powierzchni użytkowej będzie miała nowa siedziba Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. Szacowany koszt inwestycji przekracza 157,2 mln zł.



Fot. Atelier Tektura

Projekt zakłada cztery kondygnacje nadziemne i jedną podziemną. Wejście główne znajdować się będzie od strony ul. Flisa. W części badawczej swoje miejsce znajdzie 20 zespołów, do których dyspozycji będą laboratoria, biura oraz 7 specjalistycznych pracowni aparaturowych. Strefa ogólnodostępna z salami konferencyjnymi (największa o pow. 563 m² będzie mogła być dzielona na dwie mniejsze), salą wystawową oraz pomieszczeniami administracyjnymi i laboratoryjnymi zostanie zlokalizowana

na parterze. Tam też powstanie kwadratowe patio 25×25 m, które na ostatniej kondygnacji będzie powiększone (33,5×33,5 m) i utworzy taras z okrągłym basenem o średnicy 10 m. W podziemiu zostaną zlokalizowane pracownie modeli zwierzęcych.

Farmacja w niepublicznej uczelni

WARSZAWA Akademia Ekonomiczno-Humanistyczna w Warszawie jako pierwsza uczelnia niepubliczna w Polsce uzyskała uprawnienia do prowadzenia kształcenia na kierunku farmacja. Dotąd studia te były jedynie w ofercie publicznych uczelni medycznych. Program kształcenia, opracowany we współpracy z najwyższej klasy specjalistami, obejmuje 11 semestrów, w trakcie których studenci będą uczestniczyć w klasycznych zajęciach, jak: botanika farmaceutyczna, chemia organiczna, bromatologia, farmakokinetyka, biologia molekularna, technologia postaci leku, toksykologia, farmacja kliniczna, prawo farmaceutyczne. Ponadto zostaną wyposażeni w ważną w pracy farmaceuty wiedzę z zakresu medycyny opartej na faktach i kategoryzacji leków, farmakoterapii i informacji o lekach, opieki farmaceutycznej czy też o medycznych wyrobach ortopedycznych i diagnostycznych do samostosowania. Studia będą realizowane na dwóch ścieżkach: polsko- i anglojęzycznej. Część zajęć laboratoryjnych odbywać się będzie we współpracy z Wojskową Akademią Techniczną.

Twórca Copernicus Center nagrodzony

KRAKÓW Ks. prof. Michał Heller, filozof, uczony o światowej sławie, nieustrudzony animator badań naukowych oraz wybitny popularyzator nauki, został laureatem Nagrody im. Erasma i Anny Jerzmanowskich. Otrzymał



Fot. PAU

100 tys. zł. Rada Polskiej Akademii Umiejętności doceniła jego badania nad filozofią nauki, w tym szczególnie matematycznością świata. Jest m.in. twórcą modelu kosmologicznego wykorzystującego geometrię nieprzemianną do opisu zjawisk nielokalnych, które prawdopodobnie występowały w początkowych fazach ewolucji Wszechświata. W 2008 r. utworzył Copernicus Center UJ – miejsce spotkań oraz dialogu przyrodników i humanistów. Powstało jako jednostka wspólna Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II. Od ponad 4 lat jest jednostką pozawydziałową UJ. Na utworzenie CC prof. Heller przeznaczył całą otrzymaną w 2008 r. prestiżową Nagrodę Templetona (1,6 mln dolarów).

Chemiczni medaliści

WARSZAWA Martyna Osada (na fot. z lewej) z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego otrzymała Złoty Medal Chemii 2022. Tematem jej



Fot. Arch. prywatne

pracy dyplomowej były dokładne obliczenia ab initio dla monowodorków metali alkalicznych i metali ziem alkalicznych. Srebrny medal trafił do jej wydziałowej koleżanki Zofii Dziekan (na fot. z prawej),

a brązowy do Pawła Grzybka z Wydziału Chemicznego Politechniki Śląskiej. Konkurs organizowany jest przez Instytut Chemii Fizycznej PAN. W tym roku zgłoszono 43 prace licencjackie lub inżynierskie o znaczeniu poznawczym bądź aplikacyjnym, obejmujące tematykę chemię lub jej pogranicza z biologią i fizyką. Wszyscy finaliści zyskali możliwość odbycia stażu naukowego w Instytucie Chemii Fizycznej PAN oraz bezpłatnego realizowania badań w jego laboratoriach.

Wspomogą odbudowę pałaców

WARSZAWA Rektorzy 6 uczelni artystycznych zadeklarowali współpracę w zakresie odtworzenia dekoracji rzeźbiarskich Pałacu Saskiego i Pałacu Brühla. Elewacje Pałacu Brühla zdobioły w przyziemiu figury bóstw rzymskich autorstwa Pierre'a Coudray'a, zaś na bramie pałacowej stanęły rzeźby stanowiące alegorie „Artes Liberales” dłuta Jana



Fot. T. Toloczko

Chryzostoma Redlera. Pod koniec lat 30. XX wieku fasadę wzbogaciły cztery popiersia projektu Franciszka Strynkiewicza. Całości dopełniały masywne płaskorzeźby z monumentalnym tympanonem i detalem zdobiącym okna i niszę. Nie mniej istotnym elementem przedwojennego programu rzeźbiarskiego były reliefowe płafony na ścianach Pałacu Saskiego. O zachowanie najwyższej dbałości i wierności odtworzenia zdobień tych historycznych budynków zadbają specjaliści z ASP w Warszawie, Krakowie, Katowicach, Łodzi i Wrocławiu oraz Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Zgodnie z ustawą z 2021 r. obiekty zostaną odbudowane według zewnętrznego kształtu architektonicznego, jaki posiadały w przeddzień wybuchu II wojny światowej, która położyła kres ich istnieniu.

Sokół wśród storczyków

ŁÓDŹ Odkryty przez polskich orchidologów w Kolumbii nowy gatunek storczyka będzie nosił nazwę „sokół”. W ten symboliczny sposób, nawiązując do znanej pieśni „Hej, sokoły”, naukowcy postanowili zadedykować kwiat walczącej o wolność Ukrainie. Dr hab. Marta Kolanowska z Uniwersytetu Łódzkiego, która ma na swoim koncie odkrycie już ponad 380 nieznanych wcześniej nauce storczyków i prof. Dariusz Szlachetko z Uniwersytetu Gdańskiego znaleźli *Teuscheria falcon* prawie dwa lata temu w dolinie Sibundoy w południowej Kolumbii. Początkowo nazwę storczyka chcieli wziąć od imienia ukraińskiego prezydenta, lecz nie uzyskali akceptacji od redakcji kilku czasopism naukowych, w których miał być opublikowany artykuł. Ostatecznie zdecydowali się więc na nazwę, która w sposób symboliczny odnosi się do przyjaźni polsko-ukraińskiej. O badaniach nad storczykami pisaliśmy w numerze 4/2022 FA.



Fot. M. Kolanowska

Jeszcze młodszy doktor

GDAŃSK W poprzednim numerze FA pisaliśmy o czworgu najmłodszych doktorów w Polsce. Do grona tego dołączył Wojciech Nazar, który obronił z wyróżnieniem rozprawę doktorską, będąc formalnie studentem, na początku V roku kierunku lekarskiego. Tematyka jego badań obej-



Fot. Paweł Sudara

muje przede wszystkim analizę świadomości społecznej dotyczącej zanieczyszczenia powietrza w Polsce oraz eksploatację zmian zachowań Polaków podczas pandemii COVID-19 (w sumie IF = 34.46, w tym 23.64 jako pierwszy autor). Jest drugą osobą z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, która ukończyła doktorat w trakcie studiów, wcześniej uczynił to Karol Steckiewicz (2021). Przed nimi byli jeszcze – Mateusz Hołda z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego (2017 r.), dziś już profesor (wciąż najmłodszy) oraz Agata Gabrielska z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi (2019). W czerwcu tego roku swój doktorat z sukcesem zakończył Tomasz Grzywa, student Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Poznaliśmy Popularyzatorów Nauki

WARSZAWA Dr Paweł Grzesiowski, pediatra, prezes Fundacji Instytut Profilaktyki Zakażeń, ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej ds. zagrożeń epidemicznych, otrzymał Nagrodę Główną w 18 konkursie Popularyzator Nauki.



Fot. Marcin Obara

W poszczególnych kategoriach triumfowali: dr hab. **Wiktor Kotowski** z Uniwersytetu Warszawskiego (Naukowiec), **Stanisław Łoboziak** z Centrum Nauki Kopernik (Animator), Lubelski Festiwal Nauki (Zespół), **Stowarzyszenie WroSpace** (Instytucja), **Agnieszka Krzemińska** z „Polityki” (Media). Nagrodę im. red. Tomasa Trzczińskiego za wzorcową politykę informacyjną przyznano Instytutowi Biologii Ssaków PAN. Konkurs

organizowany jest od 2005 r. przez serwis Nauka w Polsce Fundacji PAP. W tym roku zwycięzców wyłaniano spośród 84 zgłoszeń.

Zabytki w dobrych rękach

TORUŃ Badaniami różnego rodzaju dzieł sztuki, kompleksową konserwacją i restauracją zabytków, tworzeniem projektów konserwatorskich oraz rozwijaniem nowych metod konserwacji zajmie się nowo powstałe Centrum Badań i Konserwacji Dziedzictwa Kulturowego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Zostało wyposażone w ponad sto urządzeń, m.in.



Fot. Andrzej Romaniuk

mikro-dyfraktometr rentgenowski XRD, przenośny cyfrowy system RTG, mikroskop polaryzacyjny, spektrometr XRF, mikroskop metalograficzny. Na 4 tys. m² ulokowano pięć laboratoriów, w których prowadzone będą: identyfikacja techniki wykonania i występujących w zabytku lub dziele sztuki nawarstwień historycznych, ocena stanu zachowania, określenie właściwości materiałów, przyczyny zniszczeń, badania: pochodzenia, czasu powstania, autentyczności obiektu, materiałów konserwatorskich, w tym badania wytrzymałościowe materiałów i konstrukcji wykorzystywanych w konserwacji i restauracji, badania starzeniowe (m.in. starzenie światłem z symulacją zmiennych warunków pogodowych) wraz z oceną zmian barwy i połysku powierzchni. Budowa i wyposażenie Centrum kosztowała prawie 39 mln zł.

Nagroda za chiralne nanomateriały

WARSZAWA Dr hab. Wiktor Lewandowski z Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego otrzymał Nagrodę Naukową im. Profesora Stefana Pieńkowskiego, przyznawaną od 2004 r. młodym naukowcom za znaczące osiągnięcia naukowe w dziedzinie eksperymentalnej fizyki, astronomii, chemii i biologii. Nagrodzono go za badania rekonfigurowalnych i chiralnych nanomateriałów ciekłokrystalicznych do technologii fotonicznych. Konstruuje on nanomateriały o strukturze podwójnej helisy, będące połączeniem matrycy ciekłokrystalicznej z chemicznie dopasowanymi nanocząstkami metali lub półprzewodników. Przyłączane do matrycy cząstki w skali nano zyskują nowe, unikalne właściwości oddziaływania ze światłem. Metale (np. złoto) efektywniej absorbują światło, natomiast półprzewodniki (fosforek indu z otoczką siarczku cynku) stają się wydajnymi źródłami światła. Zastosowanie struktur chiralnych może też zwiększyć przepustowość przesyłania danych. Nagroda została ustanowiona przez Radę Wydziału Fizyki UW dla upamiętnienia twórcy warszawskiego ośrodka fizyki doświadczalnej.



Fot. Archiwum

Polish Studies na KUL i UMCS

LUBLIN Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej i Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II uruchomią wspólnie nowy kierunek – Polish Studies. Na początku zostanie wyprodukowanych 10 multimedialnych e-kursów tematycznych w języku angielskim, obejmujących zagadnienia z różnych obszarów (m.in. historii Polski, literatury i sztuki polskiej, wkładu polskich uczonych do myśli technicznej i nauki światowej, polskiego dziedzictwa materialnego). Każdy będzie zakończony egzaminem w formie online. Będą odznaczały się innowacyjnością w zakresie zastosowanych technologii (VR, AR, AI, 3D) zgodnie z międzynarodowym standardem Teaching Design. W dalszej perspektywie planowane jest uruchomienie studiów (firmowanych przez KUL i UMCS) prowadzonych na jednej z globalnych platform edukacyjnych – COURSERA, co zapewni im rozpoznawalność na arenie międzynarodowej i dostęp do unikatowych kanałów rekrutacyjnych. Polish Studies skierowane są do środowisk polonijnych oraz zainteresowanej Polską międzynarodowej społeczności.

Artyści pod innym adresem

KRAKÓW Akademia Muzyczna im. Krzysztofa Pendereckiego będzie miała nowy kampus. Kompleks będzie złożony z 10 budynków. Znajdzie się w nich około 100 sal dydaktycznych, sala taneczna, sale prób chóru i orkiestry, a także kilkadziesiąt sal ćwiczeniowych. Odrębną, reprezentacyjną częścią projektowanego zespołu obiektów będzie kompleks sal koncertowych. Najważniejsza z nich to profesjonalna sala koncertowa o światowych parametrach akustycznych z widownią liczącą ok. 500–600 miejsc i pełnowymiarową estradą dla rozbudowanych zespołów instrumentalnych i wokально-instrumentalnych. Do tego powstanie aula kameralna i sala operowo-teatralna. Zaplanowano również aulę organową oraz zaplecze studyjne dla profesjonalnej rejestracji nagrań dźwiękowych i audiowizualnych. Rozciągający się w stronę Wisły teren kampusu zajmie okazały ogród z rzeźbami i różnorodnymi gatunkami drzew – to nawiązanie do pasji patrona uczelni.



Fot. Komor Studio

Szybsza diagnostyka zmutowanych genów

POZNAŃ Naukowcy z Instytutu Genetyki Człowieka PAN opracowali innowacyjną metodę wykrywania genetycznej predyspozycji do agresywnego raka piersi. Opatentowany wynalazek służy do szybkiej i precyzyjnej detekcji najczęstszych mutacji punktowych w genach RECQL i PALB2. Stworzony zestaw diagnostyczny opiera się na zastosowaniu nowatorskiej metody C-HRM (ang. *comparative-high resolution melting*). Wykrywa ona jednocześnie mutacje punktowe i mutacje typu zmiana liczby kopii. Do tej pory wymagało to użycia kosztownych i pracochłonnych analiz. Szybka metoda identyfikacji najczęstszych mutacji w genach naprawy uszkodzeń DNA daje większe możliwości poprawienia skuteczności leczenia nowotworów. Mutacje genów RECQL i PALB2 mogą występować u ok. 1% pacjentek z rakiem piersi i są to zwykle przypadki z wcześniejszym wiekiem zachorowania i gorszym rokowaniem.

Królewska nagroda

WARSZAWA Dominika Rachwał, studentka pielęgniarstwa (II st.) na Uniwersytecie Jagiellońskim – Collegium Medicum, pracująca na co dzień w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie, zwyciężyła w polskiej



edycji konkursu Queen Silvia Nursing Award. Doceniono jej pomysł na zaktywizowanie pacjentów z demencją poprzez zamontowanie przy szpitalnych łóżkach indywidualnych paneli polisensorycznych z różnymi fakturami, kolorami oraz elementami przypominającymi codzienne czynności, np. klawisze telefonu, sztuczne, warzywa, kalendarz. Zadaniem poszczególnych modułów byłoby nie tylko stymulowanie konkretnych umiejętności, ale także redukcja negatywnych emocji. W nagrodę studentka otrzyma stypendium w wysokości 6 tys. euro oraz dyplom od Jej Królewskiej Mości Królowej Szwecji Sylwii. Konkurs organizowany jest od 2013 r. równolegle w siedmiu krajach. W Polsce wzięło w nim już udział ponad 800 uczestników, którzy zgłosili ponad 1200 inicjatyw.

Na styku dźwięku i obrazu

KATOWICE Na terenie kampusu Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach powstaje innowacyjne w skali europejskiej Laboratorium Multimediów, w którym realizowane będą immersyjne wydarzenia z pogranicza sztuk wizualnych i dźwięku. Zostanie ono wyposażone m.in. w pionierski system wielokanałowej emisji dźwięku w domenie 3D oraz system do symulowania akustyki pomieszczeń na żywo, w trakcie koncertów i sesji nagraniowych. W zasobach studia znajduje się bogate instrumentarium muzyczne i eksperymentalne. W planach są rezydencje artystyczne pod okiem twórców przestrzeni oraz projekty, które mają zrewolucjonizować podejście do dźwięku. Miejsce ma służyć jako platforma do wymiany wiedzy o dźwięku i naukowym podejściu do niego, a zarazem być przestrzenią do dzielenia się dobrymi praktykami, łączącą środowiska twórcze, naukowe i biznesowe. Otwarcie przewidziane jest na przełom kwietnia i maja przyszłego roku.

Implanty pomogą szybciej wyzdrowieć

GLIWICE Zespół naukowców z Politechniki Śląskiej opracował technologię otrzymywania powłok na powierzchni kostnych implantów dla zwierząt. Ma to im pomóc w szybszym powrocie do zdrowia. Zastosowano m.in. tzw. plazmowe utlenianie anodowe, dzięki któremu można otrzy-

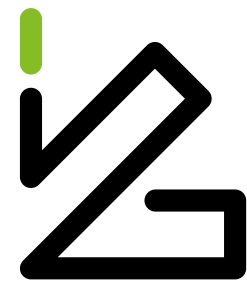


Fot. Maciej Murwil

mać porowatą powłokę ze związkami wapnia, fosforu czy krzemu na powierzchni implantów o różnym rozmiarze i kształcie. Powłoka sprzyja wzrostowi implantu z tkanką kostną. Powoduje też, że implant wszczepiany w organizm zwierzęcy jest znacznie lepiej tolerowany. W opracowanych implantach do utworzenia biodegradowalnej warstwy zawierającej lek wykorzystano polimery, których właściwości pozwoliły na uzyskanie kontrolowanego uwalniania antybiotyków.

Nowe instytuty Łukasiewicza

WARSZAWA Górnośląski Instytut Technologiczny i Warszawski Instytut Technologiczny to dwie nowe jednostki działające od początku roku w strukturach Sieci Badawczej Łukasiewicza. Powstały w wyniku integracji kilku dotychczas istniejących placówek. Łukasiewicz – GIT utworzono z połączenia Instytutu Spawalnictwa, Instytutu Metalurgii Żelaza oraz Instytutu Napędów i Maszyn Elektrycznych KOMEL. Na czele nowego instytutu stoi Adam Zieliński, dotychczasowy dyrektor IMŻ. W stolicy powstał z kolei Łukasiewicz – WIT, w którym swoje działania prowadzą zespoły dotychczas pracujące pod szyldami Instytutu Mechanizacji Budownictwa i Górnictwa Skalnego oraz Instytutu Mechaniki Precyzyjnej. Jednostką kieruje Marcin Kruk, dotychczasowy dyrektor IMBiGS. Dodajmy, że struktury i potencjał Łukasiewicza – Krakowskiego Instytutu Technologicznego zasilił Łukasiewicz – Instytut Techniki i Aparatury Medycznej. Łukasiewicz to jedna z największych sieci badawczych w Europie. Liczy obecnie 22 instytuty naukowe, w których pracuje ponad 7500 osób i działa 440 laboratoriów z blisko 4 tys. urządzeń kluczowej aparatury badawczej.



Łukasiewicz
Sieć Badawcza

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Marcin Behrendt, Monika Chrobak, Katarzyna Skatecka, Małgorzata Staszewska, Joanna Słowińska, Jadwiga Witek, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na Twitterze



Subwencja 2022: większa niż zapowiadano

Pierwszy komunikat na temat wysokości subwencji na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego oraz potencjału badawczego uczelni, instytutów naukowych (PAN, badawczych i Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej) oraz PAU został ogłoszony przez Ministerstwo Edukacji i Nauki 6 maja 2022 r. Inne ministerstwa, którym podlegają uczelnie i instytuty badawcze, też stopniowo podawały informacje na ten temat. Potem pojawiały się kolejne komunikaty o zwiększeniach subwencji, a ostatnie pojawiły się w końcu grudnia 2022 r., np. ministra zdrowia 30 grudnia. Ostatecznie środki na subwencje były w ubiegłym roku znacznie większe, niż zaplanowano w budżecie państwa na rok 2022 i niż to wskazano w pierwszych informacjach o wysokości subwencji, które opisałem w artykule *Subwencje 2022* (FA 6/2022; numer jest otwarty i artykuł można znaleźć na portalu forumakademickie.pl). Stopniowo w drobnych tekstach w FA i na portalu forumakademickie.pl informowaliśmy o kolejnych zwiększeniach środków dla różnych instytucji naukowych. Czas na podsumowanie roku 2022 pod tym właśnie względem.

Na podstawie komunikatu z 6 maja 251 instytucji naukowych nadzorowanych przez MEiN otrzymało na rok 2022 na subwencje ponad 14,6 mld zł (14 644 404 400 zł). Z tego 9 uczelni badawczych – 5 mld zł; 50 innych publicznych uczelni akademickich – 7,5 mld zł, 5 uczelni kościelnych (bez UKSW i ChAT, które są w poprzedniej grupie) – 250 mln zł; 69 instytutów PAN – 746,4 mln zł; MIBMiK – 13,8 mln zł; 66 instytutów badawczych – 350,8 mln zł; 33 publiczne uczelnie zawodowe – 737,1 mln zł; 16 niepublicznych uczelni akademickich – 8,7 mln zł; PAU – 7,7 mln zł i Prawosławne Seminarium Duchowne w Warszawie – 848 tys. zł. Pozostałe ministerstwa nadzorują i finansują działalność 36 uczelni publicznych. Ministerstwo Zdrowia przyznaje subwencje dla 9 „starych” uniwersytetów medycznych, w 2022 r. zaplanowano na nią nieco ponad 1,9 mld. zł. Ministerstwo Dziedzictwa Narodowego na subwencje dla 19 uczelni artystycznych zaplanowało przeznaczyć 685,7 mln zł, Ministerstwo Obrony Narodowej na 5 uczelni wojskowych – 563 mln zł, Ministerstwo Infrastruktury na subwencje dla 2 uczelni morskich – 121,1 mln zł (tu jest ciekawa historia, ponieważ minister zostawia sobie pewną kwotę z tej subwencji – ponad 2 mln zł – w formie rezerwy, która trafiła do uczelni pod koniec roku), a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji na 2 uczelnie – 50,5 mln. zł. Łącznie 5 ministerstw zaplanowało przeznaczyć na subwencje dla 36 podległych im uczelni ok. 3,345 mld zł. Mówiąc krótko, na subwencje dla 287 podmiotów – uczelni publicznych, instytutów PAN i badawczych, uczelni kościelnych i niepublicznych uczelni akademickich – 6 ministerstw planowało przeznaczyć ok. 18 mld zł. (Nie uwzględniłem w tym zestawieniu Ministerstwa Sprawiedliwości i subwencji dla finansowanej przez nie Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości).

Na tym jednak nie skończyły się ubiegłoroczne wydatki na subwencje w szkolnictwie wyższym i nauce. Już w pierwszych komunikatach o wysokości subwencji na podtrzymanie potencjału dydaktycznego i naukowego pojawiły się informacje o podwyżce subwencji, np. w przypadku MEiN wynosiła ona prawie 530 mln zł (3,67%), a 22 maja w kolejnym komunikacie minister poinformował o dodaniu ponad 49 mln zł 10 uczelniom uczestniczącym w konkursie IDUB, z którymi nie podpisano umowy (tak to się nazywa), a potem doszło 136 mln zł (18%) dla państwowych uczelni zawodowych, w końcu 150 mln zł na podwyżki wynagrodzeń dla wszystkich uczelni podległych MEiN. Takich komunikatów do końca roku było jeszcze kilka.

Ostatecznie MEiN wydało na subwencje w 2022 roku prawie 16 mld zł, a dokładnie 15 995,2 mln zł. W tym jest 10,2 mln zł dla 3 uniwersytetów medycznych, zatem dla owych wspomnianych na początku 251 podmiotów było to 15 985 mln zł. Oznacza to, że MEiN zwiększyło subwencję o 1 350,1 mln zł, czyli o 9,2% w stosunku do pierwotnych planów (obligacje omówię na końcu tekstu).

Jarosław Oliwa, dyrektor Departamentu Budżetu i Finansów MEiN, tłumaczy, że sprawa nie jest tak prosta, na jaką wygląda, bowiem dodatkowe środki przeznaczone były na różne cele i nie wszystkie wejdą do podstawy naliczania subwencji na rok 2023. Zwiększenia wchodzące do podstawy naliczenia subwencji na ten rok stanowią ich mniejszą część, a wyniosły 538 931 600 zł. W tym są pieniądze pozwalające na utrzymanie jednolitego kąta wzrostu subwencji (102%), na co ministerstwo przeznaczyło 529 855,8 tys. zł, oraz zwiększenie dla nowopowstałych podmiotów w wysokości 9 075,8 tys. zł. Do podstawy naliczenia subwencji 2023 nie wchodzi natomiast kwota 811 910 000 zł. Była ona przeznaczona dla uczelni, które wzięły udział w konkursie IDUB, z którymi minister nie zawarł umów – to 49 116,3 tys. zł; podmiotów prowadzących szkoły doktorskie – 100 mln zł; instytutów PAN będących w najtrudniejszej sytuacji finansowej – 23,7 mln zł; uczelni, które posiadają wydziały medycyny weterynaryjnej z akredytacją EAEVE – 10 mln zł; uczelni wchodzących do sojuszu Uniwersytetów Europejskich wyłonionych w konkursie KE w roku 2022 – 14 734,7 tys. zł; na podwyższenie wynagrodzeń pracowników uczelni o średnio 4,4% od 1 października 2022 r. – 150 mln tys. zł (rezerwa celowa); dla uczelni zawodowych na wsparcie procesów kształcenia – 136 mln zł (rezerwa celowa); dla uczelni nadzorowanych przez MEiN w związku z rosnącymi kosztami funkcjonowania (uczelnie akademickie) oraz prowadzeniem kształcenia na kierunkach medycznych (uczelnie zawodowe) – 150 mln zł (rezerwa celowa) oraz wynikające z indywidualnych wystąpień instytucji naukowych w trybie art. 368 ust. 8 PSWiN – łącznie 178 329,0 tys. zł, w tym z rezerwy ogólnej i rezerw celowych budżetu państwa 26 550,0 tys. zł.

W przypadku MZ już w pierwszym komunikacie podano informację o wzroście subwencji o 40,1 mln zł (2,1%), potem opublikowano 4 kolejne komunikaty o wzrostach subwencji, ostatni – 30 grudnia. Łącznie przez cały rok 2022 subwencje dla 9 uniwersytetów medycznych podniesiono o ponad 248 mln zł, czyli o 12,9%. Minister infrastruktury pod koniec roku przekazał uczelniom morskim rezerwę, którą wcześniej wydzielił z subwencji i dodał do niej ok. 100 tys. zł. Pod koniec roku 2022 minister obrony narodowej znowelizował swój budżet, dokładając przy okazji niecałe 33 mln zł do subwencji uczelni wojskowych (trzeba jednak pamiętać, że oprócz subwencji dostają one dotację celową na działania związane z obroną narodową, w tym kursy i szkolenia – to ok. 600 mln zł, zatem więcej niż wynosi subwencja). Minister kultury i dziedzictwa narodowego zwiększył subwencję dla 19 uczelni artystycznych o niecałe 7 mln zł. Są one w wyjątkowo trudnej sytuacji na tle innych typów uczelni. Minister spraw wewnętrznych i administracji tylko raz zwiększył subwencję, dzieląc 22 listopada 169 tys. zł po równo między 2 podległe mu uczelnie. Jak wynika z tych danych, istotne zwiększenia subwencji w roku 2022 nastąpiły tylko w MEiN i MZ.

Przyjrzyjmy się najwyższym subwencjom dla instytucji naukowych w 2022 r. Pierwszą dziesiątkę najhojniej uposażonych tworzą największe uczelnie: Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Warszawski, Politechnika Warszawska, Akademia Górniczo-Hutnicza, Uniwer-

syntet im. Adama Mickiewicza, Politechnika Wrocławska, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Uniwersytet Łódzki, Politechnika Śląska i Uniwersytet Wrocławski, czyli 6 uniwersytetów i 4 politechniki, których łączna pierwotna subwencja wynosiła 5 593,8 mln zł, a po zwiększeniu o 324,8 mln zł, wzrosła do 5 918,6 mln zł. Uczelnie te finansuje MEiN. Ich udział w pierwotnej subwencji przyznawanej przez MEiN wyniósł 38,2%, a po zwiększeniach 37% (byłby nieco większy, gdyby odliczyć wspomniane 3 medyczne).

Instytuty PAN otrzymały pierwotną subwencję na poziomie 746 436,2 tys. zł, a po wszystkich zwiększeniach wyniosła ona 838 058,9 tys. zł. Oznacza to, że 69 placówek Akademii dostało o 91,6 mln zł, czyli 12,3% więcej niż początkowo zakładano. Największą placówką naukową PAN jest Instytut Fizyki Jądrowej im. H. Niewodniczańskiego w Krakowie z subwencją na poziomie prawie 60 mln zł. Tylko 3 inne mają subwencję powyżej 30 mln zł, a 2 kolejne się do tej kwoty zbliżają. Subwencje poniżej 2 mln zł mają tylko 2 placówki PAN: Instytut Środowiska Rolniczego i Leśnego (niecałe 2,5 mln zł) oraz Europejskie Regionalne Centrum Ekohydrologii (1,3 mln zł). Największe zwiększenie subwencji w stosunku do jej pierwotnej wysokości, bo o ponad 100% (co oznaczało wzrost o nieco ponad 2 mln zł), otrzymało najmłodsze dziecko PAN – Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych – IMol (co z subwencją 4 mln zł nadal sytuuje go wśród najmniejszych placówek Akademii).

Niewątpliwie największymi beneficjentami zwiększeń była grupa publicznych uczelni zawodowych, których subwencja wzrosła o 213 252 800 zł – z 737 087 800 zł do 950 340 600 zł, czyli bez mała 29%. Do tej beczki miodu jest łyżeczka dziegciu. Przeważająca część zwiększenia, aż 175 991 800 zł, to jednorazowe dodatki, które nie wchodziły do podstawy naliczenia tegorocznej subwencji. Tylko 37 261 000 zł zostanie uwzględnione w algorytmie. Największym beneficjentem tej drugiej części jest Akademia Zamojska, która dostała w tego typu funduszach 7 665 400 zł, najwięcej ze wszystkich PUZ-ów. Także w całkowitym zwiększeniu jest liderem, jeśli brać pod uwagę, jak wzrosła jej subwencja w 2022 roku – z 11 989 700 zł na 23 688 900, czyli o 11 699 200 zł (97,6%). Najwyższy bezwzględny wzrost subwencji odnotowała w tej grupie największa uczelnia zawodowa – Akademia Nauk Stosowanych w Tarnowie. Już pierwotna jej subwencja była najwyższa – 46 819 700 zł, ale po zwiększeniu jest to 61 351 800 zł, czyli o 14 532 100 zł. Jednak w algorytmie naliczania subwencji na rok 2023 zostanie uwzględniona tylko drobna część tej podwyżki – 1 911 000 zł. Jeszcze tylko dwie PUZ miały końcową subwencję większą od 50 mln zł: ANS w Nowym Sączu (ponad 53 mln zł) i Akademia Kaliska (ponad 50 mln zł). Dziesięć uczelni zawodowych miało „kończącą” subwencję niższą niż 20 mln zł. Najniższą otrzymała ANS w Wałczu – 9 mln zł. W pierwszym rozdaniu subwencje poniżej 10 mln zł otrzymały 4 uczelnie z tej grupy, a wałęska ANS miała tylko 6,5 mln zł.

W grupie 16 akademickich uczelni niepublicznych subwencja wzrosła z 8 661 500 zł do 10 275 200 zł, czyli o 18,6% (to znacznie więcej niż średnia MEiN). Jednak byli rekordziści, którzy dalece

Obligacje

Subwencje to nie wszystko. Bardzo duże kwoty trafiły do uczelni publicznych w postaci papierów wartościowych skarbu państwa.

Uczelnie publiczne otrzymały obligacje o wartości niemal 1,6 miliarda złotych (dokładnie 1 585 813 tys. zł), czyli większej niż wynosił wzrost subwencji. Zgodnie z tradycją obligacje o wartości niemal pół miliarda otrzymuje co roku 10 laureatów programu IDUB. W tym roku było to 496 733 tys. zł. Podstawą naliczania wartości przekazanych obligacji dla laureatów konkursu IDUB była subwencja z 2019 roku. Wartość dodatku z tego tytułu miała stanowić 10% tamtej subwencji. Utracono jednak, że w formie obligacji będzie to 11%. Ten system powoduje, że najwięcej środków w tej postaci trafiło na Uniwersytet Jagielloński, który od lat ma najwyższą subwencję i otrzymał obligacje o wartości prawie 85,9 mln zł. Za nim jest UW z 79 mln zł w obligacjach. Najmniejszą wartość w tej puli mają obligacje przekazane Gdańskiemu Uniwersytetowi Medycznemu – 15,7 mln zł.

Pojawiły się jednak w ubiegłym roku dodatkowe obligacje. Najwyższą wartość miały te przekazane na polecenie Prezesa Rady Ministrów na podwyższenie kapitału zasadniczego 69 uczelni. To łącznie niemal miliard złotych (976 080 tys. zł). Największą wartość miały papiery skarbowe przekazane Uniwersytetowi Pedagogicznemu w Krakowie (130 mln zł) i Uniwersytetowi Wrocławskiemu (120 mln zł). Trzecia z kolei uczelnia, Politechnika Gdańska, otrzymała z tej puli obligacje warte 70 mln zł, a czwarta, Śląski Uniwersytet Medyczny, 50 mln zł. Pozostałe 65 uczelni dostało od 3 do 35 mln zł. Minister zdrowia obligacje warte 110 mln zł przekazał na wsparcie kierunków lekarskich 3 uczelniom: po 40 mln zł dla Uniwersytetu Warszawskiego i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II oraz 30 mln zł dla Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Wartości obligacji nie są uwzględniane w podstawie naliczania subwencji w kolejny rok.

przekraczali nie tylko tę średnią, ale i inne najwyższe wzrosty średnie (także z uwzględnieniem uczelni publicznych). Subwencja Akademii Finansów i Biznesu Vistula wzrosła z pierwotnych 137 900 zł do 226 100 zł, czyli o 88 200 zł (63,9%). Akademia WSB powiększyła subwencję z 330 400 do 520 600 zł, czyli o 190 200 zł (57,6%); Uniwersytet SWPS z 2 707 700 do 3 385 200 zł, czyli o 677 500 zł (25%), a Akademia Leona Koźmińskiego z 1 051 400 do 1 304 500 zł, czyli o 253 100 zł (24%). Trzeba od razu dodać, że większość środków przeznaczonych na wzrosty subwencji uczelni niepublicznych miała jednorazowy charakter i nie wejdzie do podstawy naliczania subwencji na ten rok.

Odnajdujemy jeszcze, że o 13%, czyli 1 mln zł, wzrosła subwencja Polskiej Akademii Umiejętności.

Piotr Kieraciński

Uczelnie, które otrzymały najwyższe subwencje w 2022 r.

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	938 117 300,0
Uniwersytet Warszawski	874 195 900,0
Politechnika Warszawska	624 318 300,0
Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	623 663 500,0
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	591 034 200,0
Politechnika Wrocławska	558 388 100,0
Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	443 865 000,0
Uniwersytet Łódzki	431 344 200,0
Uniwersytet Wrocławski	416 856 600,0
Politechnika Śląska	416 794 500,0

Nowa Rada NCN już działa

W połowie grudnia minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek powołał nowych członków Rady Narodowego Centrum Nauki. Nominacje na czteroletnie kadencje otrzymali: dr hab. Justyna Chodkowska-Miszczuk (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu), dr Diana Dajnowicz-Piesiecka (Uniwersytet w Białymstoku), prof. Stanisław Karpiński (Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie), dr hab. inż. Alicja Kazek-Kęsik (Politechnika Śląska), prof. Piotr Kopiec i prof. Mariola Łaguna (oboje Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II), dr hab. inż. Krystian Marszałek (Instytut Biotechnolo-

gii Przemysłu Rolno-Spożywczego im. Prof. W. Dąbrowskiego – PIB), dr hab. Bogusław Przywora (Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. J. Długosza w Częstochowie), ks. prof. Piotr Roszak (UMK), prof. Piotr Skarzyński (Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu w Kąkietanach), dr hab. Bogumił Szady (KUL), prof. Adam Zając (Akademia Wychowania Fizycznego im. J. Kukuczki w Katowicach).

Wybór ten nie przeszedł bez echa w środowisku akademików. Zespół Identyfikujący kandydatów (pod przewodnictwem prof. Andrzeja Jajszczyka) opublikował stanowisko, w którym zauważył,



Fot. NCN

Wyzwania kadencji

Zadania stojące przed Radą NCN przedstawia jej przewodniczący prof. Robert Hasterok.

Zaburzenie proporcji w liczbie członków w poszczególnych obszarach z pewnością będzie rzutowało na funkcjonowanie NCN w taki sposób, że przyjdzie nam doraźnie „łatać” tę nierównowagę. Będzie to jedno z większych wyzwań w tej kadencji. Przed nami także wybór nowego dyrektora (kadencja prof. Zbigniewa Błockiego upływa w marcu – dop. MK). Zależy nam na zwiększeniu różnicowania geograficznego badań finansowanych przez Centrum, ze szczególnym uwzględnieniem polepszenia pozycji małych ośrodków. Na ten moment mapa ta jest dość mocno niesymetryczna z widocznym dużym udziałem kilku największych miast. Z innych ważnych inicjatyw warto wymienić zwiększanie rozpoznawalności agencji wśród grantobiorców z zagranicy, zwiększanie skuteczności w występowaniu o środki europejskie przez naukowców odnoszących sukcesy w naszych konkursach, działania w zakresie poprawy jakości przygo-

towywanych przez naszych ekspertów, a także udoskonalenie procesu rozliczania już zakończonych grantów.

W warunkach wysokiej inflacji i coraz bardziej nieprzystającego do potrzeb budżetu NCN i w połączeniu ze stale rosnącą średnią kwotą finansowania projektu, realnie grozi nam duży spadek współczynnika sukcesu w konkursach. Rzecz jasna, wywoła to zupełnie zrozumiałe niezadowolenie środowiska. Deklaruję otwartość na rozmowy z decydentami. Nie interesują mnie barwy polityczne, jestem w stanie rozmawiać z każdym, byle tylko polska nauka i badania tu i teraz realizowane miały lepsze możliwości finansowania. Być może wizyta ministra Włodzimierza Bernackiego na pierwszym posiedzeniu Rady NCN to zwiastun częstszych, dobrych kontaktów między MEiN a NCN, na które – jako Rada – jesteśmy niezmiennie otwarci (cała rozmowa z prof. R. Hasterokiem na www.forumakademickie.pl).



Fot. NCN

MK

że minister nominował tylko jedną osobę spośród przedstawionych mu 24 propozycji (wśród zgłoszonych było m.in. troje laureatów grantów ERC). Ponadto zwrócono uwagę na zachwianie proporcji w liczbie członków przypisanych do poszczególnych obszarów nauki (HS – 11, NZ – 8, ST – 5). Z kolei Polskie Towarzystwo Fizyczne w liście do szefa resortu domagało się podjęcia kroków, które zapewnią obecność reprezentanta nauk fizycznych (oba stanowiska dostępne na stronie www.forumakademickie.pl).

Nowi członkowie dołączyli do 12 osób, które zasiadają w tym gremium od dwóch lat, a ich kadencja skończy się w 2024 roku. Są to: prof. Krystyna Bartol i prof. Wojciech Dajczak (oboje Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu), prof. Stefan Dziembowski (Uniwersytet Warszawski), dr hab. inż. Krzysztof Fic (Politechnika Poznańska), dr hab. Joanna Golińska-Pilarek (UW), prof. Robert Hasterok (Uniwersytet Śląski), prof. Monika Kaczmarek (Instytut Rozrodu Zwierząt i Badań Żywności PAN w Olsztynie), prof. Grzegorz Karch (Uniwersytet Wrocławski), prof. Barbara Klajnert-Maculewicz (Uniwersytet Łódzki), prof. Bronisław Rudak (Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika), prof. Anetta Undas (Uniwersytet Jagielloński Collegium Medicum), prof. Tomasz Zaleskiewicz (SWPS Uniwersytet).

Na pierwszym posiedzeniu, które odbyło się 30 grudnia z udziałem wiceministra Włodzimierza Bernackiego, wybrano przewodniczącego Rady. Prof. Jacka Kuźnickiego, który zakończył pracę w Radzie NCN, zastąpił na tym stanowisku prof. Robert Hasterok z Wydziału Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Śląskiego. Od 2020 r. jest liderem Zespołu Cytogenetyki i Biologii Molekularnej Roślin w Instytucie Biologii, Biotechnologii i Ochrony Środowiska UŚ. Jego zainteresowania naukowe dotyczą cytogenetyki molekularnej roślin. Specjalizuje się w zakresie wykorzystania techniki fluorescencyjnej hybrydyzacji in situ w badaniach genomu jądrowego. Jest jednym z założycieli Międzynarodowej Inicjatywy Brachypodium.

Do obowiązków Rady NCN należy m.in. określanie priorytetowych obszarów badań podstawowych, warunków przeprowadzania konkursów, jak również ustalanie wysokości środków finansowych przeznaczonych na realizację badań w ramach poszczególnych dyscyplin lub grup dyscyplin. Dokonuje ona także wyboru Zespołów Ekspertów odpowiedzialnych za ocenę wniosków złożonych w konkursach. Kadencja członków trwa 4 lata, przy czym w połowie tego okresu następuje wymiana części składu.

MK

Pluralizm dziedzinowy i podmiotowy

Dr hab. Karol Dobrzeniecki, prof. UMK, przewodniczący Zespołu identyfikującego kandydatów do Rady Narodowego Centrum Nauki, wyjaśnia zasady wyłaniania kandydatów na członków Rady NCN.

Członków Rady NCN powołuje minister ds. nauki. Wieloetapowa procedura ustalania jej składu została precyzyjnie uregulowana przez prawo. Co dwa lata następuje wymiana połowy składu 24-osobowej Rady. Propozycje kandydatów na członków przekazuje ministrowi Zespół identyfikujący powoływany przez tegoż ministra na czteroletnią kadencję. Wskazanie następuje spośród osób zgłoszonych przez uczelnie, instytuty i organizacje reprezentujące środowiska naukowe.

Zostałem członkiem Zespołu Identyfikującego pod sam koniec poprzedniej kadencji w lipcu 2022 r. w związku z powstałym wakatem. Byliśmy zobligowani do tego, by do 14 października 2022 r. sporządzić i przekazać ministrowi listę co najmniej dwudziestu czterech kandydatów na członków Rady spośród zgłoszonych przez środowiska akademickie osób. Na posiedzeniu zespołu w dniu 13 października 2022 wytypowano 24 kandydatów i przekazano ministrowi ich listę.

Kadencja Zespołu identyfikującego, kierowanego przez prof. Andrzeja Jajszczyka, skończyła się 21 listopada 2022 r. Już 24 listopada minister powołał nowy skład zespołu z moim udziałem w roli przewodniczącego. Przekazano nam informację, że minister nie powołał na członków Rady NCN zgłoszonych wcześniej kandydatów. Zgodnie z procedurą oznaczało to, że zespół zobligowany jest, na mocy art. 14 ust. 2 ustawy o NCN, przedstawić nowe kandydaty spośród pozostałych zgłoszonych osób.

Kadencja 12 członków Rady NCN upływała 14 grudnia. Nie pozostało wiele czasu, a NCN bez Rady nie mogłoby skutecznie działać. W trakcie postępowania uczelnie i instytuty naukowe zgło-

siły do Rady NCN 135 osób, jednak niekiedy kilka różnych podmiotów zgłaszało tę samą osobę, a część zgłoszeń nie spełniła wymogów formalnych. Liczba kandydatów, z których zespół prof. Jajszczyka mógł dokonać wskazania, ograniczyła się w istocie do kilkudziesięciu osób, a w przypadku zespołu, którym mi przyszło kierować, była jeszcze krótsza. W kontekście znaczenia NCN dla polskiej nauki zastanawiające jest niewielkie zainteresowanie środowisk naukowych zgłaszaniem kandydatów do Rady NCN. Każda uczelnia i instytut posiadający najwyższą kategorię mógł zgłosić po dwóch kandydatów z każdej dziedziny nauki. W środowisku pojawiły się zarzuty, że osoby powołane przez ministra nie reprezentują wszystkich trzech dziedzin nauki w równych proporcjach. Trzeba sprostować pewne nieporozumienie. Zespół identyfikujący nie działa na podstawie statutu i uchwał NCN określających podział

nauki na panele dziedzinowe. Są to akty wewnętrzne Centrum. Zespół realizuje swoje zadania według kryteriów wskazanych w ustawie o NCN i rozporządzeniu. Zgodnie z prawem powszechnie obowiązującym przy wyborze kandydatów mamy się kierować dorobkiem naukowym kandydata i jego bieżącą aktywnością naukową, zasadami zapewnienia zrównoważonej reprezentacji różnych dziedzin oraz zasadami zapewnienia zrównoważonej reprezentacji różnych środowisk naukowych. Każde z tych kryteriów było dla nas istotne i trzeba było je uwzględnić. Biorąc to wszystko pod uwagę, wskazaliśmy po dwóch kandydatów na każde nieobsadzone miejsce, zachowując pluralizm dziedzinowy i podmiotowy. Spośród tych osób minister dokonał wyboru i powołał członków na wolne stanowiska w Radzie NCN.



Fot. A. Dobrzeniecka

Podkarpacie ze szpitalem uniwersyteckim

Województwo podkarpackie pozostawało do końca ubiegłego roku jedynym, obok świętokrzyskiego, bez uniwersyteckiej placówki medycznej. Z początkiem stycznia to się zmieniło. Podmiotem tworzącym Kliniczny Szpital Wojewódzki nr 1 im. F. Chopina w Rzeszowie został Uniwersytet Rzeszowski, a sam szpital zyskał miano Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego im. F. Chopina. To kolejny krok URz w budowaniu solidnego zaplecza klinicznego dla kierunku lekarskiego i innych kierunków medycznych, a także badań klinicznych w zakresie nauk medycznych.

Fot. URz



ków zmiany organu tworzącego KSW Nr 1. Po audycie prawno-finansowym szpitala senat uczelni wydał pozytywną opinię dotyczącą przejęcia. Pod koniec grudnia 2022 r. władze szpitala i uczelni podpisały porozumienie w tej sprawie.

Jego głównym założeniem jest stworzenie warunków do realizacji zadań dydaktycznych oraz badawczych realizowanych w Kolegium Nauk Medycznych URz, zapewnienie zdolności do wykonywania wyspospecjalistycznych świadczeń medycznych dla mieszkańców województwa podkarpackiego, zapewnienie ich jakości i dostępności oraz rozwój działalności

uczelnia od dekady prowadzi kształcenie na kierunkach medycznych, w tym najbardziej prestiżowym i wymagającym kierunku lekarskim. Współpracuje w tym zakresie z dwoma rzeszowskimi szpitalami klinicznymi. W 2016 r. rozpoczęto rozmowy o przejęciu jednego z nich. Plany pokrzyżowała konsolidacja jednostek podległych samorządowi województwa. Do rozmów powrócono z końcem 2020 roku. W kolejnych miesiącach prowadzone były prace nad ustaleniami dotyczącymi formy i warun-

dydaktycznej i naukowej w oparciu o kadre o najwyższych kompetencjach zawodowych.

KSW nr 1 to najstarszy rzeszowski szpital. Powstał w 1832 roku. Obecnie tworzą go trzy zakłady lecznicze: szpital ogólny, Podkarpackie Centrum Chorób Płuc (pulmonologia) oraz Podkarpackie Centrum Onkologii. W dwóch lokalizacjach znajduje się ponad 730 łóżek, 17 stacjonarnych klinik, 6 oddziałów dziennych i 25 poradni specja-



Fot. URz

listycznych. Szpital zatrudnia ponad 1800 osób, a w ubiegłym roku hospitalizowano tam 41 tys. pacjentów, udzielono 150 tys. porad i wykonano 13 tys. zabiegów. To wiodący szpital onkologiczny na Podkarpaciu, posiada m.in. onkologiczne oddziały zabiegowe, dzienny oddział chemioterapii, zakład radioterapii oraz pracownie diagnostyczne. Prowadzi także Podkarpacki Rejestr Nowotworów, jeden z 16 populacyjnych rejestrów tego rodzaju w całym kraju. Jako jedyny w województwie w ramach funkcjonującej sieci jest kwalifikowany do trzech profili: jako szpital onkologiczny, pulmonologiczny oraz II stopnia.

Łączna kwota zaplanowanych na ten rok inwestycji w KSW nr 1 finansowanych ze środków budżetu województwa, budżetu państwa i funduszy europejskich wynosi 57,5 mln zł. Uniwersytet w for-

mie darowizny otrzymał nieruchomości o łącznej wartości 319,8 mln zł, które będą nadal bezpłatnie użytkowane przez szpital.

Przejęcie szpitala przez uniwersytet otwiera drogę do istotnej rozbudowy placówki. Kilka lat temu Uniwersytet Rzeszowski otrzymał na ten cel od podrzeszowskiej gminy Świlcza działkę o powierzchni przekraczającej 30 ha. W umowie zapisano, że do roku 2026 musi się na niej rozpocząć budowa szpitala. I to jest na razie jedyna pewna data dotycząca tej inwestycji. Uczelnia uzyskała też wstępną deklarację ministra zdrowia o gotowości sfinansowania tej inwestycji. Początkowo szacowano ją na 1,2 miliarda złotych. Teraz, m.in. wskutek inflacji i wzrostu cen w budownictwie, jej koszty są oceniane na blisko 2 mld zł.

(mu, mk)

Struktura i wyniki ewaluacji

Prof. Sylwester Czopek, rektor Uniwersytetu Rzeszowskiego, przekonuje, że zmiany struktury uczelni miały istotny wpływ na wyniki ewaluacyjne dyscyplin w niej uprawianych.

O ewaluacji napisano (w tym na łamach „Forum Akademickiego”) już wiele, ale myślę, że warto przedstawić punkt widzenia Uniwersytetu Rzeszowskiego. Aby to uczynić, powinniśmy się cofnąć do momentu dyskusji o Ustawie 2.0 i nieco później, do jej wdrażania.

Nie byliśmy w tym zakresie entuzjastami i od początku zwracaliśmy uwagę na odbywające się co 4 lata „igrzyska ewaluacyjne”, których skutki mogły okazać się tragiczne dla dalszego funkcjonowania uniwersytetu, bowiem zbyt wiele – finanse, uprawnienia akademickie, kształcenie doktorantów, prowadzenie kierunków studiów – miało zależeć od uzyskanych kategorii naukowych. Myślę, że całe środowisko naukowe nie było jeszcze do takiej rewolucji gotowe. Pogląd ten zyskał potwierdzenie w treści późniejszego rozporządzenia o ewaluacji.

W młodym Uniwersytecie Rzeszowskim, który powstał w 2001 roku, musieliśmy rozwiązać ważny problem, a mianowicie dokonać wyboru struktury uczelni, tak aby z jednej strony przystawała ona do wymogów ustawowych, a z drugiej odpowiadała naszej specyfice, potrzebom i oczekiwaniom. W tym ostatnim zakresie dostrzegliśmy szansę większej i koniecznej integracji trzech podmiotów, które na początku złożyły się na powstanie uniwersytetu: Wyższej Szkoły Pedagogicznej i zamiejscowych jednostek Uniwersytetu Marii-Curie Skłodowskiej w Lublinie oraz Akademii Rolniczej w Krakowie. Po analizach i wielu dyskusjach postanowiono, aby zasadniczą strukturę tworzyły 4 „równoważne” kolegia dziedzinowe nauk humanistycznych, społecznych, przyrodniczych i medycznych i wchodzące w ich skład jednodyscyplinowe instytuty. Te pierwsze miały za zadanie silniejszą integrację, a te drugie rozwój naukowy w obrębie dyscyplin, które zamierzano poddać ewaluacji. W ten sposób powstało 21 instytutów (w nieco późniejszym okresie powołano jeszcze jeden). Jako ich główne zadanie określono rozwój naukowy, z czego wynika prosty wniosek, że dyrektorzy stali się odpowiedzialni za wynik przyszłej oceny. Warto dodać, że za dydaktykę odpowiada pion dziekański w każdym kolegium, co niejako uwolniło „dyrektorskie ręce” od zajmowania się problemami związanymi z kształceniem. Ewidენტna preferencja działań naukowych i realizowana w instytutach poli-



foto: UJR

tyka naukowa (od kadrowej, przez grantową, do organizacyjnej) miały prowadzić do zwiększenia efektywności w zakresie publikacji, współpracy z otoczeniem i zdobywania środków na badania. Jednocześnie powołano w uniwersytecie ogólnouczelniany zespół wspomagający dla konsultowania i wszelkiej pomocy technicznej, niezbędnej w przygotowaniu się do procesu ewaluacyjnego. Istotny był też nadzór prorektorski i rektorski.

Osiągnięty wynik (6 kategorii A, 15 kategorii B+ i tylko 1 B – wg stanu sprzed procesu powtórnej oceny, tzw. odwoławczego) uznaliśmy za satysfakcjonujący. Po przeanalizowaniu poszczególnych dyscyplin w zakresie trzech kryteriów ewaluacyjnych pojawił się jednak pewien niedosyt, ponieważ aż 14 dyscyplin przekroczyło próg jednostki referencyjnej dla kategorii A (taki byłby wynik, gdyby kryterium I było jedynym!). Można zatem stwierdzić, że podjęte w Uniwersytecie Rzeszowskim decyzje i rozwiązania organizacyjne w pełni zdały egzamin, pokazały też obszary, którym powinniśmy poświęcić znacznie więcej uwagi niż dotychczas.

Na koniec kilka ważnych uwag ogólnych. Po pierwsze, aby system ewaluacji był „bezkolizyjny” powinien uwzględniać stabilne (niezmienne) kryteria i zasady. Nie powinno się ich zmieniać w każdym z kolejnych czterolecia. Oczywistym jest, że należy wyciągnąć wnioski z ubiegłorocznej oceny i tak zmienić zasady określone w ministerialnym rozporządzeniu, aby były one akceptowane przez środowisko akademickie jako trwałe i niezmienniane co najmniej w kilku kolejnych ewaluacjach. Po drugie, pojawia się problem „piątego roku”. Ustalanie obecnych ocen trwało ponad rok, co pokazuje jak skomplikowany jest system ewaluacji – od poziomu ocenianych jednostek do ostatecznych decyzji. Jeżeli tak miałyby być nadal, konieczne jest potraktowanie „piątego roku” jako przejściowego między starym a nowym okresem ewaluacji. Uniknęlibyśmy sytuacji, w której (według obecnych zasad) pierwszy okres brany pod uwagę w ocenie jest w pewnym sensie martwy, źle wpływający na rytmiczność prowadzonej działalności naukowej (brak zasad rządzących kolejną parametryzacją w okresie, w którym jedna czwarta jej czasu właśnie minęła).

PAN-owcy na liście 2%

W przedstawionym w FA 12/2022 wykazie 2% najwyżej cytowanych naukowców na świecie znalazło się 1056 badaczy z naszego kraju. Jest ich w sumie 81 500, zatem lista obejmuje ok. 1,3% z nich. W instytutach naukowych PAN (biorę pod uwagę 69 instytutów PAN oraz Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej) zatrudnionych jest 186 polskich naukowców z tej listy, co znaczy, że średnia dla jednostek PAN, w których pracuje 4859 badaczy, wynosi 3,9% i przewyższa trzykrotnie tę dla całego kraju.

Badaczy z listy 2%, zatrudnia 38 jednostek PAN, czyli 54% wszystkich placówek. Najwięcej, bo 16 takich osób, pracuje w Instytucie Farmakologii PAN im. Jerzego Maja, 14 osób zatrudnia Instytut Chemii Fizycznej, 13 Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych, a 11 Instytut Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego. Ponieważ placówki naukowe zatrudniają różne liczby badaczy, przeto te z najwyższą liczbą zatrudnionych mają statystycznie wyższe szanse na to, by więcej ich pracowników znalazło się na liście 2%, dlatego dodatkowo przedstawiłem, jaki odsetek zatrudnionych znalazł się w zestawieniu (liczbę zatrudnionych wzięłem z danych bazy Pol-on/Radon). I tak Instytut Badań Systemowych, Instytut Farmakologii im. J. Maja, Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych, Centrum Astronomiczne im. M. Kopernika oraz Instytut Metalurgii i Inżynierii Materiałowej to jednostki, w których ponad 8% naukowców znajduje się na liście 2%. Dla porównania: instytuty Maxa Plancka, których jest w Niemczech 86, zatrudniają na stanowiskach badawczych 6912 osób, z których 618 znalazło się na liście 2%. To ok. 8,9% wszystkich zatrudnionych. W naszym kraju mamy zatem jednostki

naukowe dorównujące średniej dla sieci IMP, która niewątpliwie jest jedną z najlepszych instytucji naukowych na świecie.

Naukowcy PAN z listy 2% pracują w 36 dyscyplinach nauki (wg bazy Scopus, która używa klasyfikacji ASJC – All Science Journal Classification, moim zdaniem lepszej od używanej w naszej parametryzacji). Przeważa tutaj fizyka stosowana z 28 przedstawicielami instytutów PAN na liście, kolejne miejsca zajmują polimery oraz materiałoznawstwo.

Oczywiste jest, że jednostka naukowa jest tak dobra, jak zatrudnieni w niej naukowcy. Dlatego ważne, by najlepsze placówki właściwie identyfikować i odpowiednio dofinansować. Wydaje się, że w przyszłej ewaluacji należy odchodzić od nieszczęsnego impact factora, na podstawie którego czasopisma dostają odpowiednie liczby punktów do celów ewaluacyjnych, a który jest jednym z gorszych mierników jakości prac naukowych, na korzyść bardziej pro jakościowych wskaźników. Może warto rozważyć wprowadzenie do oceny dyscyplin takich parametrów jak np. liczba osób z listy 2% pracujących w danej dyscyplinie. Można ewentualnie stworzyć własną listę takich badaczy. Inny parametr to liczba zdobytych uznanych nagród, liczba członków PAN czy PAU pracujących w danej dyscyplinie. Jednak dopóki nie przeznaczy się w kraju odpowiednich środków na finansowanie badań i rozwoju (w Niemczech ma to być w roku 2025 3,5% PKB), nie mamy szans na dogonienie światowej czołówki.

Andrzej Piłc, Instytut Farmakologii PAN im. Jerzego Maja i CM UJ, Wydział Nauk o Zdrowiu

Kosmonauci z wydziału elektrycznego

Rozporządzenie Ministra Edukacji i Nauki z dnia 11 października 2022 r. sprawiło wielką frajdę internautom i dziennikarzom, którzy lubią go krytykować, a tym razem rzeczywiście było za co. Powołano nową dziedzinę nauk o rodzinie z dyscypliną o tej samej nazwie. Nie ma w niej samodzielnej kadry naukowej, zaś pierwszy doktorat obroniono w 2018 r. W WoS(R) znalazłem 224 publikacje z polską afiliacją z zakresu „family studies” (0,18% produkcji światowej, w tym odpowiednio 36, 28, 27, 26 i 17 publikacji z lat 22, 21, 20, 19 i 18 obecnego stulecia. Nie jest to imponujący dorobek, zwłaszcza że 135 z tych 224 prac nie posiada zagranicznych współautorów. Dla porównania – prac socjologicznych z polską afiliacją jest w bazie 2273 (0,44% produkcji światowej), czyli 10 razy więcej, a socjologia jest „tylko” dyscypliną i to wcale nie najmocniejszą (w wielu dyscyplinach nasz dorobek przekracza 10 tys. publikacji i 1% produkcji światowej). Przepuszczalnie nowe kierunki studiów z zakresu nauk o rodzinie będą obsługiwane przez naprędcę przekwalifikowanych przedstawicieli różnych dyscyplin, nieposiadających dorobku w nowo utworzonej dziedzinie/dyscyplinie.

Szkodliwość społeczna powoływania nowych dziedzin i dyscyplin naukowych w obszarach, gdzie nie ma publikacji ani naukowców, jest umiarkowana, gdyż jednostki nie muszą ewaluować tych dyscyplin. Prawdziwa katastrofa nadeszła tam, gdzie chyba nikt się jej nie spodziewał, a spowodowana została zmianą nazw (na szczęście nielicznych) dyscyplin. Wyjaśnię to na przykładzie jednej dyscypliny, ale przypuszczalnie analogiczne problemy mają koledzy z innych. Powołana nowym rozporządzeniem dyscyplina automatyka, elektronika, elektrotechnika i technologie kosmiczne (AEETK) zastępuje dyscyplinę automatyka, elektronika i elektrotechnika (AEE),

która została wyszczególniona w rozporządzeniu z 20 września 2018 r., zaś w 2022 r. po upływie vacatio legis (14 dni od 11 października 2022 r.) przestała istnieć.

W nowym rozporządzeniu brak jest przepisów przejściowych (wykonawczych), co utrudnia zakończenie postępowań awansowych wszczętych przed 11 października 2022 r. Takie procedury trwają często parę lat. Rady naukowe znalazły się w patowej sytuacji, gdyż nie przyznano im uprawnień do nadawania stopni naukowych w nowej dyscyplinie (w tym wypadku AEETK), zaś na mocy nowego rozporządzenia stara dyscyplina (w tym wypadku AEE) już nie istnieje. Domniemanie, iżby prawo do nadawania stopni naukowych przechodziło „z dobrodziejstwem inwentarza” na nowe dyscypliny wydaje się nieuprawnione. Ustawodawca mógł to wyartykułować explicite, gdyby taka była jego intencja. Ponadto w składzie większości rad naukowych, które posiadały odpowiednie uprawnienia w „starej” dyscyplinie (w tym wypadku AEE) nie ma specjalistów w „dodanej” poddyscyplinie (w tym wypadku „technologie kosmiczne”), a więc ich kompetencje do nadawania stopni w ten „dodanej” poddyscyplinie są wątpliwe. Rady naukowe mają zatem do wyboru nadawanie stopni w dyscyplinie nieistniejącej lub w takiej, do której nie mają uprawnień, w obu przypadkach narażając się na komplikacje związane z ewentualnym zaskarżeniem lub unieważnieniem tych decyzji. Z drugiej strony, niepodjęcie stosownej decyzji w ustawowym terminie w oczekiwaniu na wydanie przepisów wykonawczych też jest złamaniem prawa. Doszło więc do niecodziennej sytuacji, z którą nie radzą sobie nawet prawnicy, a tym bardziej prości inżynierowie, do niedawna „tylko” elektrycy, a już teraz lub w niedalekiej przyszłości – także kosmonauci.

Dla rad naukowych powstałe zamieszanie to zaledwie kłopot. Prawdziwy dramat przeżywają natomiast doktoranci i habilitanci, którzy po spełnieniu wszystkich ustawowych wymagań nie mogą otrzymać upragnionego stopnia naukowego lub wisi nad nimi widmo unieważnienia stopni już nadanych (prawdopodobnie bezprawnie)

po wejściu w życie nowego rozporządzenia. Cieszyć mogą się zaś kandydaci, którym rady naukowe niedawno odmówiły nadania stopnia – będą mieli podstawy do zaskarżenia niekorzystnych dla siebie decyzji.

Marek Kosmowski, kosmonauta in spe

Etyka sztucznej inteligencji

Pojawiające się jak grzyby po deszczu rozwiązania oparte na algorytmach sztucznej inteligencji każą coraz częściej stawiać pytania o etyczny wymiar tej technologii. Ale czym w ogóle miałyby być etyka AI? Maciej Chojnowski, dyrektor programowy Centrum Etyki Technologii Instytutu Humanites i autor pierwszej w języku polskim popularnonaukowej publikacji poświęconej temu zagadnieniu, wskazuje, że już sformułowanie jednoznacznej definicji sztucznej inteligencji napotyka problemy. Nie inaczej jest z „wyposażaniem” jej wytworów w etykę. W toczony na argumenty batalii zwolenników i przeciwników kodowania moralności w maszynach trudno wytypować zwycięzców, choć podskórnie czuć, że to etyka właśnie, a nie np. prawo, stanowi kierunkowskaz dla dalszego rozwoju technologii. Dobrym tego przykładem jest choćby niezwykle popularny w ostatnim czasie chatbot, którego autorzy już planują wprowadzić zmiany, by ograniczyć wykorzystanie go w nieodpowiednich celach. Dyskutuje się też, dlaczego AI nie poddawać podobnemu postępowaniu etycznemu jak inne badania czy testy. „Przecież to jeden wielki eksperyment społeczny, za który nikt nie odpowiada, jak coś pójdzie nie tak” – to tylko jeden z wielu głosów w tych rozważaniach. Ani regulacje prawne, ani samo zarządzanie technologią nie pomogą w ocenie, które działania są pożądane, abyśmy mogli funkcjonować w lepszym społeczeństwie. Wszystkie te komponenty oddziałują na siebie, ale to właśnie etyka je kształtuje. I nie chodzi tu tylko o praktyczne wskazówki kierowane do projektantów, ale także o krytyczne analizowanie kontekstów, w których sztuczną inteligencję się stosuje, i w efekcie korygowanie niezbędnych elementów. To właśnie dlatego w odniesieniu do AI używa się określenia „etyka stosowana”, różniąc ją od normatywnej (badającej zasady i normy moralne), opisowej (analizującej rzeczywiste funkcjonowanie wartości w społeczeństwie) czy metaetyki (zajmującej się statusem etyki i znaczeniem używanych w niej pojęć).

W 2019 roku pojawiły się, przygotowane na zlecenie Komisji Europejskiej, wytyczne dotyczące godnej zaufania sztucznej inteligencji (trustworthy AI), która – obok zgodności z prawem – ma się opierać na etyce i solidności. Chodzi o zapewnienie, że systemy AI pełnią swoje funkcje w sposób bezpieczny, pewny i niezawodny, a także o środki zapobiegające niezamierzonym negatywnym skutkom ich działania. Solidność dotyczy więc zarówno samych mechanizmów funkcjonowania sztucznej inteligencji, jak i jej wpływu na społeczeństwo. Do podstawowych zasad trustworthy AI zaliczono: zasadę poszanowania autonomii człowieka (interakcja z systemami AI musi zapewniać ludziom możliwość samostanowienia), zasadę zapobiegania szkodom (systemy AI muszą być bezpieczne i pewne), zasadę sprawiedliwości (zarówno w wymiarze materialnym, np. przeciwdziałanie dyskryminacji, jak i proceduralnym, czyli możliwość kwestionowania decyzji podejmowanych przez systemy AI), zasadę możliwości wyjaśnienia (procesy zachodzące w systemach AI muszą być przejrzyste, a ich możliwości i cele komunikowane wprost). Na bazie tych zasad stworzono kluczowe wymogi służące wdrożeniu i osiągnięciu godnej zaufania AI: przewodnia i nadzorczą

rola człowieka; techniczna solidność i bezpieczeństwo; ochrona prywatności i zarządzanie danymi; przejrzystość; różnorodność, niedyskryminacja i sprawiedliwość; dobrostan społeczny i środowiskowy; odpowiedzialność.

Jak zaznacza Chojnowski, projektowanie sztucznej inteligencji zgodnie z wartościami polega na traktowaniu tych wytycznych na równi z innymi wymogami, jak np. poprawność działania czy bezpieczeństwo, i uwzględnianiu ich na każdym etapie projektowania systemu AI: począwszy od specyfikacji, przez szczegółowy rozwój oprogramowania, a skończywszy na testach i ewaluacji. Dodaje przy tym, by na etykę AI patrzeć nie jak na uciążliwy obowiązek, lecz szansę. W końcu już dziś spełnianie wymogów godnej zaufania AI jest rekomendowane składającym wnioski o granty w unijnym programie Horyzont Europa, a w przyszłości stanie się zapewne standardowym wymogiem.

W Polsce temat ten na razie nie znajduje właściwego dla siebie miejsca w przestrzeni publicznej. Nie prowadzi się badań nad odpowiedzialnym rozwojem technologii, w szkołach etyka jest marginalizowana. Tym bardziej cieszy inicjatywa powołania Centrum Etyki Technologii w Instytucie Humanites. To pierwszy w naszym kraju ośrodek orędujący za odpowiedzialnym tworzeniem i stosowaniem innowacji. Powstał z myślą o wdrażaniu etyki AI zarówno w wymiarze metodologicznym, jak i systemowym, oraz umożliwieniu współpracy środowisk naukowych, biznesowych, rządowych i obywatelskich.

MK

Publikację *Etyka sztucznej inteligencji. Wprowadzenie* można pobrać za darmo ze strony www.ethicstech.eu.



Rzetelność recenzentów?

Podajemy problem recenzji naukowych z przekonaniem, że to tylko kolejny przyczynek w tej niezwykle ważnej dyskusji. Na recenzji stoi nauka. Niestety, polskie doświadczenia nie są najlepsze. Boksujemy się z niską jakością recenzji. Nieraz czytając recenzje awansowe natrafiam na pisane pod gotowy schemat wypracowania, wciąż odnoszące się do nieaktualnych kryteriów i odwołujące się do nieistniejących od lat przepisów. To jednak nie jest najgorsze. Najgorsze są recenzje świadomie i celowo nierzetelne. Dwie takie pojawiły się w przewodzie profesorskim prof. Andrzeja Zybortowicza – quasi kabaretowe tekściki, zamiast recenzji. Nie wierzę też w rzetelność lubelskiego superrecenzenta w przewodzie Jerzego Gwiżdżały, który nawet nie odniósł się do zarzutów stawianych kandydatowi we wcześniejszych recenzjach, pominął cały wątek plagiatowy, i ni stąd, ni z owąd nagle napisał wręcz entuzjastyczną ocenę. Wątek fałszowania recenzji pojawił się przy okazji słynnej sprawy kradzieży środków z grantów NCN w środowisku wrocławskich informatyków, w której wątek recenzentki zamieszana była czołówka polskiej informatyki. Co ciekawe, instytucje przyjmujące takie recenzje nie zgłosiły do nich zastrzeżeń. Te ewidentnie sfalszowane „ekspertyzy” zostały dopuszczone do obrotu akademickiego, opłacone, a ich autorzy nadal cieszą się znakomitą renomą w środowisku, jakby nigdy nic się nie stało.

I wątek pozytywny: recenzje czasami działają. Tym razem mam na myśli recenzje wydawnicze. To polski recenzent wychwycił plagiat w artykule zgłoszonym do publikacji w „Postępkach Mikrobiologii”, za czym poszły kontrole innych tekstów trojga autorów tego plagiatu. Znalaziono pięć nierzetelnych artykułów tej spółki autorskiej (czyli recenzenci wcześniejszych jednak nie wyłapali nieuczciwych zapożyczeń...) w tym jednym czasopiśmie. Zostały retraktowane, a sprawę opisał zajmujący się oszustwami naukowymi portal Retraction Watch. Ci współautorzy opublikowali razem wiele prac. Czy inne także wymagają ponownej dogłębnej oceny? Siedem artykułów stało się podstawą doktoratu jednego ze współautorów, obronionego już po retrakcjach. Jego promotorem był współautor plagiatów.

Jak się okazuje zastrzeżenia do jakości recenzji wystąpiły też podczas ewaluacji, a dokładniej - oceny trzeciego kryterium. To właśnie tych ocen dotyczyła ogromna część wniosków o ponowne rozpatrzenie sprawy, a jak informuje minister nauki, większa część została załatwiona pozytywnie. Recenzenci zawiedli?

Pytanie o jakość i wiarygodność recenzji jest szczególnie ważne, bo oto toczy się u nas dyskusja o odejściu od parametrów w ewaluacji nauki na rzecz oceny eksperckiej, czyli recenzji.

Piotr Kieraciński

Recenzowanie wniosków grantowych

Ocena wniosków o finansowanie badań naukowych jest znaczącym wyzwaniem zarówno dla agencji grantowych, jak i samych recenzentów.

Jednym z bardziej wymagających zadań recenzyjnych jest opiniowanie wniosków o finansowanie badań. Ocenie podlega bowiem nie tylko to, co już osiągnięto, ale przede wszystkim to, co dopiero zamierza się zrobić. Zadanie jest szczególnie trudne, gdy mamy do czynienia z badaniami wyprzedzającymi obecny stan wiedzy. Są one obarczone znacznym ryzykiem niepowodzenia, jednak ich sukces daje szansę na znaczny postęp czy wręcz dokonanie przełomu w nauce. Dotyczy to na przykład badań finansowanych przez Europejską Radę ds. Badań Naukowych (ERC), a także, w pewnym stopniu, przez Narodowe Centrum Nauki.

Dobór ekspertów

Kluczem do jakości procesu recenzyjnego jest przede wszystkim wybór odpowiednich recenzentów, zarówno świetnych naukowo, jak i o nieposzlakowanej opinii etycznej. To spore wyzwanie, ponieważ najlepsi eksperci są zwykle bardzo zajęci, a poważne recenzowanie wniosków grantowych wymaga sporo czasu i wysiłku. W przypadku ambitnych propozycji w niektórych dyscyplinach pula potencjalnych opiniodawców jest ograniczona i stąd konieczność sięgania, także w agencjach narodowych, po recenzentów z innych krajów. Nie jest więc przypadkiem, że poważne agencje na całym świecie wymagają pisania wniosków grantowych w międzynarodowym języku nauki, jakim jest język angielski. Zapraszanie do recenzowania ekspertów zza granicy ma tę



dodatkową zaletę, że na ogół całkowicie niezależna opinia od zdających się niekiedy miejscowych układów, a w przypadku projektów z obszaru nauk humanistycznych pozwala także na spojrzenie na propozycję badań z innej perspektywy kulturowej, co w połączeniu z recenzjami z własnego obszaru, umożliwiłoby znacznie pogłębioną ocenę projektu. Moje doświadczenia z NCN wskazują także na to, że naukowcy z zagranicy, opiniujący wnioski, mają świetną okazję zapoznania się z prowadzonymi w Polsce badaniami i poznaniami pracujących w naszym kraju naukowców. Miałem wiele sygnałów ze świata, że odkrycie naszego intelektualnego potencjału było dla nich mile zaskakujące.

Ocena przez zespoły ekspertów

Każdy wniosek o finansowanie badań jest recenzowany przez kilku ekspertów. Niekiedy ich opinie znacząco się różnią. Na ogół nie wynika to ze złej woli czy z braku kompetencji kogoś z recenzentów. Eksperti mają prawo mieć różne opinie, a także czasami może się zdarzyć, że nie zauważą błędów w rozumowaniu wnioskodawcy, nie docenią jego pomysłów czy też któryś z nich ma wiedzę o podobnych badaniach prowadzonych w innym miejscu na świecie. Decydowanie wtedy o przyznaniu grantu na podstawie uśredniania ocen nie prowadzi na ogół do niczego dobrego. Eksperti muszą po prostu podyskutować i ustalić wspólną opinię. Stąd pomysł organizowania paneli ekspertów wspól-

nie oceniających wnioski. Tego typu debaty są szczególnie ważne w przypadku wniosków dotyczących badań interdyscyplinarnych.

Panele organizuje się wokół pewnej tematyki, obejmującej zazwyczaj kilka zbliżonych dyscyplin. Przykładowo, cały obszar nauki jest podzielony w NCN na 26 paneli, a w ERC na 27. Ze względów praktycznych liczba ekspertów w jednym panelu dyscyplinowym jest ograniczona do kilkunastu osób, a każdy z paneli ocenia kilkadziesiąt bądź nawet ponad sto wniosków grantowych zgłoszonych w jednym konkursie. Ponieważ nierealne byłoby wymaganie, by kilkunastu ekspertów zasiadających w jednym panelu było wybitnymi ekspertami w tematyce wszystkich zgłoszonych projektów, najczęściej stosuje się ocenę dwuetapową. W pierwszym etapie panel dokonuje wstępnej selekcji na podstawie pierwszej, dosyć ogólnej części aplikacji. Wnioski, które dostały się do drugiego etapu oceny są wysyłane do bardziej wyspecjalizowanych ekspertów, potrafiących wnikliwie ocenić szczegółowy opis projektu badawczego. Ich recenzje otrzymują eksperci panelowi, którzy na swoim kolejnym posiedzeniu, poprzedzonym często rozmową z naukowcem ubiegającym się o grant, podejmują ostateczną decyzję o wyborze projektów do finansowania. Paneliści w trakcie oceny są niekiedy zmuszeni do zignorowania niektórych recenzji bądź ich części, gdy uznają je za niekompetentne bądź napisane w złej wierze.

Kryteria oceny

Kryteria brane pod uwagę przez recenzentów wniosków o finansowanie badań są odmienne w różnych agencjach grantowych. W przypadku badań, jakie finansują ERC czy NCN ocenie podlega zarówno sam pomysł badawczy, jak i potencjał intelektualny głównego wykonawcy, gwarantujący realizację przedstawionego projektu.

W ERC eksperci powinni ocenić czy pomysł badawczy jest nowatorski, ambitny, mający szansę na dokonanie przełomu bądź na otwarcie nowej ścieżki w nauce. W NCN te wymagania są, siłą rzeczy, nieco łagodniejsze, ale i tutaj projekty banalne, mało oryginalne bądź będące prostą kontynuacją wcześniejszych dociekań, nawet zakończonych sukcesem, mają małe szanse akceptacji. Ekspersi powinni dopuścić pewien poziom ryzyka niepowodzenia proponowanych badań, ale ryzyko to powinno być utrzymane w racjonalnych granicach. Recenzenci oceniają również klarowność celów badawczych i metody, jakimi mają być prowadzone badania. Ich zadaniem jest także ocena tego, czy szerokość proponowanych badań nie jest nadmierna bądź zbyt ograniczona.

Jeżeli chodzi o ocenę samego badacza, który ma realizować projekt, liczy się głównie jego (bądź jej) potencjał intelektualny i kreatywność. Ocenia się to przede wszystkim na podstawie dorobku naukowego, przy czym ocena ta ma charakter jakościowy. Ekspersi mają obowiązek stwierdzić, czy na danym etapie rozwoju naukowego główny wykonawca opublikował prace wnoszące coś istotnego do nauki światowej. Nie liczy się liczba opublikowanych prac, ale zawartość tych najistotniejszych. To znaczące wymaganie w stosunku do eksperta, który musi zapoznać się z treścią kluczowych artykułów i ocenić ich wpływ na rozwój nauki, w tym na prace innych naukowców. W przypadku humanistów ważne są także monografie i ich oddziaływanie. Recenzenci nie powinni kierować się miejscem opublikowania pracy, a jej zawartością. Niemniej, opublikowanie pracy w znakomitym czasopiśmie czy prezentacji jej na renomowanej konferencji nie tylko zwiększa zasięg i tym samym oddziaływanie danej pracy, ale także, ze względu na solidny proces recenzyjny, zwiększa jej wiarygodność.

Ekspersi nie powinni kierować się w ocenie wniosków miejscem, skąd pochodzi główny wykonawca i gdzie zamierza wykonywać badania. W ERC jest to wręcz zakazane. Jedynym wyjątkiem jest możliwość wskazania przez recenzenta, że jego zdaniem, danych badań nie da się w proponowanej jednostce po prostu wykonać, na przykład z powodu braku specjalistycznej aparatury. Jakkolwiek formalnie większość agencji grantowych nie wymaga od ekspertów oceny dotychczasowo-

wej mobilności naukowej głównego wykonawcy, fakt prowadzonych z sukcesem badań naukowych poza jednostką macierzystą pozytywnie wpływa na jego wizerunek naukowy, a tym samym wskazuje na większe szanse realizacji zgłaszanego projektu badawczego.

W ocenie głównego wykonawcy liczy się jego bądź jej doskonałość naukowa. Ale w niektórych agencjach grantowych bierze się także pod uwagę inne, dodatkowe kryteria. Delikatną i kontrowersyjną sprawą jest możliwość uwzględniania pozanaukowych osiągnięć wnioskodawców. Na przykład czy fakt, że ktoś przez ostatnich kilka lat był dziekanem wydziału, służąc w ten sposób społeczności naukowej, powinien wpływać na złagodzenie wymagań dotyczących dorobku publikacyjnego w ostatnich latach? Wiadomo, że duże obowiązki administracyjne odbijają się na ilościowym dorobku wnioskodawcy.

Jest także oczywiste, że recenzent nie powinien kierować się w swojej ocenie takimi czynnikami jak płeć wnioskodawcy, kraj pochodzenia, orientacja seksualna czy wyznanie. Agencje grantowe dbają także, by unikać konfliktu interesów, wyłączając z oceniania ekspertów pracujących w tej samej jednostce naukowej co wnioskodawca, wspólnie prowadzących badania czy też w inny sposób, na przykład rodzinny, powiązanych z ocenianym.

Problem jawności

Ogólnie przyjętą zasadą w agencjach grantowych jest ujawnianie danych ekspertów oceniających konkretne wnioski. Ułatwia to szczerze formułowanie opinii przez recenzentów. W przeciwnym wypadku trudno sobie wyobrazić w naszym nieidealnym świecie, że na przykład młody ekspert tuż przed habilitacją napisze rzetelną recenzję słabego wniosku grantowego jego potencjalnego recenzenta w postępowaniu habilitacyjnym. Zarzut braku transparentności jest w tym przypadku absurdalny. Ujawnianie nazwisk recenzentów szybko doprowadziłoby do znanej nam z przeszłości sytuacji, w której odpowiedzialny proces wyboru najlepszych wniosków do finansowania zamienia się w grę układów i podział łupów przez wąskie grono wpływowych graczy, przede wszystkim kosztem młodych badaczy znajdujących się poza układami. Inną sprawą jest ujawnianie zbiorczej listy ekspertów oceniających wnioski, bez przypisania do konkretnych projektów, już po ogłoszeniu wyników konkursu. Pozwala to na ocenę przez całą społeczność naukową jakości recenzentów zapraszanych przez agencję grantową.

Dobrym zwyczajem agencji jest przekazywanie wnioskodawcom uwag i opinii recenzentów. Zdarza się, że uwagi te bywają lekko redagowane przez pracowników agencji, którzy usuwają pojawiające się niekiedy niegrzeczne czy niezręczne sformułowania opiniodawców.

Odwołania od wyników oceny

Praktycznie wszystkie agencje grantowe muszą mierzyć się z odwołaniami od wyników oceny. Nie ma wątpliwości, że takie odwołania powinny być brane pod uwagę, gdy wskazują na ewidentne błędy formalne w procesie oceny, co oczywiście niekiedy może się zdarzyć. Uwzględniane są także odwołania wskazujące na błędy w recenzjach, które mogły wpłynąć na ostateczną ocenę danego projektu. Zajmują się tym zespoły odwoławcze. Nie dopuszcza się natomiast możliwości polemiki między wnioskodawcami i ekspertami. Przy dużych liczbach wniosków napływających do agencji grantowych taka możliwość doprowadziłaby do kompletnego paraliżu agencji.

Ocena wniosków o finansowanie projektów badawczych jest dużym wyzwaniem zarówno dla agencji grantowych, jak i dla recenzentów. Jeszcze trudniejsza jest ocena projektów konsorcyjnych, dotyczących badań stosowanych, szczególnie, gdy uczestniczą w nich nie tylko podmioty naukowe.

Prof. Andrzej Jajszczyk był pierwszym dyrektorem NCN i wiceprzewodniczącym ERC.

Mniej wadliwych recenzji

Recenzje odgrywają kluczową rolę w procedurach nadawania stopni i tytułów naukowych. To na ich podstawie w głównej mierze odpowiednie gremia – podmioty doktoryzujące i habilitujące w przypadku nadawania odpowiednio stopnia doktora i doktora habilitowanego oraz Rada Doskonałości Naukowej (RDN) w przypadku opiniowania wniosków o tytuł profesora – podejmują decyzje. Są one bowiem, a przynajmniej powinny być, opiniami najwyższej klasy ekspertów w danej specjalności naukowej. Niemniej, tak jak w każdej sferze życia, są recenzje znakomite, podkreślające walory danej pracy czy osiągnięć naukowych oraz wskazujących na niedociągnięcia lub słabe strony, jak również recenzje niewiele wnoszące do oceny danego wniosku.

Jakie są największe problemy z recenzjami wniosków na stopnie i tytuły naukowe? Po pierwsze zdarzają się recenzje zdawkowe, praktycznie nie oceniające prac naukowych albo osiągnięć kandydatów, a jedynie zawierające streszczenie faktów, które i tak są zawarte czy to w rozprawie doktorskiej czy materiałach załączonych do wniosku o stopień doktora habilitowanego albo tytuł profesora, oraz kończące się pozytywną albo negatywną konkluzją. W zasadzie nie wiadomo wtedy, z czego ta konkluzja wynika, bo recenzent nie podaje żadnych argumentów, dlaczego uważa ocenianą aplikację za zasadną bądź niezasadną, a tylko przedstawia arbitralną konkluzję, nie popartą rzetelną analizą i opartą na merytorycznych argumentach oceną. Takie recenzje są mało przydatne dla gremiów decydujących o nadaniu stopnia albo tytułu, gdyż nie wnoszą praktycznie nic istotnego poza potwierdzeniem faktów i tak znanych ze złożonych wraz z wnioskiem materiałów.

Drugi problem to opieranie się w recenzjach głównie na kryteriach ilościowych i bibliometrycznych. Zdarza się bowiem, że „eksperci” nie dokonują oceny merytorycznej dzieł bądź osiągnięć naukowych kandydatów, a swoje konkluzje uzasadniają różnymi danymi ilościowymi i współczynnikami, takimi jak liczba publikacji, sumaryczny Impact Factor czasopism, w których ukazały się artykuły kandydatów, liczba cytowań tych publikacji, Indeks Hirscha itd. Takie recenzje są bezwartościowe dla oceny wniosków o stopnie i tytuły naukowe. Nie trzeba być żadnym ekspertem, aby takie wartości liczbowe policzyć albo wręcz przepisać z materiałów zawartych we wnioskach. To zapewne szybciej i lepiej może zrobić bez problemu każdy pracownik dowolnego biura i nie potrzeba do tego profesorów ani żadnych ekspertów. Co więcej, zapewne równie dobrze takie rachunki wykonałoby dziecko ze szkoły podstawowej. Na czymś takim nie możemy opierać oceny wniosków awansowanych w nauce! Także bezużyteczne jest ocenianie w jakich czasopismach ukazały się publikacje kandydatów i jakie te czasopisma mają wskaźniki, a także przez jakie wydawnictwo publikowane jest dane czasopismo. Przecież ani podmioty doktoryzujące czy habilitujące, ani RDN nie są powołane do oceny jakości czasopism i wydawnictw naukowych, tylko do rozpatrywania wniosków o stopnie i tytuły naukowe. A te można rzetelnie ocenić tylko na podstawie szczegółowego zapoznania się z całością osiągnięć naukowych kandydatów i eksperckiej oceny wkładu tych osiągnięć do nauki. Do tego właśnie potrzebujemy ekspertów-profesorów, gdyż tylko oni są w stanie merytorycznie ocenić wartość naukową prac z danej specjalności. Od recenzentów oczekujemy zatem zapoznania się z przesłanymi materiałami naukowymi i dokonania oceny eksperckiej (a nie parametrycznej – którą można zlecić każdej osobie nie znającej się merytorycznie na danej specjalności naukowej) ich wartości.



Trzeci problem, dotyczący wniosków osób prowadzących badania w dyscyplinach, w których ogromna większość publikacji ma charakter prac zespołowych, to ocenianie wartości samych artykułów i innych dzieł naukowych, bez uwzględniania wkładu kandydatów do stopni lub tytułów. W tym przypadku bardzo ważne jest określenie, jaki był udział tych kandydatów w danych osiągnięciach. Czy był to udział wiodący, czy pomocniczy, a może tylko przyczynkowy? Obok oceny wartości samych dzieł naukowych, kluczowe jest przecież określenie tego, co kandydaci do awansów wnieśli do nauki, a nie ich koledzy i koleżanki – współautorzy publikacji.

Wreszcie czwarty problem to niezapoznanie się recenzentów z aktualnymi wymaganiami jakie obowiązują przy nadawaniu stopni i tytułów. Czasami recenzenci powołują się w swoich ocenach na nieistniejące już kryteria, które obowiązywały pewien czas temu (zapewne gdy recenzenci sami starali się o stopnie i tytuły), ale zostały zastąpione innymi, w wyniku wprowadzania nowych przepisów. Takie recenzje często są mylące, gdyż albo nie biorą pod uwagę istnienia pewnych wymagań, które recenzent zupełnie pominął, albo skupiają się na ewaluacji już nieistniejących wymagań.

RDN wychodzi naprzeciw tym problemom i muszę powiedzieć, że odnosi w tym względzie pewne sukcesy, przejawiające się w zmniejszeniu się odsetka niewłaściwie przygotowanych recenzji. Przede wszystkim opracowane zostały poradniki dotyczące procedowania wniosków habilitacyjnych i profesorskich, dostępne na stronach internetowych RDN.

Można tam znaleźć kompleksowe informacje o tym, jaka jest rola recenzji, jak należy przygotowywać recenzje w postępowaniach doktorskich, habilitacyjnych oraz w sprawie nadania tytułu profesora, jakie są dobre praktyki w tym względzie itd. W przypadku wniosków o tytuł profesora, rozpatrywanych obecnie wyłączenie przez RDN, do każdej prośby o recenzję załącza też proponowany formularz recenzji, który wskazuje, na jakie pytania powinien recenzent odpowiedzieć i w zakresie jakich kryteriów powinien oceniać wnioski, co powinien w recenzji uwzględnić. Korzystanie z tego formularza nie jest obligatoryjne, ale z pewnością może być pomocne. Wreszcie, do każdej prośby o recenzję dołączana jest dokładna instrukcja mówiąca, jakie są oczekiwania od recenzentów, jak recenzja powinna być sporządzona. Zachęcam wszystkich recenzentów do zapoznania się z tymi informacjami – niekiedy do RDN recenzenci zwracają się z pytaniami, na które odpowiedzi znajdują się wprost w przesłanych wraz z umową o wykonanie recenzji materiałach.

Widzimy znaczne zmniejszenie się liczby recenzji, które RDN zwraca recenzentom do poprawy, z powodu nie spełniania odpowiednich standardów lub wykrytych braków. W roku 2022 na 2648 recenzji wykonanych na zlecenie RDN w związku z postępowaniami awansowymi zwróconych do poprawy było 58 (czyli nieco ponad 2%), podczas gdy w poprzednich latach nieprawidłowo sporządzonych recenzji było znacznie więcej (szacunkowo 2-3-krotnie). Nie wiemy niestety w RDN, jak duża liczba nieprawidłowo sporządzonych recenzji zdarza się w postępowaniach doktorskich i habilitacyjnych, gdyż przeprowadzają je podmioty doktorskie i habilitacyjne (czyli uczelnie i instytuty), a nie mają one obowiązku informowania RDN o ich przebiegu. Do Rady trafiają jedynie odwołania od negatywnych decyzji poszczególnych ciał kolegialnych.

Grzegorz Węgrzyn, przewodniczący Rady Doskonałości Naukowej

Łatwiejsze i trudniejsze recenzje

To, co dla jednych jest łatwe, dla innych bywa trudne w recenzowaniu. Wiele zależy nie tylko od tego, kto ocenia, ale także od tego, co jest recenzowane. Chciałbym powiedzieć parę słów o ocenach w procedurach awansowych, w których brałem udział bądź to jako jeden z recenzentów, bądź też w roli członka komisji habilitacyjnej. Daleko mi pod tym względem do rekordzistów, którzy mają na swoim koncie ponad 100 takich recenzji (ich wykaz pojawił się w swoim czasie w internecie). Procedur awansowych z moim udziałem uzbierało się przez kilkadziesiąt lat funkcjonowania jako profesora tytularnego na tyle dużo, abym czuł się uprawniony do sformułowania kilku uwag na temat okoliczności, które sprawiają, że recenzowanie raz jest łatwiejsze, natomiast innym razem trudniejsze.

Stosunkowo najłatwiej przychodziło mi napisanie recenzji pozytywnych w sytuacji, gdy osoba ubiegająca się o stopień doktora habilitowanego lub tytuł profesora miała dokonania, które zadziwiały taką oryginalnością i śmiałością w podejmowaniu trudnych problemów, że sam raczej nie ośmieliłbym się ich podjąć. Jeśli do tego dochodziła gruntowna znajomość fachowej literatury w różnych językach oraz jej krytyczne wykorzystanie, to główna trudność polegała na tym, aby nie przesłodzić recenzji. W końcu jakieś „ale” można znaleźć nawet w znakomitych dokonaniach naukowych, a nie wskazanie ich w recenzji może rodzić podejrzenie, że recenzent albo niezbyt uważnie zapoznał się z dorobkiem, albo wyświadcza komuś koleżeńską przysługę. Można zwykle mieć niemal pewność, że wskaże je któryś z pozostałych recenzentów. Z ponadprzeciętnymi dorobkami spotykałem się jednak rzadko. Co więcej, w miarę upływu czasu do mojej oceny trafiało coraz mniej znakomitych osiągnięć naukowych. Związane to było zapewne w jakimś mierze z tym, że zyskałem opinię dosyć surowego recenzenta, a do takich kieruje się głównie wnioski, które już na wczesnych etapach procedury budzą zastrzeżenia. Jeśli zastrzeżenia budziła również obiektywność sformułowanych na jej późniejszych etapach opinii recenzentów, to pojawiała się wręcz konieczność powołania superrecenzenta, który chce i potrafi napisać ekspertyzę, w której przedstawione zostaną w miarę obiektywnie „za” i „przeciw”.



Foto: Jarek Szymonowicz

Takie recenzje pojawiają się w odwołaniach od decyzji podejmowanych przez jednostki uprawnione do nadawania stopni i tytułów. Są one najtrudniejsze do napisania. Ocenie podlegają w nich bowiem nie tylko osiągnięcia kandydatów do awansu, ale także poprawność dotychczasowej procedury oraz zasadność sformułowanych zastrzeżeń – nie tylko przez recenzentów, ale także przez członków rad naukowych mających uprawnienia do ich nadawania lub (jak w przypadku tytułu profesora) opiniowania zasadności wniosku o ich nadanie. Kilkakrotnie występowałem w roli superrecenzenta. Każdy z tych przypadków był inny. Jednak o żaden z nich nie był łatwy. Stosunkowo najłatwiejszy do zaopiniowania był ten, w którym kandydat do tytułu profesora swoje odwołanie opierał nie tylko na rozbieżności opinii recenzentów, ale także na uchybieniach proceduralnych. W swojej opinii podzieliłem część zastrzeżeń recenzentów, którzy napisali negatywne opinie, a uchybienia formalne uznałem za mało istotne dla procedowania. Z podanej na stronie internetowej Rady

Doskonałości Naukowej informacji dowiedziałem się, że podobną opinię sformułowali również pozostali eksperci. Znacznie trudniejszy do zaopiniowania był przypadek kandydatki do stopnia doktora habilitowanego, która potrafiła wskazać nie tyle nawet bezzasadność niektórych ze zgłoszonych przez recenzentów zastrzeżeń, co ich sformułowanie, które nie ma umocowania w regulacjach prawnych. Podzieliłem w jakimś mierze jej opinię. Jednak równocześnie nie znalazłem podstaw do stwierdzenia, że jej osiągnięcia naukowe spełniają obowiązujący wymóg wniesienia istotnego wkładu do danej dyscypliny.

Kandydatom do stopnia doktora habilitowanego chciałbym przy okazji przypomnieć, że spełnieniem tego wymogu nie jest ani streszczenie czyichś poglądów, ani też ich zestawienie ze streszczonymi poglądami wielu różnych filozofów i uczonych. Wprawdzie w miarę poprawny prezentyzm jest oczekiwany, ale na zajęciach dydaktycznych ze studentami, a i wtedy przydałoby się trochę krytycyzmu wykładowcy.

Zbigniew Drozdowicz,
prof. filozofii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza



Trzy lata z polską kulturą studencką

Podążając za myślą Ireny Wojnar, która pisze, że „kulturę pojmujemy dziś nie tylko jako dziedzictwo, uniwersum twórczych dokonań ludzkości w dziedzinie nauki i sztuki, ale za pomocą tego terminu określamy humanistyczną jakość ludzkich działań i sposobu życia” (I. Wojnar, *Aktualne procesy edukacji i kultury w Polsce i na świecie*, [w:] *Edukacja wobec wyzwań XXI wieku*, red. I. Wojnar, J. Kubin, Warszawa 1996), przez trzy ostatnie lata w Akademickim Centrum Kultury i Mediów UMCS Chatka Żaka definiowaliśmy na nowo działalność kulturalną naszych studentów.

Obserwowaliśmy, słuchaliśmy, rozmawialiśmy i pytaliśmy, a także współuczestniczyliśmy oraz współorganizowaliśmy zespoły, grupy, warsztaty, koncerty, spektakle, pokazy i festiwale. Razem z Lubelskim Węglem Bogdanka SA powołaliśmy do życia „Stypendia Kulturalne Bogdanki w Chatce Żaka”, aby umożliwić naszym studentom realizację ich autorskich projektów artystycznych i kulturalnych. Po 48 latach reaktywowaliśmy lubelską Studencką Wiosnę Teatralną, dostrzegając na nowo rosnące zainteresowanie działalnością nieprofesjonalnych teatrów studenckich. Otworzyliśmy szeroko drzwi naszych pracowni i sal warsztatowych, a także nasze sceny oraz studio telewizyjne dla młodych, zdolnych i nietuzinkowych ludzi, którzy w okresie swoich studiów chcą się rozwijać w obszarze kultury.

Efektorem naszych działań jest ponad 200 wydarzeń w naszej jednostce przy średnim udziale 150 osób tylko w roku 2022 i ponad 400 studentów tworzących aktywnie w działających u nas na stałe Zespołach Artystycznych.

Minione trzy lata to równoległe działania w kontekście ogólnopolskim: badania aktualnych potrzeb polskich studentów w kultu-

rze zrealizowane wraz z Narodowym Centrum Kultury (raport na: bit.ly/3Qd4kKT) oraz sieciowania wciąż istniejących **akademickich centrów kultury (w 13 polskich miastach)**. Nasze systemowe prace pod hasłem ogólnopolskiego Forum Kultury Studenckiej (bit.ly/3vW061d) uwidoczniły potrzebę rozwoju obszaru zainteresowań polskich studentów, jakim jest współtworzenie kultury dedykowanej bezpośrednio ich środowisku. Aspekt wspólnotowy uczestnictwa, niekomercyjny charakter, ukierunkowanie działań na potrzeby studentów oraz wsparcie merytoryczne i organizacyjne w rozwijaniu twórczości czy też indywidualnych kompetencji to tylko część potrzeb powtarzających się w naszych codziennych pracach na rzecz opisywanej społeczności.

Wobec szerokiej, lecz nie zawsze wartościowej oferty komercyjnej spędzania czasu wolnego, ważnym aspektem pracy ośrodków uczelnianych jest misyjny i włączający charakter działań dodatkowych kierowanych do młodych ludzi. Wielokrotnie podkreślany przez studentów element towarzyskości i wspólnego uczestnictwa, budujący ich grupową tożsamość, otwiera szansę ośrodków uczelnianych na wzmocnienie roli emblematycznego miejsca skupiania kultury studenckiej, a tym samym inicjowania świadomości kulturowej oraz wartościowych nawyków młodych Polaków.

Ożywienie bogatej w naszym kraju tradycji kultury studenckiej daje szansę rozwoju polskim ośrodkom akademickim w zakresie ich historycznie ważnej roli kulturotwórczej. W kontekście tak sformułowanych zadań jednostki zajmujące się wzmocnieniem polskiej kultury studenckiej nie są dzisiaj zdolne sprostać im w wystarczającym stopniu, choć podkreślana w debacie publicznej tak zwana



Ogólnopolska kadra kultury studenckiej

Fot. Jan Jezak

Jednostki biorące udział w projekcie Forum Kultury Studenckiej (stan na listopad 2022 r.)

Częstochowa: Akademickie Centrum Kultury Politechniki Częstochowskiej; **Gdańsk:** Akademickie Centrum Kultury Uniwersytetu Gdańskiego „ALTERNATOR”; **Gliwice:** Centrum Kultury Studenckiej Mrowisko Politechniki Śląskiej; **Kielce:** Centrum Nauki i Kultury Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach; **Kraków:** Centrum Kultury i Kształcenia Ustawicznego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, **Lublin:** Akademickie Centrum Kultury i Mediów UMCS Chatka Żaka, **Łódź:** Studenckie Radio Żak Politechniki Łódzkiej; **Olsztyn:** Akademickie Centrum Kultury UMW w Olsztynie; **Poznań:** Centrum Kultury Studenckiej Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu; **Siedlce:** Uczelniany Ośrodek Kultury Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach; **Szczecin:** Strefa Kultury Studenckiej Uniwersytetu Szczecińskiego; **Toruń:** Akademickie Centrum Kultury i Sztuki OD NOWA; **Wrocław:** Strefa Kultury Studenckiej Politechniki Wrocławskiej.

trzecia misja uniwersytetów, do której przede wszystkim zalicza się ich rolę kulturotwórczą, stwarza szansę wpływu uczelni na rozwój społeczny.

Nasze trzyletnie działania w ramach **ogólnopolskiego Forum Kultury Studenckiej** zilustrowały potrzebę integracji i budowy stałej sieci współpracy pomiędzy akademickimi instytucjami kultury w Polsce. Umożliwi to wymianę wiedzy, wzajemną inspirację oraz skuteczniejsze działania na polu wsparcia rozwoju młodych ludzi w czasie ich studiów. Szczególnie istotnym zadaniem wydaje

się wprowadzenie na nowo do debaty publicznej **pojęcia „kultura studencka”** oraz pokazanie skali i znaczenia tego zjawiska w szerszym kontekście jego wpływu na postawy społeczne polskich studentów. Z pewnością współcześnie jej charakter jest inny niż w wieku XX, jednak badania oraz nasza współpraca pokazały, jak duży potencjał drzemie w młodych ludziach. Jego stały rozwój wymaga systemowej budowy odpowiednich narzędzi. Kultura studencka stanowi pewien odrębny od kultury głównego nurtu fenomen i niewątpliwie zasługuje na poświęcenie jej większej niż dotychczas uwagi.

Proces badań oraz sieciowania ogólnopolskiej współpracy polskich instytucji kultury studenckiej, działających przy szkołach wyższych w całym kraju, przeprowadzony przez **Akademickie Centrum Kultury i Mediów UMCS Chatka Żaka** pozwala na przygotowanie rekomendacji naszego środowiska dla Ministerstwa Edukacji i Nauki. Naszym celem jest wzmocnienie misji kulturotwórczej polskich uczelni i opracowanie efektywnych narzędzi do: stałego monitorowania i badania kierunków rozwoju kultury studenckiej w Polsce, pracy nad rozwiązaniami formalnymi dla prezentowanego obszaru aktywności szkół wyższych, rozbudowywania współpracy polskich ośrodków akademickich w ramach tak zwanej trzeciej misji uniwersytetów, opracowania stałego systemu wsparcia programowego i finansowego działających w Polsce akademickich ośrodków kultury studenckiej, jak również rozwijania współpracy międzynarodowej polskich ośrodków akademickich w omawianym zakresie.

Polska kultura studencka była i jest, ale to, jaka będzie, nie zależy wyłącznie od naszych studentów, a w dużym stopniu od tego, jakie warunki i możliwości im zbudujemy.

Izabela Pastuszko, dyrektor ACKiM Chatka Żaka



Spektakl Częstochowskiego Teatru Tańca

Fot. Jan Jezak

Rozmowa z dr. hab. Przemysławem Czarnkiem, ministrem edukacji i nauki

Powrót do algorytmu

Mam nadzieję, że do końca lutego będziemy mogli ogłosić zasady ewaluacji działalności naukowej w latach 2022-2025. Ponieważ upłynął już rok tego okresu, nie będziemy robić żadnej rewolucji w systemie, a jedynie nieco go uprościmy, ale także włączymy pewne mechanizmy, których teraz ewidentnie zabrakło.

Dlaczego tak późno poznajemy końcowe wyniki ewaluacji?

Komisja Ewaluacji Nauki przesłała nam swoje ostatnie decyzje dotyczące wniosków o ponowne rozpatrzenie sprawy tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Zatem już je znamy. Termin na przekazanie decyzji po ponownym rozpatrzeniu nie jest wprost wskazany w aktualnie obowiązujących przepisach, ale dokładamy wszelkich starań, by stało się to jak najszybciej. Długo czekaliśmy na końcowe rezultaty, ale cieszymy się, że Komisja uwzględniła znaczną część „odwołań”, przyznając rację jednostkom naukowym, zwłaszcza po analizie kryterium trzeciego. Przygotowaliśmy już decyzje i zaczęliśmy wysyłać uczelniom.

Czy do końca stycznia wszyscy je dostaną?

Zdecydowanie tak. I są to decyzje w znacznej większości uwzględniające odwołania uczelni. Zależało nam w szczególności na tym, aby przy tym skomplikowanym systemie oceny nie dopuścić, jeśli to tylko możliwe, do utraty uprawnień do doktoryzowania i habilitacji w poszczególnych ośrodkach akademickich. I to się udało. To ważne dla rozwoju nie tylko dużych uczelni w naszych metropoliach, ale także mniejszych ośrodków, gdzie też uprawia się naukę na wysokim poziomie.

Czy potwierdzi pan, że opóźnienie wyniku z pewnych uchybień formalnych i swobodnego traktowania terminów przez ekspertów zagranicznych oraz składania „odwołań” przez uczelnie poza systemem informatycznym w postaci długich na kilkadziesiąt stron „esejów”, czasami o charakterze pism przedśądowych, które wymagały bardzo uważnej, czasochłonnej lektury i analizy?

To pytanie powinno być skierowane do przedstawicieli Komisji Ewaluacji Nauki. Przyczyn tak długiego procedowania jest bardzo wiele, ale praprzyczyną jest zbyt skomplikowany sposób ewaluacji. Dostałem już wstępne rekomendacje dotyczące najbliższej ewaluacji. Mam nadzieję, że ten nowy system będzie prostszy.

Kiedy go poznamy?

Te rekomendacje już w zasadzie są opracowane. Mam nadzieję, że do końca lutego będziemy mogli ogłosić zasady ewaluacji działalności naukowej w latach 2022-2025. Ponieważ upłynął już rok tego okresu, nie będziemy robić żadnej rewolucji w systemie, a jedynie nieco go uprościmy, ale także włączymy

pewne mechanizmy, których teraz ewidentnie zabrakło. Raczej nie będzie zmiany ustawy. Wykonamy tylko pewne zmiany w rozporządzeniu, tam gdzie to umożliwi obecna ustawa. Nawet jeśli system jest skomplikowany, to uczelnie się do niego zaadaptowały. Na pewno poddamy weryfikacji listę czasopism, tak by docenić dobre polskie czasopisma i pośrednio ograniczyć wydatki na publikacje w tzw. czasopismach drapieżnych.

Czy zgadza się pan z propozycją, aby oprócz wyników ewaluacji wprowadzić kryterium kadrowe do przyznania uprawnień do nadawania stopni naukowych?

Była o tym mowa na posiedzeniu zespołu doradczego. Jeśli taka rekomendacja wpłynie, będziemy się nad nią zastanawiać. W tej chwili słabe kadrowo jednostki, które jednak wypadły nieźle w ewaluacji i zyskały uprawnienia akademickie, i tak nie będą mogły sformować komisji habilitacyjnej – bo o habilitacje głównie chodzi – zatem uprawnienia wynikające z uzyskania kategorii naukowej będą i tak martwe. Liczę na to, że zespół przedstawi bardzo konkretne propozycje, które rozwiążą problemy, jakie się w tym obszarze pojawiały.

Dlaczego nie uwzględnił pan propozycji Zespołu Identyfikującego z 14 października, dotyczącej kandydatów do Rady NCN?

A miałem taki obowiązek? Korzystam ze swoich kompetencji, co nie wszystkim się podoba. Nominowałem te osoby, które zgodnie z moją wiedzą zapewnią lepsze funkcjonowanie Narodowego Centrum Nauki. Nowi członkowie Rady zostali powołani na podstawie rekomendacji nowego Zespołu Identyfikującego, który powołałem pod koniec listopada. NCN powinien i może działać jeszcze lepiej, niż działa dzisiaj i dostrzegać także mniejsze ośrodki akademickie.

Nowy przewodniczący Rady NCN widzi zagrożenie czy wyzwanie w nieproporcjonalnym udziale członków rady z różnych dziedzin wiedzy.

Analizy poprzednich składów Rady NCN pokazują, że nigdy nie było w niej proporcjonalnej reprezentacji dyscyplin. Obecna Rada została powołana z grona osób wskazanych przez Zespół Identyfikujący. Zgodnie z art. 12 ust. 3 ustawy z dnia 30 kwietnia 2010 r. o Narodowym Centrum Nauki w skład Zespołu mogą być powołane osoby o uznanym światowym dorobku naukowym, aktywne zawodowo i prowadzące badania naukowe, reprezentujące różne dziedziny nauki i środowi-

ska naukowe. I tak się stało. Obecni członkowie Zespołu Identyfikującego, podobnie jak poprzedni, są wysokiej klasy ekspertami, co pozwala mieć nadzieję, że wskazani przez nich kandydaci do Rady zapewnią i pozwolą utrzymać wysokie standardy działania Narodowego Centrum Nauki. Doskonała merytorycznie, ceniona w świecie nauki kadra oraz szeroko zakrojona współpraca – to składniki niezbędne do stworzenia nowoczesnego, opartego na wysokim profesjonalizmie funkcjonowania Narodowego Centrum Nauki, odpowiedzialnego za badania podstawowe.

Kiedy poznamy nową ustawę o NCN?

W tej kadencji nie przewidujemy jej zmiany, chociaż pracowaliśmy nad nią i projekt już jest.

Środowisko czeka niecierpliwie na rozwiązania wykonawcze, które pozwolą określić uprawnienia akademickie, zwłaszcza sposób ich nabywania, nowym dyscyplinom, które trafiły na listę na podstawie rozporządzenia z połowy października. Czy tzw. techniczna nowelizacja rozwiąże wszystkie problemy?

Rozwiązania tego problemu zaproponowała Rada Doskonałości Naukowej. Wydaje się, że aktualna nowelizacja ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce rozwiąże te problemy, m.in. da sposób uzyskania uprawnień przez nowe dyscypliny przed zakończeniem kolejnej ewaluacji.

Największy problem ma kilka dyscyplin, które „rozszerzono”, dodając nowe elementy do ich nazw. Nie wiedzą, w jakich dyscyplinach mają nadawać stopnie naukowe w rozpoczętych wcześniej postępowaniach awansowych.

Mam nadzieję, że sprawa się wyjaśni dzięki nowelizacji ustawy.

Podobno planowana jest zmiana kosztochłonności badań i kształcenia. Zamiast rozpiętości 1-4,5, ze stopniowaniem co 0,5, będą wartości między 1 a 2,5, określane co 0,25. Czy i kiedy nastąpi taka zmiana i jaki jest jej cel?

Rzeczywiście trwają prace nad nowelizacją rozporządzenia o kosztochłonności. Prawdopodobnie na dniach zostanie ono skierowane do konsultacji. Propozycja spłaszczenia współczynników wynika z dokonanych w tym zakresie analiz dotychczas funkcjonujących rozwiązań, a także postulatów samego środowiska naukowego, które słusznie podnosi, że decydującym czynnikiem kosztotwórczym są wynagrodzenia pracowników naukowych i dydaktycznych. Te z kolei są porównywalne niezależnie od reprezentowanej dyscypliny. Spłaszczenie kosztochłonności pozwoli na bardziej równomierny podział środków finansowych między dyscyplinami i relatywnie poprawi sytuację tych o niskiej kosztochłonności. Chcielibyśmy, aby zmiana weszła w życie jak najszybciej ze skutkiem od 1 stycznia 2023 r., tak aby przy podziale algorytmicznym subwencji zastosowana została już nowa siatka współczynników.

Czy to znaczy, że jest już decyzja odnośnie do sposobu kształtowania subwencji na rok 2023?

Tak. Wracamy do stosowania algorytmu, choć nastąpią w nim pewne zmiany. Tunel między możliwym ukształtowaniem wysokości subwencji wyniesie nie jak poprzednio od -2 do +6, ale od +1 do +5. Ostatnie 3 lata były okresem wyjątkowym, najpierw pandemia, potem wybuch wojny. W warunkach ogromnej nieprzewidywalności sytuacji chcieliśmy zagwarantować przede wszystkim stabilność systemu, stąd decyzje o przyznaniu w latach 2020-2022 identycznego kąta wzrostu subwencji dla wszystkich podmiotów. Obecnie sytuacja nadal jest daleka od normalizacji, ale nie chcemy dłużej rezygnować

z działania algorytmu, gdyż różnicuje on wysokość środków z uwagi na szereg istotnych parametrów, takich chociażby jak liczba studentów i pracowników. W dłuższym horyzoncie czasowym nie można akceptować sytuacji gdy subwencja rośnie tak samo w uczelni, w której liczba studentów i pracowników wzrasta i w uczelni, w której liczba pracowników i studentów maleje. Konieczne jest znalezienie złotego środka pomiędzy stabilizacją systemu i reagowaniem na zmiany jego struktury. Wydaje się zatem, że pewne zróżnicowanie jest potrzebne, ale z jednoczesnym zagwarantowaniem stabilności również uczelniom, które osiągają w podziale algorytmicznym gorszy wynik.

Gwoli uzupełnienia podkreślę jeszcze, że podział algorytmiczny dotyczyć będzie głównej części subwencji. Pamiętać należy bowiem że środki na podwyżki, zarówno całoroczne skutki przechodzące 4,4% podwyżek z października 2022 r., jak i podwyżki 7,8% od stycznia 2023 r. nie są dzielone algorytmem, ale w oparciu o dane sprawozdawcze uczelni w zakresie wynagrodzeń.

Nastąpiła podwyżka minimalnej podstawowej płacy profesora i podwyżka płac w szkolnictwie wyższym i nauce. Czy państwo wie, jakie są realne płace w tych obszarach?

Chcę podkreślić, że rozporządzenie określa jedynie minimalne wynagrodzenie zasadnicze profesora na uczelni publicznej, które jest podstawą do wyliczenia minimalnych zasadniczych wynagrodzeń pozostałych nauczycieli akademickich, bo przecież ta minimalna podstawa nie jest ostateczną płacą, na którą faktycznie składa się jeszcze wiele innych elementów (m.in. dodatki stażowe oraz możliwe dodatki funkcyjne lub zadaniowe). Tylko pewna część nauczycieli akademickich pobiera wynagrodzenie minimalne. Pragnę zaznaczyć, że Ministerstwo Edukacji i Nauki podejmuje systematyczne działania dotyczące zwiększenia wynagrodzeń w szkolnictwie wyższym, polegające na wyasygnowaniu z budżetu państwa środków finansowych na podwyższenie wynagrodzeń pracowników. Przekazane w ostatnich latach uczelniom środki pozwoliły na wzrost płac na uczelniach nadzorowanych przez ministra właściwego ds. szkolnictwa wyższego i nauki średnio o 7% w roku 2019, o 6% od 1 października roku 2020, o 4,4% od 1 października roku 2022, a wreszcie planowane są podwyżki o 7,8% na rok 2023 z wyrównaniem od 1 stycznia. Na podwyższenie płac w szkolnictwie wyższym w roku 2022 wyasygnowano 150 mln zł. Te środki zostały podzielone pomiędzy uprawnione podmioty proporcjonalnie do wykonania w nich wynagrodzeń osobowych. Natomiast w budżecie państwa, w części 28 Szkolnictwo wyższe i nauka na rok 2023 na pokrycie skutków finansowych podwyżek od 1 października 2022 r. o 4,4% oraz planowanych od 1 stycznia 2023 r. podwyżek o 7,8% zarezerwowano blisko 1,7 mld zł.

Od 1 stycznia 2023 r. zwiększyła się wysokość minimalnego miesięcznego wynagrodzenia zasadniczego dla profesora na uczelni publicznej do 7210 zł, czyli o ok. 12,5% w stosunku do poprzednio obowiązującej wartości. Wysokość wynagrodzenia zasadniczego profesora stanowi punkt odniesienia do ustalania wysokości miesięcznych wynagrodzeń zasadniczych nauczycieli akademickich zatrudnionych na uczelniach publicznych. Zgodnie z ustawą wysokość minimalnego wynagrodzenia zasadniczego profesora uczelni wyniesie co najmniej 83% wynagrodzenia profesora, adiunkta 73%, a asystenta i pozostałych nauczycieli akademickich nie mniej niż 50% wysokości wynagrodzenia profesora. Płace pracowników uczelni niebędących nauczycielami akademickimi mają za podstawę powszechnie obowiązujące przepisy dotyczące minimalnego wynagrodzenia za pracę, które wzrosło i od 1 stycznia 2023 r. do 30 czerwca 2023 r. wynosi 3 490 zł, a od 1 lipca 2023 r. wyniesie 3 600 zł.

Fot. Piotr Kieraciński



Dr hab. Przemysław Czarnek, prof. uczelni KUL (ur. w 1977 r.), jest absolwentem i wykładowcą Wydziału Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, zajmuje się prawem konstytucyjnym. Pracował także na Akademii Leona Koźmińskiego oraz w Wyższej Szkole Handlowej w Radomiu. Jest autorem kilkudziesięciu artykułów naukowych i monografii. Jako praktyk prawa współpracował z kancelariami adwokackimi i radców prawnych w zakresie obsługi jednostek samorządu terytorialnego.

P. Czarnek W latach 2015–19 był wojewodą lubelskim. Był członkiem zespołu ds. opracowania Konstytucji dla Biznesu przy ministrze rozwoju Mateuszu Morawieckim. Jest posłem na Sejm. Od października 2020 r. pełni funkcję ministra edukacji i nauki. Jego przyście na to stanowisko oznaczało powrót do znanego z lat 90. XX wieku połączenia w jednym resorcie obszaru szkolnictwa powszechnego i wyższego oraz nauki.

Zarówno rozporządzenie Ministra Edukacji i Nauki z dnia 2 stycznia 2023 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie wysokości minimalnego miesięcznego wynagrodzenia zasadniczego dla profesora w uczelni, jak i rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 13 września 2022 r. w sprawie wysokości minimalnego wynagrodzenia za pracę oraz wysokości minimalnej stawki godzinowej w 2023 r. określają wyłącznie minimalną wysokość wynagrodzenia zasadniczego. Faktyczną wysokość wynagrodzeń uczelnie kształtują samodzielnie, indywidualnie w odniesieniu do każdego pracownika, z uwzględnieniem posiadanych zasobów finansowych. Płace nauczycieli akademickich na poszczególnych uczelniach publicznych kształtują się na różnym poziomie, także minimalna wysokość miesięcznego wynagrodzenia zasadniczego często jest na wyższym poziomie niż określona przepisami ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Na podstawie sprawozdania z wykonania planu rzeczowo-finansowego za rok 2021 można wyliczyć średnie płace na poszczególnych stanowiskach. W 2021 roku średnie wynagrodzenie profesora wyniosło 13 031,42 zł, profesora uczelni 10 671,45 zł, adiunkta 8 138,72 zł, asystenta 5 408,07 zł. Pracownicy niebędący nauczycielami akademickimi w 2021 roku zarabiali średnio 5 715,96 zł.

Inaczej wyglądają płace na podstawie ankiet, które składały uczelnie. Według tych dokumentów (są to dane na 30.11.2021, tj. bez podwyżek wynikających z podniesienia płacy minimalnej w roku 2022 oraz podwyżek od 1 października 2022 r.) przeciętne wynagrodzenia zasadnicze profesora to 8 017,77 zł, profesora uczelni 6 372,91 zł, adiunkta 5 177,65 zł, asystenta 3 472,31 zł, pozostałych nauczycieli akademickich (stanowiska utworzone w statutach) 3 668,06 zł, a pracowników niebędących nauczycielami akademickimi 3 665,48 zł.

Warto zauważyć, że wzrosną również inne wynagrodzenia i świadczenia w systemie szkolnictwa wyższego i nauki, których wysokość jest relacjonowana do wysokości wynagrodzenia profesora. Wysokość miesięcznego stypendium doktoranckiego przed oceną śródkresową wzrosnie z 2 372 zł do 2 668 zł, a po ocenie śródkresowej z 3 654 zł. do 4 110 zł; maksymalne miesięczne wynagrodzenie członków rady uczelni wzrosnie z 4 295 zł do 4 831 zł. Wzrosną też wynagrodzenia w postępowaniu w sprawie nadania stopnia doktora, stopnia doktora habilitowanego lub tytułu profesora oraz członków komisji habilitacyjnych, a także wynagrodzenia zasadnicze pracowników naukowych instytutów Polskiej Akademii Nauk. Przekazanie środków pozwalających na pokrycie skutków nowych regulacji nastąpi po wejściu w życie ustawy budżetowej na rok 2023.

Jakie jest pana stanowisko w sprawie jednego z zapisów nowelizacji technicznej, dotyczącego możliwości odbierania tytułu profesora plagiatorom po potwierdzeniu plagiatu przed sądem?

Wolałbym patrzeć na takie sytuacje nie tylko od strony prawnej, ale zwłaszcza od strony etycznej. Gdy ktoś popełni

plagiat, nie powinien mieć zaszczytu bycia profesorem. Pozostawienie tego bez reakcji byłoby rzeczą sprzeczną z podstawowymi zasadami współżycia społecznego.

Czy taka sama zasada powinna dotyczyć także niższych szczebli kariery akademickiej?

Wydaje mi się, że tak, ale w tym zakresie mamy pewne możliwości reakcji na podstawie obowiązującego prawa. Tylko tytuł naukowy był poza regulacjami prawnymi, co nowelizacja zmieniła. Karierę naukową buduje się na podstawie tego, co się zrobiło, dorobku. Jeśli on jest fałszywy, skradziony innym, nie może być podstawą awansu.

Czy przewiduje pan zmianę ustawy o Polskiej Akademii Nauk?

Polska Akademia Nauk wymaga zmian. Nie chcę jednak robić tego odgórnie. Niedawno został wybrany nowy prezes PAN. Wybór ten spowodował wiele emocji. Ja się z niego cieszę. Dziękując poprzednikowi, panu profesorowi Jerzemu Duszyńskiemu, jestem równocześnie przekonany, że wybór profesora Marka Konarzewskiego na prezesa PAN spowoduje zmianę funkcjonowania Akademii. Miałem już przyjemność rozmawiać z nim. Pan prezes zapewnił mnie, że do końca marca przedstawi kierunki reformy Polskiej Akademii Nauk. Wiąże z tym duże nadzieje. Nie ma mowy o przejmowaniu sterów w PAN czy likwidowaniu Akademii.

O takim zagrożeniu różne gremia pisały w opiniach na temat ustawy o utworzeniu Akademii Kopernikańskiej.

Nie po to ona jest tworzona, żeby komukolwiek zagrażać lub cokolwiek likwidować.

Na jakim etapie są prace?

Przygotowujemy się do inauguracji jej działalności, co nastąpi 19 lutego. Mamy kandydata na jej pierwszego sekretarza generalnego – profesora Krzysztofa Górskiego, wybitnego astrofizyka z NASA i Uniwersytetu Warszawskiego, laureata Nagrody FNP, którego nominację musi jeszcze zatwierdzić Prezydent RP. Uzgadniamy z Panem Prezydentem kandydatury na pierwszych członków izb kopernikańskich, przygotowujemy się do światowego kongresu kopernikańskiego. To nie ma być konkurencja dla kogokolwiek, dla jakichkolwiek struktur, ale pomoc dla polskiej nauki.

Polska Komisja Akredytacyjna zajmuje się tylko oceną programową kierunków kształcenia. Przez kilka lat funkcjonowała tzw. ocena instytucjonalna, która obejmowała też studia podyplomowe i doktoranckie. W jej miejsce miała być wprowadzona rozporządzeniem ministra ocena kompleksowa. Czy są prowadzone prace nad takim rozwiązaniem i kiedy można się spodziewać jej wprowadzenia?

Decyzji w tej sprawie jeszcze nie ma, ale prace są prowadzone. Po etapie prac wewnątrzresortowych w pierwszym kwartale tego roku projekt rozporządzenia powinien trafić do uzgodnień międzyresortowych i konsultacji ze środowiskiem akademickim.

Jak pan skomentuje budżet szkolnictwa wyższego i nauki przyjęty przez Sejm?

Chciałoby się, aby był jeszcze większy, co nie znaczy, że w tym kształcie nie daje on możliwości realizacji zadań, które są na te obszary nałożone. Jestem zadowolony, że udało się wprowadzić taki wzrost, mimo ogromnych wydatków na cele zbrojeniowe i na zdrowie oraz tzw. tarcze, związane z wojną na Ukrainie. Łączny wzrost nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe w projekcie ustawy budżetowej na 2023 r. przyjętej przez Radę Ministrów wynosił 8,6%, ale na etapie prac sejmowych, po uzgodnieniu z ministrem finansów, udało się pozyskać dodatkowe 455 milionów złotych, w tym 375 mln dla uczelni nadzorowanych przez MEiN, co umożliwi podwyżki płac już od początku stycznia tego roku, zamiast od maja, jak planowano pierwotnie. Po tej korekcie przewidziany wzrost nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe w projekcie ustawy budżetowej na 2023 r. wynosi 9,9%. Dodatkowo w ustawie o budżecie przewidziano obligacje dla uczelni w kwocie 1 mld zł.

W ubiegłym roku subwencje dla instytucji naukowych wzrosły znacznie w ciągu roku w stosunku do pierwotnych planów. Czy widać nadzieje na podobne działania rządu w tym roku?

To zależy od wielu czynników, ale jestem przekonany, że tak będzie i w tym roku. To jest kwestia ostrożności w wydatkowaniu środków budżetowych. Jeśli warunki i budżet pozwolą, będziemy w trakcie roku budżetowego uzupełniali zaplanowaną subwencję o dodatkowe środki. (o wzroście wysokości subwencji w ciągu 2022 r. czytaj na str. 6)

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”. Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku. Roczna prenumerata dla instytucji będzie kosztowała 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł. Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Recenzja naukowa: nieśmiertelnik humanisty

Krytycy boją się oceniać, ponieważ nie chcą zostać oskarżeni o stronniczość, kierowanie się własnym gustem czy przynależność do rozmaitych koterii. Tymczasem recenzowanie to przecież swoiste „etykietowanie” pracy i autora – ocena musi być przerysowana i skondensowana.

O niedoskonałym narzędziu wartościowania i selekcji tekstów naukowych, jakim jest recenzja, dyskutuje się dzisiaj wiele. Mało kto spoza kręgu akademickiego zdaje sobie jednak sprawę, że zarówno pisanie, jak i czytanie tego typu tekstów nie należy do działalności lubianych. Szczercze mówiąc, nie znam badaczy, którzy aktywności tej nie traktowaliby w kategoriach niemiłego obowiązku. Oczywiście nie mam tu na myśli samego procesu czytania, zapoznawania się z nowym tekstem, ale raczej budzący niechęć, często odraczany do ostatniej chwili moment oceny.

Jeśli wziąć pod uwagę funkcję recenzji naukowej, teksty te podzielić można w następujący sposób: recenzje tworzone na potrzeby postępowania awansowych, czyli decydujące o uzyskaniu stopnia naukowego, recenzje kwalifikujące artykuł bądź książkę do druku oraz recenzje publikowane w czasopismach branżowych, które służą krytyce, a także popularyzacji istotnych (znacznie rzadziej tych budzących wątpliwości recenzenta) publikacji naukowych. Ponieważ każde ogniwo działalności naukowej – od krótkiego artykułu, poprzez działalność popularyzatorską, po udział w konferencji międzynarodowej – jest dzisiaj kontrolowane za pośrednictwem tych tekstów, można powiedzieć, że recenzje naukowe stanowią podstawowe kryterium weryfikacji. Przyjrzyjmy się zatem, jakie one właściwie są? Czy recenzja naukowa może być obiektywna? Czy wreszcie możliwa jest obiektywna ocena tekstu oceniającego (metaocena)?

Recenzje tworzone na potrzeby postępowania awansowych funkcjonują w ramach „Instytucji”, sytuacja ta sprawia, że obserwować możemy ich postępującą schematyzację. Komponenty tych tekstów są raczej stałe, uwarunkowane przez praktykowaną w danym ośrodku tradycję pisania, a przede wszystkim poprzez rekomendowane przez Radę Doskonałości Naukowej kryteria. Na stronie tejże instytucji przeczytać możemy stosowne poradniki: „Recenzje w postępowaniach o awans naukowy. Poradnik”, „Dobre praktyki w procedurach recenzyjnych w nauce” czy „Kodeks etyki pracownika naukowego”. W kompendiach tych określono idealną recenzję jako „logicznie spójną i utrzymaną w rzeczowym tonie” („Dobre praktyki w procedurach recenzyjnych w nauce”). Nie trzeba dodawać, że określenie „rzetelna krytyka” w praktyce bywa różnie pojmowane.

Perspektywa recenzenta – opisywać czy oceniać?

W tym miejscu warto przypomnieć etymologię samego słowa krytyka. Jak zauważa Andrzej Zawadzki, grecki czasownik *krinein* oznacza: oddzielać, odróżniać, wyróżniać, ale również: uważać, rozważać, spierać się, dyskutować. Oddzielna gałąź sensów odsyła do wartościowania, tu czasownik ten znaczy: oceniać, osądzać, wydawać sąd, także w znaczeniu prawniczym (A. Zawadzki, *Autor. Podmiot literacki*, [w:] *Kulturowa teoria literatury. Główne pojęcia i problemy*, red. M.P. Markowski, R. Nycz, Kraków 2012). Wydaje się, że ta ostatnia konotacja najtrafniej dzisiaj wskazuje funkcję krytyki naukowej, recenzent bowiem stawiany jest w roli sędziego, jego tekst zaś traktowany jest jak ostateczny wyrok, czasem ostateczny cios. A tymczasem recenzja powinna służyć naukowej dyskusji.

Niestety proces instytucjonalizacji nie służy humanistyce, nie służy naukom zajmującym się kulturą, ponieważ nauki te cechuje „słaby profesjonalizm” (pojęcie Ryszarda Nycza). Cóż to oznacza w praktyce? I teksty literackie (obiekty literaturoznawczego poznania), i teksty traktujące o literaturze mają „kulturową naturę”, w przeciwieństwie do przedmiotów znanych z doświadczenia potocznego oraz obiektów badań nauk przyrodniczych (R. Nycz, *Kulturowa natura, słaby profesjonalizm. Kilka uwag o przedmiocie poznania literackiego i statusie dyskursu literaturoznawczego*, [w:] *Kulturowa teoria literatury*). W związku z nieuniknionym „zanurzeniem w kulturze” badacz literatury i pisarz (twórca literatury) często operują identycznym typem dyskursu – kiedy brakuje pojęć (narzędzie poznania) – literaturoznawca sięga po metaforę, która nadal powszechnie kojarzy się, niestety, z językiem nieprecyzyjnym, bo nieścisłym, a zatem nieprofesjonalnym. Przy czym zaznaczyć należy, że – co zostało dowiedzione na gruncie badań kognitywnych – nauki ścisłe również często wykorzystują metaforę, co nauki humanistyczne. Różnica jest jednak taka, że przy ocenie jakości badań w naukach humanistycznych zwykle podkreśla się, że metafory cechuje wieloznaczność, a co za tym idzie rozmywanie się pojęć i nieprecyzyjność dyskursu, zaś w naukach przyrodniczych akcentowana bywa oryginalność myślenia i celność użytej w stosunku do przedmiotu badań przenośni. Nie dziwi mnie zatem, że uży-

teczność recenzji naukowej jako narzędzia obiektywnej oceny na gruncie nauk humanistycznych jest dzisiaj kwestionowana. Sytuacja ta wynika z głębszego problemu, jakim jest deprecjonowanie badań humanistycznych, przy jednoczesnym faworyzowaniu dziedzin ścisłych, we współczesnym środowisku naukowym i polityce prowadzonej przez uczelnie.

Tymczasem warto przyjrzeć się również etymologii słowa krytyk. „*Kritikos* to źródłowo filolog, gramatyk, krytyk literacki, zaś *krites* lub *kriter* to tłumacz, wykładacz, zwłaszcza wykładacz snów” (A. Zawadzki, *Autor. Podmiot literacki*). Często zapomina się, że rolą recenzenta jest nie tylko ocenianie danego tekstu, ale również dyskusja służąca uzupełnieniu luk badawczych, co wiąże się z umieszczeniem pracy w ramach bliźniaczych dla niej idei i teorii. Recenzja naukowa pełni w humanistyce rolę komentarza metaliteraturoznawczego – publikowana w czasopiśmie pozwala szybko zapoznać się z zawartością bardzo nieraz obszernej pracy naukowej i ocenić, czy warto do niej sięgnąć w kontekście własnych badań.

Jeśli tekst przygotowywany jest na potrzeby obrony doktorskiej, recenzenci są jednymi z pierwszych czytelników – jest to bowiem praca dotąd nieopublikowana, powstająca pod kierunkiem doświadczonego naukowca promotora. Inaczej sytuacja wygląda w przypadku recenzji książki habilitacyjnej, która przeszła już wszelkie procedury wydawnicze (w tym etap recenzji) i została opublikowana, zatem poznano ją i oceniono w środowisku badaczy (krąży o niej rozmaite opinie). W pierwszej z opisanych sytuacji recenzent może zatem polegać głównie na swojej opinii, którą kształtuje nie tylko sam tekst do recenzji przedłożony, ale także wiedza i kompetencje reprezentowane przez promotora pracy. W drugiej krytyk ma z pozoru łatwiejsze zadanie: może polegać na recenzjach wydawniczych oraz opiniach innych badaczy. Dodatkowo, w przypadku recenzji pracy habilitacyjnej, bierze pod uwagę cały dorobek naukowy habilitanta. Zatem wydawać by się mogło, że recenzja pracy habilitacyjnej będzie bardziej obiektywna, bo oparta na szerszym zdystansowanym oglądzie. Już sama świadomość, że książka została opublikowana, a zatem przeszła procedurę wydawniczą (w tym proces recenzji) może wpływać i wpływa na ocenę krytyka, a mianowicie w pewnym stopniu blokuje możliwość stworzenia nieafirmatywnej recenzji tekstu. Dlatego w przypadku recenzji pracy habilitacyjnej ucieczka w bezpieczną z pozoru, bo neutralną sferę opisu-streszczenia samej pracy jest tak pociągająca, że wybiera ją wielu recenzentów.

W najczęściej dzisiaj występującej recenzji typu afirmatywnego trzon najdłuższy zajmuje drobiazgowo streszczenie książki, często wskazujące istotne zdaniem recenzenta kwestie, których w pracy zabrakło (w domyśle: o których autor zapomniał!). Dodać trzeba, że streszczenie to pod względem kompozycji nie odbiega od oryginału, porządek poszczególnych części odpowiada porządkowi książki. W kolejnej części recenzent zazwyczaj wyciąga luki bibliograficzne, które odnotował w tekście. Bezpośrednia ocena, a także ostateczny werdykt znajdują miejsce na końcu recenzji, bardzo rzadko przekraczają one jeden akapit. Odnoszę wrażenie, że przeciwnie do krytyki literackiej, która nie kryje się ze swoją stronniczością, osobistym charakterem oraz zdecydowanie zarysowaną oceną, krytyka naukowa zdecydowanie bardziej woli analizować, wykazując wartość recenzowanego tekstu poprzez uznawane za obiektywne i naukowe wyciągnięcie jego zawartości tematycznej i problemowej. Krytycy boją się oceniać, ponieważ nie chcą zostać oskarżeni o stronniczość, kierowanie się własnym gustem czy przynależność do rozmaitych koterii. Tymczasem recenzowanie to przecież swiste „etykietowanie” pracy i autora – ocena musi być przerysowana i skondensowana, choćby ze względu na niewielką objętość tekstu.

Problem wartościowania. Recenzja negatywna z happy endem

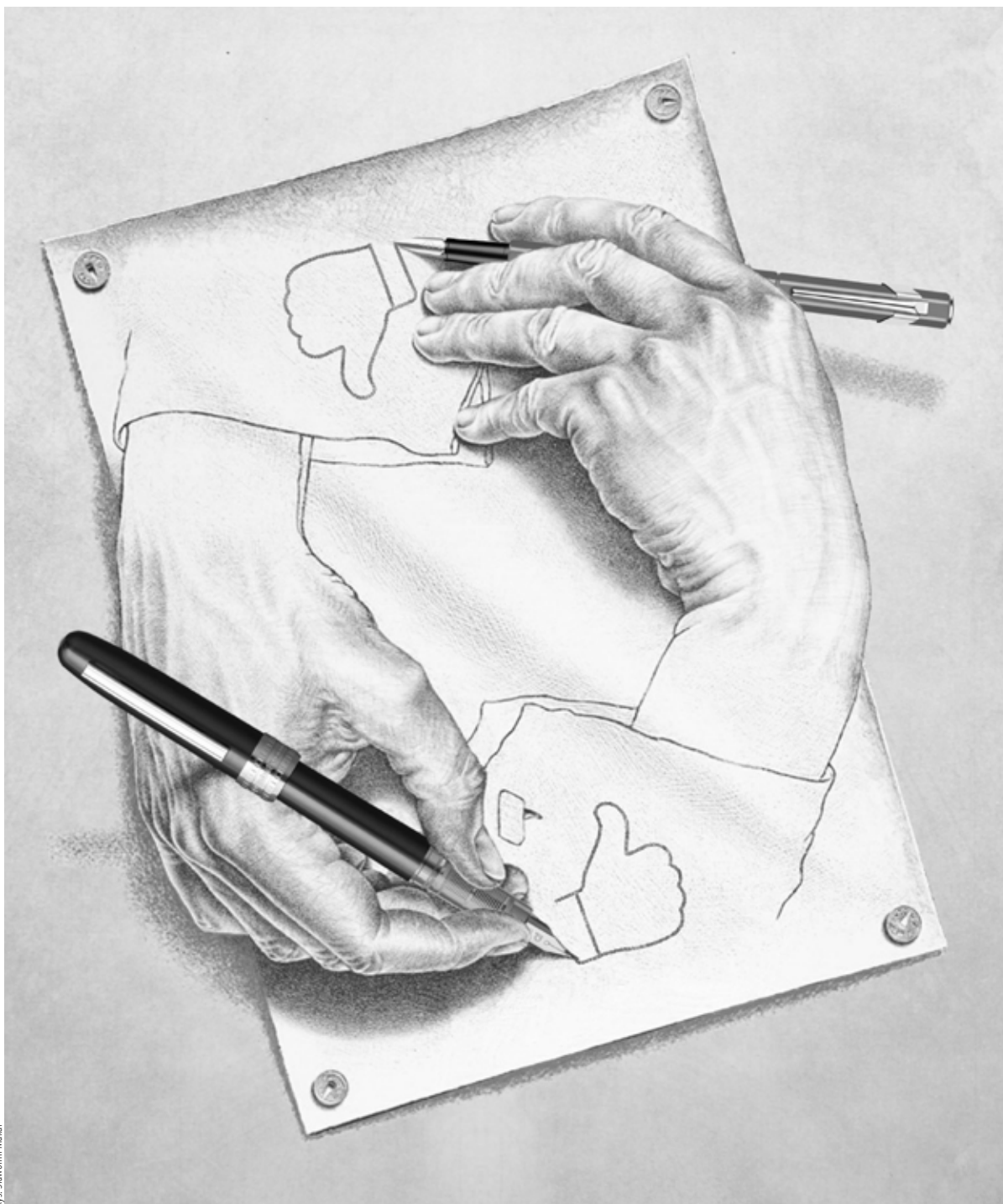
Jeśli spróbować stworzyć typologię recenzji biorąc pod uwagę przyjmowany w nich typ wartościowania, to można wyróżnić: po pierwsze recenzje jednoznacznie negatywne, w których recenzent, oczywiście przedstawiając odpowiednią listę merytorycznych argumentów, opowiada się za niedopuszczeniem autora do uzyskania stopnia (doktora bądź doktora habilitowanego); po drugie recenzje umiarkowanie afirmatywne, które wyciągając drobne usterki pracy, jednocześnie podkreślają jej walory poznawcze; po trzecie recenzje entuzjastyczne, w których właściwie uchybień się nie wyciąga, a jeśli jakieś zostają odnotowane, to bywają pomniejszane za sprawą hiperboli listującej osiągnięcia i sukcesy badawcze autora.

Na końcu wypada wspomnieć o tworze niezwykłym, acz świadczącym o zdolnościach adaptacyjnych wielu recenzentów – mam na myśli rodzaj tekstu, który najczęściej występuje w przypadku recenzji prac habilitacyjnych, w skrócie nazwać go można recenzją negatywną z happy endem. W tego typu pracy, bezpośrednio po najdłuższej uzasadniającej negatywną opinię części recenzji poświęconej publikacji, zawierającej długą listę błędów – takich jak: wyciągnięcie braków w bibliografii, prezentację miejsc niespójnych pod względem metodologicznym czy definicyjnym, wskazanie na niejednorodność kompozycyjną książki (jej niemonograficzny charakter), wytknięcie błędów merytorycznych dowodzących niewystarczającego zgłębienia tematu, wskazanie na wtórność i nieinnowacyjny charakter badań, rzadziej wyciągnięcie usterek edytorskich (w tym np. zupełny brak bibliografii oraz nazwisk recenzentów w stopce redakcyjnej), błędów językowych, stylistycznych i innych (także w pracach językoznawców!) – recenzent zamieszcza konkluzję, w której z jednej strony (omawiam przypadek najbardziej skrajny) wyciąga uchybienie najpoważniejsze, z drugiej strony jednak popiera starania kandydata w kierunku uzyskania stopnia doktora habilitowanego. Mimo wymienionych na kilku bądź kilkunastu stronach poważnych zastrzeżeń w stosunku do dorobku naukowego, a przede wszystkim głównej książki badacza, kandydat jednak zostaje dopuszczony do dalszej procedury, w ramach której finalnie przyznany mu zostaje tytuł doktora habilitowanego. Jak to możliwe? Czy można powiedzieć, że w tym wypadku literatura modeluje rzeczywistość, a recenzent to naśladowca doktora Jekylla i pana Hyde’a, więc cechuje go podwójna osobowość? Myślę, że nie. W humanistyce rolą krytyki naukowej nie jest, jak chciałaby i wymagała Instytucja, tylko selekcjonowanie i ocenianie naukowców, ale również krytyczny namysł, prezentowanie odmiennego punktu spojrzenia, dyskusja, sformułowanie argumentów służące nauce i rozwojowi samego naukowca. Nie zgadzam się zatem z profesorem Grzegorzem Węgrzynem, który twierdzi, że recenzja w znacznej części nie powinna składać się ze streszczenia i omówienia dorobku kandydata (*Wyraźnie widzimy kryzys recenzji*, FA 10/2021). Od dawna przecież wiadomo, że żadna wypowiedź, nawet najbardziej opisowa i neutralna pod względem perspektywy narracyjnej, nie jest aksjologicznie obojętna. Wartościowanie to nie tylko, zwłaszcza w humanistyce, krytyka bezpośrednia, ale przede wszystkim zdecydowanie bardziej dotkliwa dla fachowego odbiorcy krytyka pośrednia, aluzyjna, którą potocznie nazywa się „wbijaniem szpilek”. Taką zawaalowaną krytykę znajdziemy w niejednym streszczeniu, trzeba jednak wziąć pod uwagę jego stylistykę, uwzględnić tryb ironiczny. Przyznam, że badanie recenzji naukowych, zwłaszcza pisanych na potrzeby postępowań awansowych, ujawnia umiejętności literackie niektórych naukowców. Innymi słowy, mimo narzuconego przez Instytucję (Rada Doskonałości Naukowej) schematu i instrukcji, recenzenci sta-

rają się przekraczać ramy. Dowodzą tego widoczne w wielu tekstach neologizmy i metafory, które nierzadko są nośnikami bardzo konkretnych, twardych wartości. Przykładowo, w recenzji oceniającej dorobek językoznawcy spotkać możemy neologizm „kakozdania”, który odnosi się do niepełnosprawności stylistycznej i językowej kandydata na stopień doktora habilitowanego. Warto przyjrzeć się temu słowu bliżej. Częstkę „kako” możemy wywodzić od słowa kakofonia, oznaczającego „nieprzyjemnie brzmiącą mieszaninę dźwięków” (*Słownik Języka Polskiego PWN*). Jednak, jeżeli skojarzymy ją z mniej popularnym, zapomnianym już czasownikiem „kakać” (łac. *caco*), oznaczającym „wypróżnić się” (*Słownik Języka Polskiego pod red. W. Doroszewskiego*), pomyślimy wówczas o języku rynsztokowym, odpadowym, tyleż nieeleganckim, co przypadkowym, to znaczy używanym mimowolnie, bez głębszej świadomości i namysłu.

O stylu i człowieczeństwie

Przyjrzyjmy się teraz stylistyce recenzji naukowych, jest ona chyba najbardziej stabilną własnością tego rodzaju tekstów. Po pierwsze rzucają się w oczy subtelna elegancja i szacunek względem słowa, chodzi tutaj o zgodność z zasadami akademickiego *savoir-vivre*'u, ale także o drobnostki, jak dodanie do rzeczownika 'badaczka' przydawki 'uważna'. Zamieszczenie takiego określenia w tytule recenzji publikowanej w czasopiśmie naukowym jest ryzykowne, recenzent może zostać posądzony o przesadną aprobatę i brak naukowego dystansu. Każdy przecież chciałby zasłużyć na miano „ważnego naukowca”, to jedna ze stałych cech przypisanych w naszej kulturze do wyobrażenia idealnego badacza. Wydawać by się mogło, że w przypadku recenzji naukowych pisanych na potrzeby czasopism branżowych krytyka afirmatywna, przywodząca na myśl panegiryk,



Rys. Sławomir Makal

będzie pojawiać się rzadko. Tymczasem jest inaczej. Przeważająca większość recenzji ukazujących się w czasopiśmie branżowych jest pozytywna. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta – styl krytyki uwarunkowany został tutaj przez cel publikacji. Recenzja pełni funkcję popularyzatorsko-informacyjną. Mamy zatem głośne „tak” krytyka akademickiego i wyjaśnienie. W tego typu tekstach zwykle pojawia się odmiana streszczenia rozumowanego. Recenzent przedstawia szkielet całej książki, szczegółowej natomiast omawia części, które wydają mu się najbardziej wartościowe poznawczo. Zasadniczo interesują go te zagadnienia i tematy poruszane w tekście, które dotąd albo nie były badane, albo zostały błędnie opisane czy zinterpretowane. Poświęcając uwagę tekstowi, badacz przyznaje, że publikacja jest warta naszej uwagi – nie zajmowałby się tekstem bezwartościowym z naukowego punktu widzenia. Recenzja pełni funkcję ogłoszenia naukowego, autor mówi: słuchaj, ten tekst jest inspirujący, musisz go przeczytać. Stosunkowo rzadko ukazują się zatem w czasopiśmie recenzje negatywne. Takie wyjątkowe sytuacje służą niemal wyłącznie krytyce poważnych błędów merytorycznych, dotyczą jaskrawych nadużyć i wypaczeń interpretacyjnych, nierzadko też sprzeczności względem tradycji badawczej. Jednak w większości przypadków, ze względu na ogromną liczbę ukazujących się publikacji, a także na świadomość, że krytyka negatywna na polu humanistyki często bywa odbierana przez autora jako atak personalny, krytycy rezygnują „z krytykowania”.

Oceniający dorobek naukowy humanista zazwyczaj bierze pod uwagę nie tylko publikacje i działalność badawczą kandydata, obiektywnej ocenie naukowej podświadomie zawsze towarzyszy namysł nad losem autora jako losem zwyczajnego człowieka, który jednak – oprócz wykonywanej pracy naukowca – ma jeszcze życie prywatne i musi jakoś funkcjonować, a byt zapewnia mu uczelnia, która wymaga awansu... Stopień naukowy wiąże się nie tylko z prestiżem, ale także z podwyżką, a co za tym idzie poprawą warunków materialnych, pozwalających na dalszą działalność badawczą i samodoskonalenie. Innymi słowy, chcę podkreślić, że dla wielu humanistów długa lista błędów, także tych wyrażonych w sposób niebezpośredni, to wystarczająca i bardzo dojmująca „kara” mobilizująca do dalszej pracy. W większości przypadków recenzja dzisiaj prowokuje do namysłu, pozwala udoskonalić tekst (recenzja rozprawy doktorskiej), zmienić lub uzupełnić zamysł badawczy o pominięte aspekty.

Lęk autora. Humanista w skórze superbohatera

Wyobraźmy sobie, że właśnie napisaliśmy artykuł, ukończyliśmy książkę lub rozprawę naukową i czekamy na recenzje, recenzje badaczy z niezależnych ośrodków. W tym drugim przypadku lęk, niepokój i napięcie wewnętrzne wydają się tak namacalne, że porównać je można do rozmiarów monstrualnego pierwotnego mięsożercy Tyranosaura, czekającego w krzakach, by pożreć nas w najbardziej prozaicznym momencie naszego życia, na przykład kiedy przebywamy w toalecie (patrz scena z filmu *Jurassic Park*). A zatem czekamy, czekamy, czekamy, bo tekst trzeba przeczytać, recenzję napisać, a recenzent musi znaleźć czas między: przygotowaniem i prowadzeniem kursów dla studentów, własną działalnością badawczą, wyjazdami na konferencje, a także, wcale nie tak drobnymi jak mogłoby się wydawać, obowiązkami administracyjnymi. Ale idźmy dalej... Mija miesiąc, potem drugi, nasz niepokój się wzmaga, dopada nas bezsenność, a w głowie pojawia się lista wątpliwości. Wreszcie zaglądamy do tekstu i szukamy... i oczywiście znajdujemy błędy, patrzymy na niego jakoś inaczej, tekst wydaje się obcy. W rezultacie przed otrzymaniem recenzji z nerwów nie jesteśmy w stanie podjąć jakiegokolwiek innej działalności badawczej. Recenzję postrzegamy jako swoiste zamknięcie tematu. Dopóki tekst nie zosta-

nie dopuszczony do druku, cały czas mamy go na stole. Karty są w grze, choć my – wyczerpani wielomiesięcznym lub wieloletnim procesem zbierania materiałów, konceptualizacji, tworzenia konspektów, a wreszcie samym pisaniem – chcielibyśmy o nim zapomnieć i spojrzeć na coś nowego. Wreszcie nadchodzi recenzje. Czekaliśmy na nie od miesiący, jednak odkładamy otwarcie do jutra, bo wieczór, rodzina, weekend itd. Zасыpiamy. Budzimy się po pięciu minutach, w ciemności otwieramy laptop i... zazwyczaj wdychamy z ulgą, szukaliśmy tylko jednej frazy: „dopuszczam do druku”, zasypiamy ponownie. Od rana jednak bierzemy się znów do pracy – recenzent wskazał miejsca, które należy poprawić, zasugerował nowe źródła, schodzi kolejny miesiąc, czasem dwa. A tekst? Tekst jest już zupełnie inny...

Przed otrzymaniem recenzji boimy się, że nasze badania, dorobek naukowy, kompetencje, użyta na potrzeby tekstu metodologia czy samo rozumowanie zostaną zakwestionowane, uznane za błędne, że przyjęty punkt widzenia nie jest wystarczająco innowacyjny. Czy aby na pewno sprawdziliśmy i skomentowaliśmy wszystkie źródła bibliograficzne dotyczące tematu, czy nasza bibliografia jest pełna? Boimy się usłyszeć opinię na temat nas samych. Strach przed krytyką, strach przed oceną, strach przed sądem „innego” należą do najbardziej atawistycznych lęków, które odczuwa człowiek. Naukowiec nie należy tutaj do wyjątków. Recenzent o tym wie. Podstawowym problemem każdego badacza-humanisty w jego przygodzie z pisaniem tekstów naukowych jest niemożność oddzielenia siebie samego, własnej tożsamości od tekstu. Już na poziomie wyboru przedmiotu badań zostaje nawiązany, jakby to napisał Jan Błoński, „romans z tekstem”, który pośrednio rzutuje także na nasz personalny i intymny sposób odbioru recenzji. Jednak warto podkreślić, że niezbędny dystans względem napisanego tekstu zyskujemy, a raczej odzyskujemy właśnie dzięki opinii recenzenta. Recenzent stanowi głos rozsądku, kiedy okazuje się, że uwikłaliśmy się w „toksyczny związek”. Czym innym jest przecież wstępna korekta promotora albo koleżeńska opinia innego badacza pracującego w naszej jednostce, czym innym recenzja, która ma w sobie ciężar tekstu pisanego, jest postrzegana jako opinia rozstrzygająca. Dlatego uważam, że krytyka naukowa, zwłaszcza praktykowane w jej ramach formy pisane, jak recenzja, jest praktyką potrzebną, a wręcz niezbędną, bez wątplenia wpływającą na rozwój nauk humanistycznych. Oczywiście, jeśli wziąć pod uwagę niespójność wartościowania (recenzja negatywna z happy endem), a także niebezpośredniość i aluzyjność samego dyskursu krytycznego dominującego w ramach krytyki naukowej tworzonej w ramach badań humanistycznych, można zarzucać jej kurtuazyjność, mówić o asekuracyjnym charakterze. Trzeba jednak pamiętać, że idea rzetelnej, obiektywnej krytyki (w jakikolwiek byłaby ujęta schematy czy instrukcje narzucone przez instytucje zewnętrzne) jest projektem utopijnym. Każda krytyka bowiem, jak pisze Jerzy Jarzębski, „jest z samej swej natury stronnicza, osobista i kładąca na pierwszym planie akt oceny i wartościowania”. Dlatego uważam, że prężnie rozwijająca się współcześnie krytyka i praktyka podważania kompetencji recenzentów w Internecie (blogi: *Habilitant2012*, *Ujawniamy nieprawidłowości w nauce*) jest w znacznej mierze szkodliwa, powoduje bowiem, że główni adresaci recenzji (kandydaci do stopnia naukowego, autorzy książek) przestają się krytyką przejmować. Za ich sprawą traci ona zatem przynajmniej część swojej performatywnej mocy, nie wpływa na zmianę tekstu naukowego, nie motywuje także badaczy do dalszego doskonalenia warsztatu. Kryzys to jednak stan dla krytyki normalny, nie należy się nim zatem zbyt przejmować.

Dr Anna Folta-Rusin, Zakład Lingwistyki Komputerowej, Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego

Co straciliśmy, co zyskaliśmy?

Recenzje prac „na stopień” w ciągu minionego trzydziestolecia

Zamiast pisać ogólnie znane rzeczy o ilościowych parametrach ocen, o „punktozie”, „grantozie” i spółdzielniach wzajemnych cytowań, którymi odpowiedziało środowisko na próby sformalizowania oceny dorobku naukowego, proponuję przyjrzenie się temu, co w ich efekcie straciliśmy, a co zyskaliśmy w wymiarze kultury naukowej.

Kiedy patrzę wstecz na ponad trzydzieści lat swojej pracy na uczelniach, to dostrzegam, że praktycznie wiąże się ona cały czas z podleganiem ocenom w formie recenzji, w tym dwóm o charakterze rozstrzygającym: doktorskich i habilitacyjnych. Te etapy w latach dziewięćdziesiątych wyznaczały bezpieczeństwo zatrudnienia i tzw. okresy rotacyjne. Alternatywą było czasowe przeniesienie na etat dydaktyczny lub techniczny, na których zwiększone pule innych obowiązków utrudniały uzyskanie brakującego stopnia naukowego.

W środowiskach mniejszych uczelni, które nie dysponowały uprawnieniami do nadawania stopni naukowych, młodsze kadry generalnie podzielały przeświadczenie, że przewód jest loterią; żeby zmniejszyć ryzyko, należało postarać się o „patrona”, życzliwą osobę, która pomoże pokonać rafy recenzji. Doktorant miał promotora, habilitant już nie. Inaczej sprawy przedstawiały się z perspektywy bardziej prominentnych ośrodków, które same reglamentowały stopnie naukowe. Do nich głównie odnoszą się stawiane dziś na różnych forach zarzuty „niemoralnego familizmu”, „chowu wsobnego” czy uczelnianego feudalizmu.

Procedury recenzyjne, formalnie takie same dla wszystkich, przebiegały jednak w dwóch bardzo od siebie odległych światach. W jednych osoba oceniana występowała jako nikomu nieznaną (zwłaszcza habilitant), w drugich jako ta, która dostała przyzwolenie na awans. Diametralnie różny stopień niepewności powodował odmienne strategie zabiegania o sukces. Nie bez znaczenia okazała się także autorefleksyjność środowisk naukowych, których interesy często bywały rozbieżne w tej kwestii, co czyniło starania o zmianę regulacji formalnych przedsięwzięciem z gruntu politycznym.

Zmiany ustawowe, zwłaszcza z lat 2011 i 2018, zmierzały w kierunku dookreślenia kryteriów oceny prac naukowych do takiego stopnia, aby procedura recenzowania dorobku stała się możliwie najbardziej sformalizowana, co miało zapewnić jej

przewidywalność. Przewidywalność – dodajmy – w wymiarze merytorycznym, a nie personalnym. Zamiast pisać ogólnie znane rzeczy o ilościowych parametrach ocen, o „punktozie”, „grantozie” i spółdzielniach wzajemnych cytowań, którymi odpowiedziało środowisko naukowe na te próby, proponuję przyjrzenie się temu, co w ich efekcie straciliśmy, a co zyskaliśmy w wymiarze kultury naukowej. Moje wnioski odnoszą się wyłącznie do socjologii (obecnie „nauk socjologicznych”), gdyż tylko do tej dyscypliny ogranicza się zbierany przeze mnie od pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych materiał empiryczny: bogaty zbiór recenzji doktorskich i habilitacyjnych.

Cezurą w strukturze recenzji prac „na stopień” jest ustawa z roku 2011. Recenzje pisane przed i po wejściu w życie tego aktu prawnego znacząco się od siebie różnią. Po kilkuletnim okresie przejściowym ukazują się wręcz dwie różne kultury naukowe: „przed” i „po”. „Przed” pytania stawiane recenzentowi w związku z ocenianą pracą zredegowane były dość ogólnie, z respektem wobec jego/jej funkcji eksperckiej: czy rozprawa spełnia warunki ustawowe, a dorobek naukowy lub artystyczny uzasadnia nadanie odpowiedniego stopnia naukowego. Recenzje habilitacyjne z tego okresu opatrzone są różnymi tytułami: „Opinia o dorobku naukowym, dydaktycznym i organizacyjnym dr X” (1997), „Opinia o dorobku naukowym dr X” (1999), „Recenzja rozprawy habilitacyjnej i dorobku naukowego dr X” (2000), „Recenzja dorobku naukowego i rozprawy habilitacyjnej dr X” (2002).

Slabo uregulowany przepisami

Dwa elementy obligatoryjne: rozprawa i dorobek naukowy występują w różnej kolejności, zasadniczo traktowane jako równoważne, „dorobek organizacyjny” (w tym dydaktyczny) może zostać oceniony, ale nie musi. W moim zbiorze recenzji z tego okresu dorobek dydaktyczny wskazany jest w tytule w 1% badanych tekstów, organizacyjny w 3%. Zdawać się zatem może, że

te aspekty ocenianej aktywności są mało istotne. Tymczasem w recenzji z 2001 roku autor pisze: „Można przypuszczać, że dr X jest doświadczonym dydaktykiem z prawie dwudziestoletnim stażem pracy, realizowanym zarówno w szkołach wyższych różnego typu, jak i w placówce uniwersyteckiej. Trudno jednak cokolwiek więcej o tych doświadczeniach napisać i je ocenić z uwagi na wspomniane już braki dokumentacyjne. Nie ukrywam, że jest to w mojej praktyce recenzenckiej pierwszy taki przypadek (wszystkie podkreślenia G.W.), aby dokumentacja awansowa nie zawierała ważnych – jak wolno sądzić – informacji o dokonaniach kandydata” (H 017/2001). [Oznaczenia kodowe odnoszą się do recenzji habilitacyjnych (H), numer recenzji nie wynika z chronologii, ale z matrycy kodowania przyjętej na potrzeby szerszych badań, dlatego wyłącznie na potrzeby niniejszego tekstu do numeru dodałam rok powstania recenzji].

W innym przypadku z kolei czytamy: „W pracy dr X ogromną rolę odgrywa także dydaktyka (...) X w swym autoreferacie przekonująco pokazuje, jak teoretyczne pomysły i inspiracje poddaje wymagającemu testowi zajęć dydaktycznych...” (H 022/2002).

W puli dorobku organizacyjnego pojawia się organizowanie konferencji, praca w sekcjach Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, przekłady, ale też funkcje pełnione w instytucjach i na wydziałach, udziały w komisjach stypendialnych itp. Dorobek organizacyjno-dydaktyczny występuje, jak widać, w sposób dość słabo uregulowany przepisami; jego wykazanie lub nie zależy od autora, a ocena tej decyzji dokonywana jest subiektywnie przez recenzenta na podstawie jego/jej wcześniejszych doświadczeń. W trakcie kolokwium habilitacyjnych niierzadko przestrzeń ta ukazywała się jako swoiste pole dialogu, który habilitant i recenzent mogli, lecz nie musieli nawiązać. Innymi słowy, w tym niejasno zdefiniowanym obszarze wymogów zawiera się istotna porcja tacit knowledge: informacja o środowiskowej kompetencji kandydata, który albo wie, albo nie wie, co jest ważne.

Konkluzje przyjmują różną postać

Najważniejszą jednak częścią recenzji była ocena dorobku naukowego i rozprawy habilitacyjnej. Kolejność tych ocen, ich rozłączność, komplementarność lub synteza, były kwestią indywidualnych wyborów i nie dostrzegłam tu wyraźnej przewagi żadnego rozwiązania. Przeciętna długość tekstu zawierającego ocenę i – zazwyczaj – merytoryczną dyskusję z tezami rozprawy, to ok. 4-6 stron zawierających też zwykle streszczenie pracy. Ocena pozostałego dorobku – poza nielicznymi wyjątkami – jest zwykle krótsza i bardziej syntetyczna: zawiera wymienienie liczby i form publikacji, czasem opinię o ich spójności z tematem rozprawy i między sobą, często recenzent tłumaczy np. lokalność publikacji tematyką pracy lub specyfiką środowiska naukowego osoby ocenianej. Nie dostrzegłam wyraźnych kryteriów, które byłyby zastosowane w przeważającej liczbie recenzji. Doskonale wyraża to uwaga jednego z autorów: „(w) ypada ocenić tę rozprawę (a w tle też i ten dorobek). <Co jest – to jest, a czego nie ma – to nie ma>, jak mawiał wielki starożytny założyciel myślenia strukturalistycznego (...)” (H 036/2002).

W istocie wygląda na to, że recenzenci starają się ustalić rangę przedstawionego dorobku naukowego, kierując się osobistym doświadczeniem, a następnie jak najzyczliwiej zinterpretować to, co widzą (Szerzej o strategiach „ratunkowych” recenzentów pisałam w: *Recenzje naukowe jako materiał badawczy*, „Przegląd Socjologiczny”, t. LXIV, zesz. 4/2015).

Konkluzje także przyjmują w tym okresie różną postać. Czasem syntetyczną: „Rozprawa habilitacyjna i cały dorobek naukowy dr X świadczą o bardzo wysokim ich poziomie

naukowym. (...) Uważam, że rozprawa dr X może być uznana jako rozprawa habilitacyjna” (H 092/2003). Czasem odnoszą tylko do książki: „Podkreślając raz jeszcze, że uznaję tę książkę za wydarzenie czasopiśmiennictwa naukowego – wnoszę o dopuszczenie dr X do dalszych etapów procedury habilitacyjnej” (H 107/2004). Czasem odwołują się do procedur formalnych: „Dochodzę tym samym do ogólnej oceny dorobku X z punktu widzenia wymogów habilitacyjnych. Uważam, że dorobek ten, uzyskany po doktoracie, a szczególnie praca xxxx spełnia wymogi stawiane w przewodzie habilitacyjnym” (H 042/2002). Czasem w konkluzji wyraża się wahanie autora: „Ważniejsze jest natomiast, co wnosi merytorycznie rozprawa dr. X. Moim zdaniem dostatecznie dużo, żeby dopuścić go do colloquium habilitacyjnego, a za mało, żeby ta recenzja była wyrazem entuzjazmu i zadowolenia z <dobrej roboty> na niwie uprawiania socjologii” (H 036/2002). A czasem konkluzja zostaje warunkowo odroczone: „Mam nadzieję, że kolokwium habilitacyjne pozwoli mi na uzupełnienie wiedzy o jego dorobku badawczym, dydaktycznym i publikacyjnym” (H 017/2001).

Generalnie rzecz ujmując, recenzje zwykle były tak czy inaczej konkluzywne, choć w części z nich nieco zaskakiwał poziom krytycyzmu w trakcie oceny książki w kontekście jednoznacznie pozytywnej konkluzji lub odwrotnie – umiarkowanie entuzjastyczna konkluzja i brak argumentów krytycznych wobec rozprawy. Formalnie wszyscy uczestnicy przewodu mieli świadomość, że przed osobą ocenianą jeszcze pozostają dwa etapy odrębnie ewaluowane: kolokwium i wykład habilitacyjny. Osobiście nie spotkałam się z oficjalną prośbą rad wydziałów o uzupełnienie recenzji, choć w trakcie posiedzeń poprzedzających kolokwia były formułowane prośby o dodanie elementów konkluzji do protokołu.

Istne eseje naukowe, dokument rozwoju lokalnych nurtów dyscypliny

Nowelizacje odnoszących ustaw oraz głosy części środowiska naukowego dowodzą, że ówczesna praktyka recenzowania oceniana była bardzo krytycznie. Nie do końca mogę się pod tą krytyką podpisać. Ocenianie błędów merytorycznych recenzji jest bardzo skomplikowane, gdyż badacz nie dysponuje materiałem ocenianym. W swoich badaniach trafiłam na jeden ewidentny błąd wynikający z niestaranności recenzenta: twierdził on, że badanie będące podstawą habilitacji przeprowadzono w trakcie jednorazowego zdarzenia społecznego, tymczasem przedmiotem badań była kilkuletnia sekwencja takich zdarzeń. Błąd ten nie miał zresztą negatywnych skutków dla osoby ocenianej. Zarzuty klikowości, „chowu wsobnego” i tym podobne, które odnoszą się do kryteriów dających równe szanse wszystkim osobom ocenianym, nie wydają się rozstrzygające: silne środowiska naukowe „wyposażają” swoich faworytów według takich skal, jakie akurat stanowią gwarancję sukcesu, słabe nie pomagają w uzyskaniu dziś wysoko ocenianych składników dorobku. Pod tym względem kierunek zmian proceduralnych pewnie przyniósł zawód swoim autorom. Fakt, że informacja o konkretnym „wkładzie” naukowym do dyscypliny często rozproszona była na kilku stronach merytorycznej dyskusji, nie mógł przeszkadzać gronom eksperckim, do których adresowane były recenzje. Wiele badanych przeze mnie recenzji z okresu przed 2011 rokiem, to istne eseje naukowe, same w sobie godne publikacji. Niosą informację o autorze, o priorytetach jego środowiska naukowego, tym samym stanowią dokument rozwoju lokalnych nurtów dyscypliny. Tryby powoływania recenzentów przez uprawnione ośrodki ukazują najzupełniej normalną praktykę społeczną, w myśl której dobierani są oni według klucza możliwie największego konsensu stylów badawczych, co w dyscyplinach wieloparadygmatycznych jest w pełni racjonalne.

Z mojej perspektywy – badacza zjawiska krytyki naukowej – ustawa z 2011 roku przyniosła jeden pozytywny skutek: jawność recenzji „na stopień”. Wcześniej uzyskiwałam materiały badawcze głównie z czterech źródeł: własnej pracy akademickiej, prosząc znajomych o recenzje ich prac, jako członkini rady naukowej posiadającej uprawnienia do doktoryzowania i habilitowania oraz kiedy w roli recenzenta/członka komisji uzyskiwałam dostęp do kompletu recenzji w innych ośrodkach. Ogólnie panował bowiem klimat opinii, według której jest to materiał tajny, osobisty i przez to niedostępny osobom z zewnątrz. Po 2011 roku teksty recenzji jako materiał jawny zostały zawieszane na stronach Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Nie wątpiłoby wpłynęło to na poprawę ich strony redaktorskiej, niemal zniknęły często wcześniej spotykane literówki, błędy stylistyczne czy mylenie nazwiska osoby ocenianej. Inne zmiany następowały wolniej.

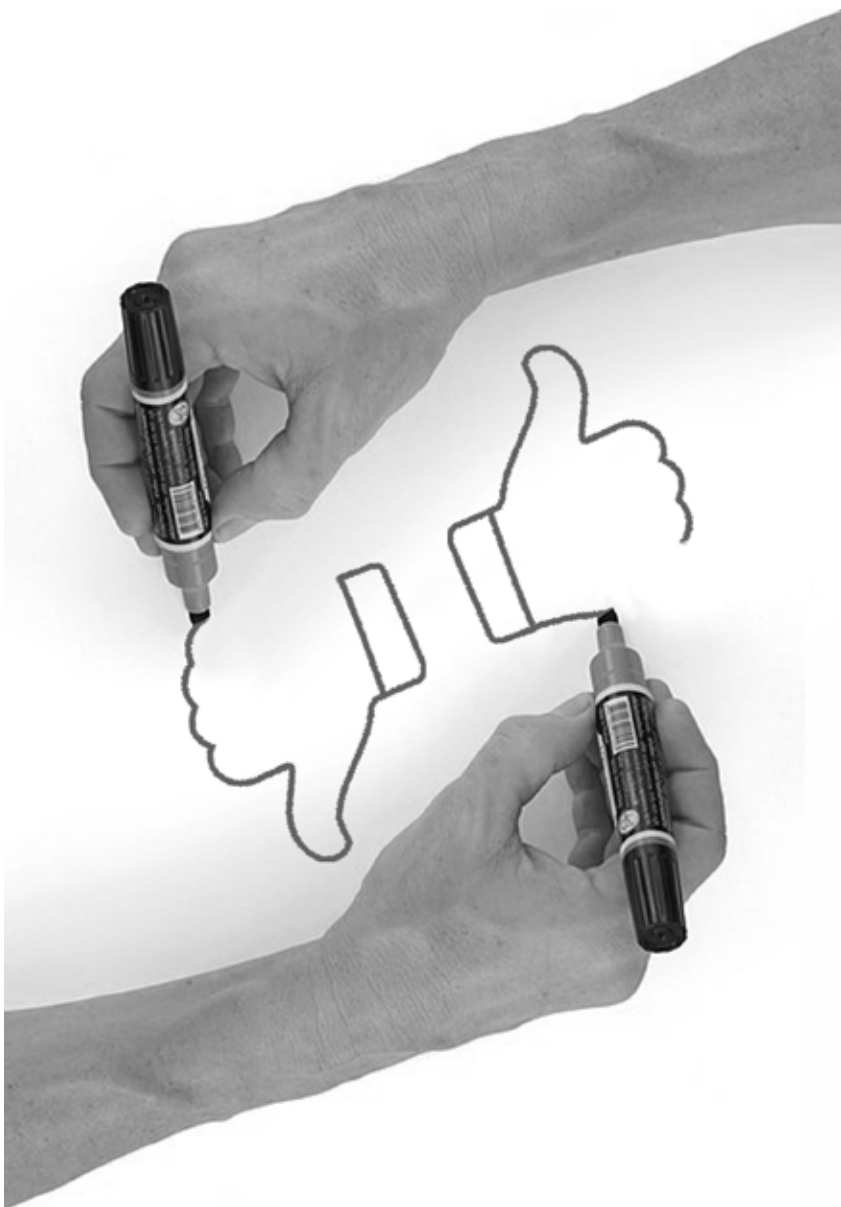
W ustawie z 2011 roku, uzupełnionej rozporządzeniem MNiSW z 1 września 2011 r. wśród ośmiu kryteriów oceny osiągnięć habilitanta zwłaszcza trzy okazały się tyleż nowe, co kontrowersyjne. Sumaryczny impact factor publikacji naukowych według listy JCR, liczba cytowań publikacji według bazy WoS i indeks Hirscha opublikowanych publikacji, także według bazy WoS, miały w intencji zmierzyć ponadlokalny wpływ wyników

prowadzonych badań, rozpoznawalność kandydatów w szerszym środowisku naukowym, a przede wszystkim ukazać, czy ich prace są widzialne za granicą. Kompleks list rankingowych, tak widoczny w komunikacji politycznej na temat nauki, tu dał o sobie znać z pełną mocą. Ukute zostało nawet nowe, okropne słowo, w którym zawiera się nacisk na priorytety polityczne: umiędzynarodowienie.

Zamiast analizy treści publikacji można stwierdzić niepożądany „brak”

Recenzje powstające w pierwszych latach obowiązywania nowych regulacji nie wskazują na ich entuzjastyczne przyjęcie.

„Choć „jednotematyczny cykl publikacji budzi moje zastrzeżenia z powodu rozproszenia tematycznego (...) z racji relatywnej nowości uwzględniania tej formy dorobku w procedurze habilitacyjnej i mojego braku doświadczenia w jej ocenie, jestem skłonna zaakceptować ten dorobek, choć bez specjalnego entuzjazmu” (H 007/2013), czytamy w roku 2013. W podobnym duchu część recenzentów wypowiada się o narzuconym sposobie oceny publikacji: „Ocena tych wszystkich publikacji na podstawie indeksów Web of Science byłaby w moim rozumieniu postępowaniem nieadekwatnym do ich znaczenia i nieoddającym obecnej i przyszłej pozycji Habili-



Rys. Sławomir Makaj

tantki w socjologii polskiej (w Web of Science 6, Intex Hirscha 1). Przede wszystkim widzę, że jest ona bardzo uczciwa w tym, co pisze i nie dostrzegam licznych pozycji w dorobku publikacyjnym napisanych tylko po to, by zdobyć kolejne punkty, lecz nie mając właściwie niczego ciekawego „od siebie” do powiedzenia, co ostatnio zdarza się nader często” (H 055/2014). Recenzent dzieli się spostrzeżeniem o powstaniu praktyki „pisanie dla punktów”, choć nie zarzuca tego postępowania ocenianej osobie. Albo: „Niestety wykaz przygotowany zgodnie z wymaganiami dokumentacyjnymi w ramach tzw. nowej procedury nie odpowiada na tę moją wątpliwość. A ja chcę zawsze zapoznać się z CAŁOŚCIĄ osiągnięć naukowych (...)” (H 028/2014). Tu recenzent odbiera narzucone kategorie oceny jako ograniczające jego dostęp do dorobku habilitanta.

W innych recenzjach z lat 2011-2014 (Materiałem poddany systematycznemu badaniu są recenzje powstałe w latach 1997–2015, o praktykach późniejszych piszę na podstawie doświadczeń zawodowych, nie badawczych.) często wraca wątek wpisywania danych liczbowych „na potrzeby parametryzacji”, sugestie, iż niczemu one nie służą, ubolewanie nad schematycznością wniosków powstających zgodnie z nowymi przepisami i – sporadycznie, ale nawracająco – podejrzenie o „strategie publikacyjne”, dzięki którym oceniani podwyższają sobie wymagane indeksy. Ostatecznie jednak wymogi te zostały na tyle przyswojone, że po 2014 roku nie znalazłam już odniesień do „starej” i „nowej” procedury; we wszystkich recenzjach pojawia się akapit odnoszący się do wymaganych wskaźników: „Indeks Hirscha Habilitantki wg Google Scholar wynosi 4. Według bazy Scopus indeks Habilitantki wynosi już jednak tylko 1, gdyż w bazie odnotowano jej 6 publikacji cytowanych łącznie 2 razy. W kluczowej bazie Web of Science znajdują się trzy pozycje autorstwa Habilitantki. W tym dwa teksty w języku angielskim (...) Żaden z nich nie ma jednak odnotowanego cytowania, co oznacza, że dla tzw. „Listy Filadelfijskiej” wartości indeksu Hirscha Habilitantki $h=0$ ” (H 052/2015).

W tym fragmencie pojawia się zupełnie nowy motyw, który będzie później stale obecny w kontekście wskaźników, ale też w kontekście aktywności międzynarodowej – motyw braku, niedostatku, niedoboru, który epizodycznie obecny był nieco wcześniej, lecz nie tak powszechnie: „Według systemu Harzing’s Publish or Perish liczba cytowań prac Habilitanta wynosi 18, a współczynnik Hirscha 2. (...) daje się **zatem** zauważyć **brak** szerszego doświadczenia Habilitanta w zakresie kierowania i realizacji projektów badawczych o ponadlokalnym charakterze” (H 005/2014).

Wskaźniki lokują dorobek w opozycji: lokalne – ponadlokalne, interpretacja liczby cytowań pozwala ocenić doświadczenie w kierowaniu projektami badawczymi, zależność przyczynowa jest znaturalizowana („zatem”) i zamiast analizy treści publikacji można w jednym akapicie stwierdzić niepożądaną „brak”. I w kontekście „umiędzynarodowienia” oraz związanego z nim drugiego magicznego słowa – „mobilności”: „Jeśli chodzi o staże i stypendia w zagranicznych ośrodkach naukowych i akademickich, to można zauważyć **brak** mobilności w tym zakresie. Jedynie na początku kariery naukowej, w czasach gdy był jeszcze asystentem (...) utrzymywał kontakt z niemieckim środowiskiem naukowym. W późniejszym czasie, aż do chwili obecnej ta aktywność jest zdecydowanie mniejsza” (H 054/2014).

W miejsce kilkunastu dyskusji merytorycznej recenzje po 2014 roku coraz częściej zawierają serie krótkich akapitów odwołujących się do liczb i „braków”. Wcześniejsza sylwetka habilitanta jako troskliwego kontynuatora swojej szkoły

myslowej, godnego następcy, który wykazał się koniecznymi kompetencjami, o czym poświadczają autorytety w recenzjach dopuszczających go do grona równych sobie, praktycznie znika. Wręcz trąci myszką, jej przywołanie jest niepożądane: „Jest to więc typowa kariera polskiego naukowca „od studenta do profesora” w tej samej uczelni. Nie jest to zarzut, ale stwierdzenie dość smutnego faktu” (H 035/2015).

Dziś sylwetka ta zakłada „mobilność” od samych początków kariery, aktywność w zdobywaniu grantów, umiejętność publikowania w „punktowanych” czasopismach, zgodę na tymczasowość zatrudnienia zawołowaną figurowym listkiem „rozwoju”. Abstrahując od strukturalnych problemów wdrażania wzorców korporacyjnych w odmienną od źródłowej rzeczywistość kulturową, instytucjonalną, ekonomiczną i polityczną, gdyż to oddzielny temat, i pozostając jedynie przy problematyce recenzji nie sposób oprzeć się kilku wnioskom:

- Recenzenci po krótkim okresie przejściowym dość skutecznie przyswoili sobie nowy styl oficjalnej krytyki naukowej. Szczegółowa enumeracja wymogów pozwala pisać teksty krótsze, bardziej sformalizowane, o narzuconej strukturze. Ich zakładana jawność działa motywująco na przestrzeganie wymogów odnośnie do formy.

- Recenzenci rzadziej podejmują w tekstach dyskusję z tezami habilitanta, mają bowiem świadomość, że kontakt z ocenianą osobą jedynie w ograniczonym stopniu pozwoli na jej kontynuację w ramach procedury. Gdyby zatem spojrzeć na jakość recenzji od strony ich funkcji jako dialogu w nauce, w efekcie rozwiązań z 2011 roku, można zauważyć jej pewien spadek.

- „Demokratyzacja” i „kwantyfikacja” procedury spowodowały przeniknięcie przez habilitacyjne sito trudnej do oszacowania liczby kandydatów, którzy nie spełniali „starych” kryteriów. Są to beneficjenci obniżenia rangi oceny „jakościowej”.

- Główny ciężar oceny spoczywa, jak dawniej, na radzie/komisji habilitacyjnej, w której obecni są przedstawiciele środowiska naukowego osoby ocenianej. Zatem opinia lokalna, cechy osobiste, tzw. kapitał społeczny habilitanta nadal, choć w mniejszym stopniu, pozostają kryteriami oceny ważnymi, choć niejawnymi. Wciąż podejmowane próby „uszczelniania” systemu przez np. przepisy nakazujące komisjom ocenę negatywną przy dwóch negatywnych recenzjach wskazują jednoznacznie na intencję ustawodawcy ograniczenia autonomii komisji i rad naukowych.

- Recenzent przesunięty został z pozycji autorytetu na pozycję słabo opłacanego eksperta pracującego według dość ścisłych wytycznych. Nie jest to czynnik motywujący do najwyższej jakości pracy; jeśli wciąż sływa tak wiele dobrze napisanych i kompetentnych recenzji, zawdzięczamy to raczej wysokiemu morale autorów niż doskonaleniu procedur.

Co straciliśmy?

Straciliśmy mechanizmy podtrzymujące spójność i ciągłość szkół i nurtów w nauce, system mistrzowski dający czasowe poczucie bezpieczeństwa i możliwość doskonalenia warsztatu naukowego, kolejne elementy etosu naukowego jako systemu (samo)kontroli etycznej i merytorycznej w nauce. Ich podtrzymywanie wymaga od środowiska pozainstytucjonalnej dodatkowej pracy pedagogicznej.

Co zyskaliśmy? Zyskaliśmy młode kadry pogodzone z prekaryzacją swojego zawodu, gotowe podjąć się roli badaczy – rzemieślników podążających za tematami sponsorowanymi. Czy i dla kogo to dobrze, czy i dla kogo źle, to już temat na zupełnie inną opowieść.

*Prof. dr hab. Grażyna Woroniecka, kierownik Katedry Socjologii Wiedzy i Moralności,
Instytut Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego*

Joanna Golińska-Pilarek, Renata Mazurkiewicz, Anna Strzebońska, Joanna Wolszczak-Derlacz

MINIATURA, mały format, duże możliwości

Zrównoważona dystrybucja środków w MINIATURZE, zarówno pod względem typów jednostek naukowych, jak i województw, pokazuje, że MINIATURA jest ważną formą wsparcia finansowego w ofercie grantowej NCN, która dobrze odpowiada na zapotrzebowanie mniejszych ośrodków na tzw. małe granty.

MINIATURA to program Narodowego Centrum Nauki przeznaczony do realizacji pojedynczego działania naukowego z zakresu badań podstawowych. Pierwszy konkurs MINIATURY został ogłoszony 15 grudnia 2016 roku, a do końca 2022 roku program miał już 6 edycji. We wszystkich konkursach MINIATURY złożono 13 995 wniosków, z których 3859 uzyskało finansowanie.

Dane dotyczące rozstrzygniętych dotychczas edycji MINIATURY pokazują, że program ten cieszy się dużym zainteresowaniem badaczy i stanowi dobrą odpowiedź na zapotrzebowanie środowiska naukowego na tzw. małe granty.

Czym jest MINIATURA?

To nie jest program finansowania projektów badawczych, ale finansowego wsparcia pojedynczego działania naukowego z zakresu badań podstawowych, które realizować można w formie badania wstępnego lub pilotażowego, kwerendy, stażu badawczego, wyjazdu naukowego albo konsultacyjnego. Realizacja działania naukowego służyć ma przygotowaniu przyszłego projektu badawczego, planowanego do złożenia w pozostałych programach NCN czy w innych krajowych lub międzynarodowych programach na projekty badawcze. Budżet na realizację pojedynczego działania naukowego trwającego nie dłużej niż 12 miesięcy wynosi od 5 do 50 tys. zł.

Ze względu na cel MINIATURY Rada NCN ustaliła specyficzne warunki przeprowadzania tego programu. Wniosek w programie MINIATURA może złożyć osoba, która: jest zatrudniona w jednostce naukowej w Polsce (uczelnia lub instytucja) na umowę o pracę; uzyskała stopień doktora w okresie do 12 lat przed rokiem wystąpienia z wnioskiem (okres ten może być przedłużony o tzw. przerwy w karierze); nie kierowała i nie kieruje projektem badawczym finansowanym ze środków

NCN; nie jest laureatem programów ETIUDA, FUGA, UWERTURA; nie jest kierownikiem projektu we wniosku złożonym lub zakwalifikowanym do finansowania w innym programie NCN; posiada co najmniej jedną publikację naukową lub co najmniej jedno dokonanie artystyczne lub artystyczno-naukowe. Adresatami MINIATURY są więc osoby po doktoracie, które rozpoczynają samodzielne prowadzenie badań i nie kierowały grantami NCN. Ma ona umożliwić młodym naukowcom rozpoczęcie funkcjonowania w systemie grantowym NCN i zdobycie doświadczenia niezbędnego do dalszej aktywności grantowej. Laureatem tego programu można być tylko raz.

Struktura wniosku i zakres wymaganych danych, jak i proces oceny aplikacji, są w tym programie prostsze niż w programach NCN na projekty badawcze. Ważnymi elementami wniosku w MINIATURZE są: (1) syntetyczny opis działania naukowego planowanego do realizacji (jedna strona A4); (2) opis związku planowanego działania naukowego z przyszłym projektem badawczym wraz z uzasadnieniem konieczności realizacji działania w kontekście potencjalnego wpływu na poziom naukowy przyszłego projektu badawczego (strona A4); (3) osiągnięcia naukowe wnioskodawcy (do 6 tys. znaków); (4) wybrana publikacja albo dokonanie artystyczne lub artystyczno-naukowe; (5) zestawienie kosztów wraz z uzasadnieniem.

Nabór wniosków w programie MINIATURA prowadzony jest w trybie ciągłym przez kilka miesięcy w roku, to znaczy wniosek można złożyć w dowolnym momencie od dnia ogłoszenia konkursu do jego zamknięcia. Aplikacje podlegają ocenie w interwałach miesięcznych. Z tego powodu środki finansowe przeznaczone na dany konkurs, których wysokość ustala Rada NCN, dzielone są proporcjonalnie do liczby miesięcy trwania naboru aplikacji.

Wnioski podlegają ocenie formalnej przez koordynatorów dyscyplin i jednoetapowej ocenie merytorycznej przez członków zespołu ekspertów. Punktowa ocena wniosku uwzględnia: wartość naukową planowanego działania i zasadność jego realizacji w kontekście przyszłego projektu badawczego (80% punktacji) oraz osiągnięcia naukowe wnioskodawcy (20% punktacji). Ocenie podlega również zasadność planowanych kosztów w stosunku do przedmiotu i zakresu działania. Ocena merytoryczna wniosku polega na sporządzeniu indywidualnych opinii i przypisaniu punktacji przez trzech ekspertów. Do finansowania rekomendowany jest wniosek, który uzyskał w końcowej ocenie co najmniej 70% punktów, pod warunkiem że spełnia kryteria formalne i mieści się w puli dostępnych środków na dany miesiąc. Decyzja dotycząca przyznania finansowania następuje w ciągu 5 miesięcy od dnia złożenia wniosku.

Cele MINIATURA

Głównym celem programu jest finansowe wsparcie osób, które nie mają doświadczenia grantowego i planują złożyć wniosek o finansowanie projektu badawczego w programach NCN lub innych programach grantowych. Pośrednim celem MINIATURA jest aktywizacja i upowszechnianie kultury grantowej w tych ośrodkach naukowych, które pomimo potencjału do realizacji interesujących projektów badawczych nie mają ugruntowanej tradycji w ubieganiu się o zewnętrzne źródła finansowania. W swych podstawowych założeniach MINIATURA ma więc wyrównywać szanse w pozyskiwaniu zewnętrznych funduszy na badania trzech grup badaczy: o nietypowym przebiegu kariery naukowej, pracujących w mniejszych ośrodkach naukowych lub w regionach o mniejszym nasyceniu jednostkami badawczymi.

W ostatnich 2 latach w ramach prac Komisji Rady NCN ds. oceny efektów działalności NCN oraz Zespołu NCN ds. analiz i ewaluacji przeprowadzono szczegółową analizę MINIATURA na podstawie dostępnych danych statystycznych. Jej celem była próba odpowiedzi na następujące pytania: Czy MINIATURA aktywizuje badaczy do dalszej działalności grantowej i sprzyja skuteczności w pozyskiwaniu finansowania na kolejne projekty badawcze? Które jednostki naukowe i województwa są najbardziej aktywne w aplikowaniu i pozyskiwaniu funduszy w tym programie? W artykule tym omówimy najważniejsze wnioski z przeprowadzonej analizy.

Grantowa aktywność laureatów

MINIATURA ma aktywizować badaczy do dalszej działalności grantowej. Nasza analiza zakłada, że jej miernikiem jest procent laureatów, którzy już po uzyskaniu finansowania na pojedyncze działanie naukowe aplikowali w innych programach NCN. Dodatkowo analiza tego aspektu oceny MINIATURA uwzględnia wyłącznie dane z dwóch pierwszych konkursów. Tylko w nich bowiem realizacja wszystkich działań została już zakończona. Ponadto nie były one zakłócone pandemią COVID-19, co w przypadku kolejnych konkursów MINIATURA skutkowało często przedłużeniem realizacji działania naukowego. Co więcej, od zakończenia MINIATURA 1 i MINIATURA 2 upłynęło wystarczająco dużo czasu, by ich laureaci mieli szansę złożyć wniosek o finansowanie projektu badawczego w kilku programach NCN. Ograniczenie analizy do dwóch pierwszych konkursów MINIATURA uzasadnione jest reprezentatywnością danych statystycznych, które pozwalają spojrzeć na aktywność laureatów w późniejszych programach NCN z odpowiednio długiej perspektywy czasu.

Z dostępnych dotychczas danych wynika, że w późniejszych programach NCN aplikowało ok. 47% laureatów dwóch pierwszych konkursów MINIATURA, odpowiednio 48% laureatów

MINIATURA 1 i 45% laureatów MINIATURA 2. Dużo to czy mało? Jednoznaczna ocena tego wyniku nie jest łatwa i zależy może od przyjętych oczekiwań oraz uwzględnienia złożoności funkcjonowania badaczy w otoczeniu akademickim.

Z perspektywy NCN pożądanym rezultatem byłby oczywiście wynik bliski 100%. Należy jednak zauważyć, iż zasady programu MINIATURA nie nakładają obowiązku złożenia wniosku w innych programach NCN po zakończeniu realizacji działania naukowego. MINIATURA ma bowiem zachęcać do dalszej aktywności grantowej (niekoniecznie w NCN), a nie ją wymuszać. Ponadto ze względu na brak danych uzyskany wynik, ograniczony do aktywności grantowej laureatów MINIATURA w programach NCN, nie uwzględnia aktywności w krajowych i międzynarodowych programach grantowych organizowanych poza NCN, a takie przypadki mają miejsce. Najbardziej spektakularnym przykładem jest tu prof. Valentina Lepri, laureatka MINIATURA, która po zakończeniu działania finansowanego przez NCN uzyskała grant ERC Consolidator. Prof. Lepri podkreślała w wywiadach, że to właśnie otrzymanie finansowania w programie MINIATURA na pilotażowe badania pozwalające zweryfikować wstępny pomysł na projekt badawczy było kluczowe w przygotowaniu wniosku ERC, który następnie uzyskał finansowanie. Właściwa ocena skuteczności MINIATURA w aktywizacji grantowej wymaga więc dodatkowej analizy, uwzględniającej dane o aktywności w programach spoza NCN.

Tabela 1. Aktywność laureatów programu MINIATURA 1 i MINIATURA 2 w składaniu wniosków o finansowanie projektu badawczego w krajowych programach NCN rozstrzygniętych po zakończeniu naboru w dwóch pierwszych edycjach programu MINIATURA.

	MINIATURA 1	MINIATURA 2	MINIATURA 1 i MINIATURA 2
Liczba laureatów	829	723	1552
Liczba laureatów aplikujących w późniejszych programach krajowych NCN	400	323	723
Udział laureatów aplikujących w pozostałych programach krajowych NCN	48%	45%	47%

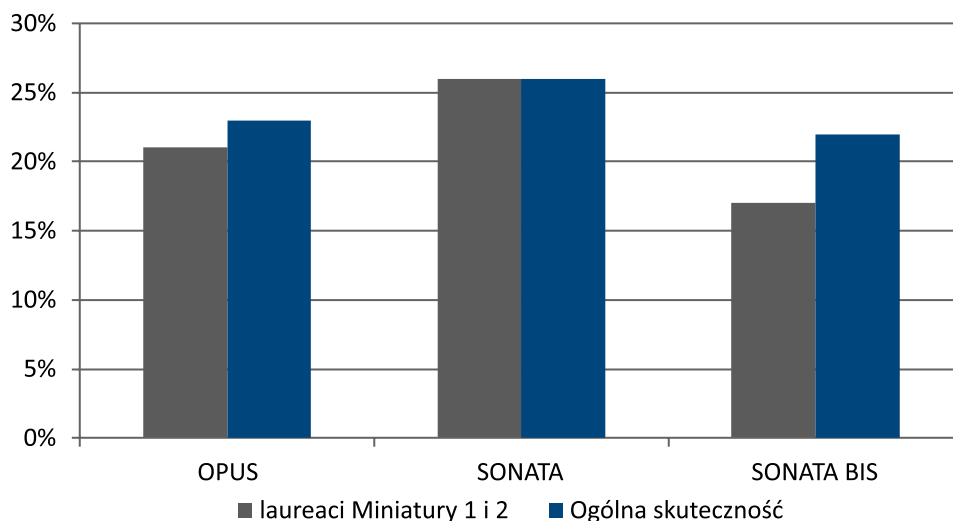
Skuteczność laureatów MINIATURA

Kolejnym miernikiem w naszej analizie była skuteczność aplikacyjna laureatów w późniejszych programach NCN. Czy realizacja pojedynczego działania naukowego finansowanego w MINIATURZE zwiększa szanse na uzyskanie grantu badawczego w NCN? Inaczej mówiąc, czy laureaci MINIATURA są bardziej czy mniej skuteczni w pozyskiwaniu funduszy w NCN w porównaniu do ogólnej populacji aplikujących? I jak to wygląda w poszczególnych typach programów NCN, a jak w podziale na grupy dyscyplin?

Wykres 1. przedstawia liczbowe współczynniki sukcesu (liczba wniosków zakwalifikowanych do finansowania do liczby wniosków złożonych) laureatów dwóch pierwszych konkursów MINIATURA (szary słupek) oraz wszystkich aplikujących (niebieski słupek) w wybranych programach NCN rozstrzygniętych po zakończeniu naboru w dwóch pierwszych edycjach MINIATURA.

W programach OPUS i SONATA skuteczność laureatów programu MINIATURA jest podobna do ogólnej skuteczności. Wyraźną różnicę widać jednak w programie SONATA BIS, w którym jest ona znacznie niższa (17% do 22%).

Nieco bardziej zróżnicowane wyniki skuteczności dostajemy w podziale na trzy grupy dyscyplin: nauki humanistyczne, społeczne i o sztuce (HS), nauki o życiu (NZ) oraz nauki ścisłe i techniczne (ST).



Wykres 1. Skuteczność laureatów programu MINIATURA 1 i MINIATURA 2 a ogólna skuteczność w pozyskiwaniu grantów w wybranych krajowych programach NCN rozstrzygniętych po zakończeniu naboru w dwóch pierwszych edycjach programu MINIATURA.

W programie SONATA skuteczność laureatów dwóch pierwszych MINIATUR i ogólna skuteczność są w poszczególnych grupach dyscyplin na podobnym poziomie. Różnice widać w programach OPUS i SONATA BIS.

W grupie HS skuteczność laureatów MINIATURY, wynosząca 22% w SONACIE BIS i 31% w OPUS, jest wyższa lub znacząco wyższa niż ogólna skuteczność w tej grupie, odpowiednio 19% w SONACIE BIS i 20% w OPUS. To właśnie laureaci reprezentujący grupę HS mają najwyższy współczynnik sukcesu w programie OPUS – wynosi on aż 31%.

Natomiast w grupach NZ i ST rozkład jest odwrotny. Laureaci MINIATURY mają niższe współczynniki sukcesu (20% w NZ i 13% w ST w programie OPUS oraz 13% w NZ i 15% w ST w programie SONATA BIS) niż ogólna populacja aplikujących w tych grupach nauk (odpowiednio 24% w NZ i 25% w ST w OPUS oraz 20% w NZ i 24% w ST w SONACIE BIS).

Uzyskane wyniki wyraźnie pokazują, że MINIATURA działa promująco w grupie HS, co z kolei sugeruje, że jest to niezwykle ważny program w ofercie grantowej NCN dla tej grupy dyscyplin. Ta szczególnie pozycja grupy HS wynikać może z niższej niż w pozostałych grupach dyscyplin średniej kosztowności planowanych działań naukowych.

Tabela 2. Skuteczność laureatów programu MINIATURA 1 i MINIATURA 2 a ogólna skuteczność w pozyskiwaniu grantów w wybranych krajowych programach NCN rozstrzygniętych po zakończeniu naboru w dwóch pierwszych edycjach programu MINIATURA, w podziale na trzy grupy dyscyplin.

program	Grupa nauk	Laureaci MINIATURY 1 i 2	Ogólna skuteczność
OPUS	HS	31%	20%
	NZ	20%	24%
	ST	13%	25%
SONATA	HS	25%	23%
	NZ	25%	25%
	ST	26%	27%
SONATA BIS	HS	22%	19%
	NZ	13%	20%
	ST	15%	24%

Miniatura w podziale na typy jednostek

Jednym z celów MINIATURY jest finansowe wsparcie badań prowadzonych w ośrodkach naukowych, w których kultura grantowa jest w niewielkim stopniu upowszechniona. W założeniach program ma wyrównywać szanse w pozyskiwaniu funduszy na badania wstępne, służące przygotowaniu wniosku na finansowanie projektu badawczego, realizowane w tych ośrodkach, których rola w polskim systemie nauki nie jest silnie skoncentrowana wyłącznie na badaniach.

Na potrzeby analizy tego aspektu funkcjonowania MINIATURY w ofercie grantowej NCN przyjęto następujący podział jednostek naukowych w Polsce: (1) uczelnie badawcze – dziesięć uczelni, które uzyskały status „uczelnia badawcza” w ramach programu „Inicjatywa doskonałości – uczelnia badawcza” (IDUB) na lata 2020-2026; (2) uczelnie aspirujące – dziesięć uczelni zakwalifikowanych do programu IDUB, które nie uzyskały statusu „uczelnia badawcza”; (3) pozostałe uczelnie, które nie należą do powyższych grup; (4) instytuty badawcze – państwowe jednostki organizacyjne, wyodrębnione pod względem prawnym, organizacyjnym i ekonomiczno-finansowym, które prowadzą badania naukowe i prace rozwojowe ukierunkowane na ich wdrożenie i zastosowanie w praktyce; (5) jednostki naukowe PAN – sieć jednostek naukowych oraz instytucji wspomagających ich funkcjonowanie, prowadzonych i nadzorowanych przez Polską Akademię Nauk, w tym instytuty międzynarodowe; (6) jednostki inne niż wymienione powyżej, takie jak stowarzyszenia, fundacje, firmy prywatne, szpitale, muzea, biblioteki itp.

Z perspektywy tego podziału na typy jednostek MINIATURA jest w swoich założeniach adresowana w większym stopniu do pozostałych uczelni niż uczelni badawczych czy jednostek naukowych PAN, w których zazwyczaj kultura grantowa, jak i działalność badawcza są rozwinięte i ugruntowane. Co pokazują dane statystyczne? Czy w pozostałych uczelniach MINIATURA cieszy się większym zainteresowaniem niż inne programy NCN? I jak kształtuje się skuteczność w pozyskiwaniu funduszy w tym programie w poszczególnych typach jednostek?

Analiza pod względem typów jednostek naukowych uwzględnia pięć konkursów MINIATURY rozstrzygniętych w latach 2017-2021. Największą aktywność w programie MINIATURA wykazują pozostałe uczelnie – udział procentowy wynosi tu aż 53%, podczas gdy w innych programach NCN udział ten wynosi prawie dwa razy mniej – 27%. Najmniej

Tabela 3. Wnioski złożone i zakwalifikowane do finansowania wraz ze współczynnikami sukcesu w programie MINIATURA oraz w pozostałych krajowych programach NCN rozstrzygniętych w latach 2017-2021, w podziale na typy jednostek naukowych.

typ jednostki naukowej	MINIATURA 2017-2021					pozostałe programy krajowe 2017-2021					różnica pomiędzy MINIATURA zakwalifikowane a pozostałe programy krajowe zakwalifikowane
	złożone		zakwalifikowane		wsp. sukcesu	złożone		zakwalifikowane		wsp. sukcesu	
uczelnie badawcze	2532	21%	915	27%	36%	16 065	38%	4034	45%	25%	-18 p.p
uczelnie aspirujące	1993	16%	630	19%	32%	6415	15%	1197	13%	19%	5 p.p
pozostałe uczelnie	6398	53%	1308	39%	20%	11 675	27%	1546	17%	13%	22 p.p
instytuty badawcze	408	3%	121	4%	30%	1744	4%	293	3%	17%	0 p.p
jednostki naukowe PAN	814	7%	373	11%	46%	6414	15%	1758	20%	27%	-9 p.p
inne	35	0%	10	0%	29%	498	1%	79	1%	16%	-1 p.p
suma	12 180	100%	3357	100%	28%	42 811	100%	8907	100%	21%	

wniosków składają instytuty badawcze (3%) oraz inne jednostki (mniej niż 1%), przy czym udział tych jednostek w pozostałych programach NCN kształtuje się na podobnym poziomie. Natomiast procentowy udział wniosków składanych w programie MINIATURA przez uczelnie badawcze i jednostki naukowe PAN, który wynosi odpowiednio 21% i 7%, jest istotnie niższy niż procentowy udział wniosków składanych przez te jednostki w pozostałych programach NCN (odpowiednio 38% i 15%). Wyniki te jasno wskazują, że MINIATURA jest bardziej atrakcyjna dla pozostałych uczelni niż dla uczelni badawczych i jednostek PAN.

Do jakich typów jednostek najczęściej trafiają środki z MINIATURY? Otóż, największy procentowy udział wniosków zakwalifikowanych do finansowania w MINIATURZE przypada na pozostałe uczelnie (39%), na drugim miejscu są uczelnie badawcze (27%), na trzecim zaś uczelnie aspirujące (19%). W pozostałych krajowych programach NCN zdecydowanym liderem w pozyskiwaniu środków finansowych w analizowanym okresie są uczelnie badawcze (45%), a następnie w kolejności jednostki naukowe PAN (20%) oraz pozostałe uczelnie (17%).

Warto zwrócić uwagę na wynik uczelni aspirujących. Zarówno w programie MINIATURA, jak i w innych programach NCN udział procentowy wniosków zakwalifikowanych do finansowania złożonych przez uczelnie aspirujące jest niższy niż udział wniosków zakwalifikowanych do finansowania, które zostały złożone przez pozostałe uczelnie wyższe. Dostępne dane nie dają podstaw do jednoznacznej diagnozy przyczyn tego stanu rzeczy. Prawdopodobnie wynika to z faktu, iż grupa uczelni aspirujących jest kadrowo istotnie mniejsza niż grupa pozostałych uczelni.

Różnica udziału procentowego wniosków zakwalifikowanych do finansowania w programie MINIATURA oraz udziału procentowego wniosków zakwalifikowanych w pozostałych krajowych programach NCN rozstrzygniętych w latach 2017-

2021 wskazuje wyraźnie na wyższy udział procentowy dystrybucji środków w MINIATURZE na rzecz pozostałych uczelni (+22 p.p.), w odróżnieniu od uczelni badawczych, których udział w przyjętym podziale jest najniższy (-18 p.p.).

Najwyższy współczynnik sukcesu w latach 2017-2021 osiągnęły jednostki naukowe PAN, zarówno w programie MINIATURA (46%), jak i w pozostałych programach krajowych (27%). Uczelnie badawcze osiągnęły współczynnik sukcesu na poziomie 36% w MINIATURZE oraz 25% w pozostałych programach krajowych, natomiast uczelnie aspirujące odpowiednio 32% i 19%.

To dowodzi, że uczelnie o typowo badawczym charakterze są aktywne w każdym typie programów pod względem liczby składanych wniosków oraz odnoszą sukcesy w pozyskiwaniu finansowania. Również jednostki naukowe PAN są skuteczne we wszystkich typach programów, o czym świadczą wysokie współczynniki sukcesu. Pozostałe uczelnie są natomiast liderem w liczbie złożonych i zakwalifikowanych wniosków w programie MINIATURA oraz wyraźnie w nim dominują w porównaniu z pozostałymi krajowymi programami NCN.

Z analizy pięciu konkursów programu MINIATURA w podziale na grupy dyscyplin widać wyraźnie wyższy współczynnik sukcesu w przypadku nauk o życiu (NZ) oraz nauk ścisłych i technicznych (ST), w porównaniu z pozostałymi programami krajowymi. Najwyższa wartość odnotowana w grupie ST wynosi 33%, w grupie NZ 31%, podczas gdy w HS 20%. W pozostałych programach krajowych współczynnik sukcesu w trzech rozpatrywanych grupach waha się w granicach 19-21%. Najwyższą aktywnością mierzoną udziałem procentowym wniosków złożonych (37%) oraz wniosków zakwalifikowanych do finansowania (42%) charakteryzuje się grupa NZ. W grupie HS udział procentowy wynosi odpowiednio 36% i 26%, natomiast w grupie ST 26% i 32%.

Tabela 4. Wnioski złożone i zakwalifikowane do finansowania wraz ze współczynnikami sukcesu w programie MINIATURA oraz w pozostałych krajowych programach NCN rozstrzygniętych w latach 2017-2021, w podziale na grupy dyscyplin.

grupy dyscyplin	MINIATURA 2017-2021					pozostałe programy krajowe 2017-2021				
	złożone		zakwalifikowane		współczynnik sukcesu	złożone		zakwalifikowane		współczynnik sukcesu
HS	4441	36%	868	26%	20%	12 997	30%	2420	27%	19%
NZ	4538	37%	1424	42%	31%	13 759	32%	2896	33%	21%
ST	3201	26%	1065	32%	33%	16 055	38%	3591	40%	22%
suma	12 180	100%	3357	100%	28%	42 811	100%	8907	100%	21%

Tabela 5. Wnioski złożone i zakwalifikowane do finansowania wraz ze współczynnikami sukcesu w programie MINIATURA oraz w pozostałych krajowych programach NCN rozstrzygniętych w latach 2017-2021, w podziale na województwa

województwo	MINIATURA 2017-2021					pozostałe programy krajowe 2017-2021					różnica pomiędzy MINIATURA zakwalifikowane a pozostałe programy krajowe zakwalifikowane
	złożone		zakwalifikowane		współczynnik sukcesu	złożone		zakwalifikowane		współczynnik sukcesu	
dolnośląskie	795	7%	247	7%	31%	3654	9%	834	9%	23%	-2 p.p.
kujawsko-pomorskie	497	4%	117	3%	24%	1509	4%	283	3%	19%	0 p.p.
lubelskie	971	8%	248	7%	26%	1781	4%	215	2%	12%	5 p.p.
lubuskie	89	1%	15	0%	17%	167	0%	27	0%	16%	0 p.p.
łódzkie	762	6%	240	7%	31%	2232	5%	403	5%	18%	3 p.p.
małopolskie	1538	13%	531	16%	35%	7238	17%	1698	19%	23%	-3 p.p.
mazowieckie	2200	18%	685	20%	31%	12 053	28%	3075	35%	26%	-14 p.p.
opolskie	232	2%	45	1%	19%	288	1%	21	0%	7%	1 p.p.
podkarpackie	291	2%	60	2%	21%	438	1%	42	0%	10%	1 p.p.
podlaskie	556	5%	128	4%	23%	811	2%	128	1%	16%	2 p.p.
pomorskie	739	6%	231	7%	31%	2696	6%	506	6%	19%	1 p.p.
śląskie	1069	9%	212	6%	20%	3113	7%	403	5%	13%	2 p.p.
świętokrzyskie	229	2%	41	1%	18%	333	1%	18	0%	5%	1 p.p.
warmińsko-mazurskie	536	4%	101	3%	19%	979	2%	143	2%	15%	1 p.p.
wielkopolskie	1176	10%	369	11%	31%	4704	11%	1031	12%	22%	-1 p.p.
zachodniopomorskie	497	4%	86	3%	17%	809	2%	80	1%	10%	2 p.p.
suma	12 180	100%	3357	100%	28%	42 811	100%	8907	100%	21%	

Miniatura w podziale na województwa

Atrakcyjność MINIATURY, jak i dystrybucję środków w tym programie poddano również analizie z perspektywy województw z uwzględnieniem danych z pięciu konkursów rozstrzygniętych w latach 2017-2021. Najwięcej złożonych wniosków pochodzi z województwa mazowieckiego, co nie powinno dziwić, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że to właśnie w tym województwie jest największa koncentracja podmiotów i pracowników systemu szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce (według danych w systemie RADON – 34,53% wszystkich podmiotów). Na kolejnych miejscach pod względem procentowego udziału wniosków złożonych w programie MINIATURA plasują się województwa: małopolskie (13%), wielkopolskie (10%), śląskie (9%) i lubelskie (8%). Warto jednak zauważyć, że w przypadku województw mazowieckiego, małopolskiego i wielkopolskiego, czyli tych, w których jest duża koncentracja największych uczelni i jednostek naukowych PAN, procentowy udział złożonych wniosków jest w programie MINIATURA istotnie niższy niż w pozostałych krajowych programach NCN rozstrzygniętych w latach 2017-2021. Z kolei w przypadku województw śląskiego i lubelskiego sytuacja jest odwrotna: odnotowują one większy procentowy udział złożonych wniosków w MINIATURZE niż w innych programach NCN.

Globalna analiza różnic udziału procentowego wniosków złożonych w programie MINIATURA oraz udziału procentowego wniosków złożonych w pozostałych programach krajowych w latach 2017-2021 wskazuje wyraźnie na proporcjonalnie wyższą aktywność w aplikowaniu o MINIATURĘ naukowców z województw, w których jest mniejsza koncentracja podmiotów i pracowników systemu nauki. Nieujemną różnicę mają bowiem województwa: kujawsko-pomorskie, lubelskie, lubuskie, łódzkie, opolskie, podkarpackie, podlaskie, pomorskie, śląskie, warmińsko-mazurskie, zachodniopomorskie. Ujemna różnica przypada na cztery województwa, które charakteryzują się największą koncentracją podmiotów i pracowników nauki:

mazowieckie, małopolskie, wielkopolskie, dolnośląskie. Aktywność tych województw w aplikowaniu o MINIATURĘ jest procentowo istotnie niższa niż w pozostałych programach NCN. Wyniki te pokazują, że w porównaniu do innych programów krajowych MINIATURA cieszy się bardziej zrównoważonym geograficznie zainteresowaniem.

A jak kształtuje się skuteczność w aplikowaniu o MINIATURĘ w podziale na województwa? Średnia wartość współczynnika sukcesu w programie MINIATURA wynosi 28%. W podziale na województwa waha się on od wartości nieco poniżej 20% (lubuskie, opolskie, świętokrzyskie, warmińsko-mazurskie i zachodniopomorskie) do niewiele powyżej 30% (dolnośląskie, łódzkie, małopolskie, mazowieckie, pomorskie i wielkopolskie). W porównaniu z wartością współczynnika sukcesu w pozostałych programach krajowych (średnia wartość 21%), w których różnice są znacznie większe i waha się w granicach od 5% (świętokrzyskie) do 26% (mazowieckie), można stwierdzić, że również dystrybucja środków ma w programie MINIATURA bardziej zrównoważony geograficznie charakter.

Co więcej, w przypadku województw o najniższych współczynnikach sukcesu w pozostałych krajowych programach NCN – świętokrzyskiego 5%, opolskiego 7%, zachodniopomorskiego 10%, lubelskiego 12% – ich skuteczność w programie MINIATURA jest znacząco wyższa i wynosi odpowiednio 18%, 19%, 17%, 26%.

Różnica udziału procentowego wniosków zakwalifikowanych do finansowania w programie MINIATURA oraz udziału procentowego w pozostałych krajowych programach NCN rozstrzygniętych w latach 2017-2021 wskazuje na wyższy udział procentowy na rzecz MINIATURY w dystrybucji środków finansowych do województw lubelskiego (5 p.p.), łódzkiego (3 p.p.), podlaskiego (2 p.p.), śląskiego (2 p.p.) i zachodniopomorskiego (2 p.p.). Jednocześnie w programie MINIATURA spada aktywność jednostek zlokalizowanych w województwach o wyraźnie wyższej skuteczności w pozostałych krajowych pro-

gramach NCN rozstrzygniętych w analizowanym okresie. Zjawisko to widać najlepiej w zestawieniu współczynników sukcesu w programie MINIATURA oraz w pozostałych programach następujących województw: mazowieckiego (-14 p.p.), małopolskiego (-3 p.p.), dolnośląskiego (-2 p.p.) i wielkopolskiego (-1 p.p.).

Podsumowanie

Przedstawione wyniki wskazują, że program MINIATURA spełnia założony cel upowszechniania kultury grantowej w ośrodkach, które nie mają typowo badawczego charakteru lub znajdują się w województwach o mniejszej koncentracji podmiotów i pracowników nauki w Polsce. Aktywność w programie MINIATURA jest dużo bardziej zrównoważona geograficznie niż w innych krajowych programach NCN. Adresat programu MINIATURA został więc właściwie odczytany przez polskie środowisko naukowe. Z kolei zrównoważona dystrybucja środków w MINIATURZE, zarówno pod względem typów jednostek naukowych, jak i województw, pokazuje, że MINIATURA jest ważną formą wsparcia finansowego w ofercie grantowej NCN, która dobrze odpowiada na zapotrzebowanie mniejszych ośrodków na tzw. małe granty.

Czy MINIATURA zachęca do dalszej działalności grantowej? Czy sprzyja pozyskiwaniu kolejnych funduszy na badania? Przedstawione przez nas wyniki nie dają podstaw do jednoznacznych konkluzji. Analizie poddane zostały tylko dwa pierwsze konkursy programu MINIATURA, ale uzyskane wyniki można uznać za obiecujące: blisko połowa laureatów

aplikowała o kolejny grant. Ustalenie przyczyn braku aktywności grantowej w NCN pozostałych laureatów wymaga z pewnością dalszych, bardziej pogłębionych analiz na większej próbie statystycznej oraz z uwzględnieniem zróżnicowania grupy laureatów MINIATURY (np. pod względem etapu kariery) i złożoności otoczenia akademickiego w Polsce, czy nawet bardziej jakościowego podejścia, np. badań sondażowych i monitorowania losów wszystkich laureatów programu MINIATURA, w tym ich aktywności grantowej nie tylko w programach Narodowego Centrum Nauki.

Niewątpliwie tego typu analizy powinny być systematycznie przeprowadzane. Wnioski stanowiąc bowiem mogą niezbędną podstawę do wprowadzania zmian w formule i warunkach przeprowadzania programu MINIATURA. Jednak efekty dotychczasowych konkursów, które widać na podstawie przeprowadzonej przez nas analizy, pokazują, że w najbliższej przyszłości program ten warto kontynuować.

*Dr hab. Joanna Golińska-Pilarek,
prof. UW, Uniwersytet Warszawski, Wydział Filozofii
Renata Mazurkiewicz i dr Anna Strzebońska,
Narodowe Centrum Nauki*

*Dr hab. Joanna Wolszczak-Derlacz,
prof. PG, Politechnika Gdańska, Wydział Zarządzania i Ekonomii*

*Tabele i wykresy: Opracowanie Auterek na podstawie danych
Narodowego Centrum Nauki*



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”,
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku.
Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.
Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,
w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok
i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Porwania czasopism – marginalizowany problem?

Za nadsyłane teksty wydawca żąda wcześniejszej zapłaty, po otrzymaniu pieniędzy kontakt się urywa, a tekst nie jest publikowany. Ewentualnie może się pojawić na stronie fałszywego czasopisma, ale de facto nie ma wtedy żadnej wartości w świecie akademickim.

Drapieżne czasopisma są tematem bardziej medialnym i częściej analizowanym niż temat porwanych czasopism. Tymczasem kradzież lub przejęcie tożsamości czasopisma są równie niebezpieczne dla nauki. To nie tylko jawne łamanie prawa, ale też zjawisko, które coraz trudniej wykryć, i z którym w praktyce nie ma jak walczyć. W literaturze takie czasopisma określane są jako „porwane”, „ukradzione”, „sklonowane” (hijacked journals, stolen journals, cloned journals), a także „zreplikowane” (replica journals) lub „zrabowane” (robbed journals).

Na czym polega proceder?

Fałszywy wydawca dąży do tego, aby wprowadzić naukowców w błąd w celu osiągnięcia zysku. Tworzy stronę, która imituje witrynę wiarygodnego czasopisma – kopiuje elementy witryny oryginalnego, wiarygodnego czasopisma, adresy, dane wydawnicze (np. ISSN, IF, informacje o indeksowaniu w bazach danych), a także układ i szatę graficzną. Ma ona wyglądać jak oryginalna strona czasopisma, a autor ma mieć wrażenie, że publikuje dla wiarygodnego tytułu. W istocie pada ofiarą cyberprzestępców.

Gdzie pojawiają się różnice, które wskazywałyby na sklonowaną witrynę? Na fałszywej stronie najczęściej zmienia się skład redakcji, usuwane są numery telefonów i adresy mailowe, a do kontaktu najczęściej służy anonimowy formularz. Może wystąpić też różnica w profilu czasopisma, języku (czasopismo przechodzi na język angielski) i częstotliwości jego wydawania w porównaniu z czasopismem oryginalnym. Za nadsyłane teksty wydawca żąda wcześniejszej zapłaty, po otrzymaniu pieniędzy kontakt się urywa, a tekst nie jest publikowany. Ewentualnie może się pojawić na stronie fałszywego czasopisma, ale de facto nie ma wtedy żadnej wartości w świecie akademickim.

Oszustwa phishingowe

Porywanie czasopism można uznać za formę internetowego phishingu (journal phishing), czyli oszustwa polegającego na podszywaniu się pod inną osobę lub instytucję w celu wyłudzenia poufnych informacji, zainfekowania komputera szkodliwym oprogramowaniem czy też nakłonienia ofiary do określo-

nych działań. W przypadku porwanych czasopism przestępca przygotowuje stronę internetową i zwabia na nią autorów w celu wyłudzenia pieniędzy w ramach opłaty za publikację – zasada działania jest więc taka sama.

Domena internetowa porwanego czasopisma wygląda podobnie jak domena oryginalnego tytułu, różnić się mogą pojedynczym znakiem lub rozszerzeniem. Co więcej, przestępcy tworzą niejedną spreparowaną witrynę, może być kilka różnych wersji, w tym adresy wykorzystujące wygasłe domeny periodyków.

Liczba porwanych czasopism

Trudno określić liczbę działających porwanych czasopism. Jalalian i Dadkhah zebraли 90 tytułów w 2015 roku. W momencie zamknięcia listy Bealla w 2017 roku znajdowało się na niej 115 tytułów. W sieci krąży kilka list porwanych czasopism, jednak nie wiadomo, czy są one aktualizowane. Dlatego najcenniejszym obecnie narzędziem dla naukowców może być baza Retraction Watch Hijacked Journal Checker, która na początku lipca 2022 roku wykazywała 153 tytuły. Wzrost liczby porwanych czasopism przybrał na sile podczas pandemii Covid-19, co odzwierciedlało globalny trend wzrostu cyberprzestępczości.

Choć liczebność zidentyfikowanych i ujawnionych porwanych czasopism nie jest imponująca, to nie można im odmówić skuteczności. Oszukują nie tylko autorów, wnikają też do łączących się baz danych. Z drugiej strony przyjęty model działania powoduje, że zazwyczaj nie funkcjonują zbyt długo w sieci. Przeważnie publikują jak najwięcej tekstów w jak najkrótszym czasie – badania podają, że w ciągu 5 miesięcy w 2015 roku 10 porwanych czasopism opublikowało 2442 artykułów, a pojedynczy numer może obejmować nawet 1500 tekstów.

Czym porwane czasopisma różnią się od drapieżnych?

Część praktyk porwanych czasopism jest zbieżna z praktykami drapieżnych wydawców: eksploatują złotą drogę OA, czerpią zyski z APC oraz oszukują autorów, obiecując rzetelny

proces redakcyjny i wydawniczy. Drapieżne czasopisma operują nowo stworzonymi tytułami i nie dążą do pojawienia się w wiarygodnych bazach danych, porwane z kolei starannie imitują cechy i zawartość istniejących tytułów oraz starają się przeniknąć do renomowanych baz, którym ufają naukowcy. W rezultacie artykuły częściej zgłaszane są do porwanych czasopism niż do czasopism drapieżnych, to sprawia, że zjawisko jest bardziej szkodliwe dla nauki niż drapieżne czasopisma. Ale to niejedyna różnica.

W odróżnieniu od drapieżnych, które celują w nieetyczne praktyki, a ich działalność w zasadzie mieści się w granicach prawa, porwane czasopisma tę granicę przekraczają. Przechwytują lub podrabiają domenę wiarygodnego tytułu, kradną tożsamość czasopisma, bezprawnie wykorzystują dane osobowe jego redaktorów i autorów, nielegalnie korzystają z elementów identyfikacji wizualnej oraz przejmują pieniądze wpłacane przez autorów w ramach APC. Kradną też coś więcej – wypracowany latami prestiż i renomę wiarygodnego czasopisma. Dlatego w literaturze taka forma oszustwa określana jest to też jako brandjacking.

Brak zainteresowania czy brak rozwiązań?

Pomimo tego, że porwane czasopisma są trudniejsze do zidentyfikowania i bardziej szkodliwe z uwagi na konsekwencje dla środowiska naukowego, w literaturze cieszą się znacznie mniejszym zainteresowaniem niż drapieżne. O ile w latach 2013-2020 w Web of Science zaindeksowano 640 artykułów z frazą „predatory journals”, to tekstów z określeniem „hijacked journals” było zaledwie 43.

Niestety ze zjawiskiem tym jest trudno walczyć, mimo jawnego łamania prawa i podszywania się pod inne podmioty. Ich właściciele nie zdradzają swojej tożsamości, a domeny porwanych czasopism mogą rejestrować w dowolnym państwie. Dlatego też nie są w stanie objąć ich krajowe lub unijne regulacje prawne. Wiarygodne czasopisma, które padły ich ofiarą, mogą jedynie przestrzegać przed działalnością przestępców i istnieniem sfałszowanej strony.

Kto porywa czasopisma?

Badacze podejrzewają, że za porywaniem czasopism stoją zwykle osoby ze sporą wiedzą w zakresie tworzenia i zarządzania stronami www, ale także takie, które są doskonale zorientowane w zasadach ewaluacji, awansów, promocji, przyznawania grantów itp. Znają one wymagania stawiane naukowcom i presję związaną z koniecznością publikowania w renomowanych, międzynarodowych czasopismach oraz tytułach, które mogą pochwalić się IF (ale niezbyt wysokim, aby nie wzbudzić podejrzeń u autorów). Mogą to być osoby, które początkowo działają jako autorzy-widma (tzw. ghost writers), albo które pomagają naukowcom w publikowaniu tekstów, dopiero później zaczynają na pełną skalę działać jako pseudonaukowe wydawnictwa (ghost publishers).

Fałszywe, sklonowane strony nie są trudne do utworzenia, wystarczy podstawowa wiedza na temat tworzenia stron internetowych i używania systemów typu CMS (Content Management System). Osoby, które ją mają, dodatkowo wiedzą, jak ukryć swoją tożsamość w sieci: rejestrują domeny, korzystając z pomocy firm anonimizujących tę usługę, celują w zagraniczne serwery i fałszywe skrzynki mailowe. Wiedzą, jak zorganizować fałszywą konferencję lub spreparować witrynę czasopisma, które pozorować będzie stronę czasopisma wydawanego wyłącznie w drukowanej wersji albo takiego, które nie inwestuje w rozwój, promocję i pozycjonowanie posiadanej strony.

Dla istniejących stron przestępcy rejestrują domeny z końcówką .org lub .com, co ma wprowadzić w błąd autorów

i uwiarygodnić sfałszowane czasopismo, ale unikają domen powiązanych z krajem, co mogłoby zdradzić ich tożsamość i prawdziwe pochodzenie. Dodają też hiperłącza do wiarygodnych baz danych tam, gdzie pojawiają się odniesienia lub statystyki dotyczące realnego, wiarygodnego czasopisma. Częstą praktyką jest też zmienianie wpisów w Wikipedii oraz podmienianie linków, które zamiast do oryginalnych, prowadzą do fałszywych stron i przekierowują do nich ruch internetowy.

Historia porwań i najbardziej znani porywacze

Porywanie czasopism zostało po raz pierwszy wykryte w sierpniu 2011 roku na fałszywej stronie sciencerecord.com. Witryna ta powstała na bazie wygasłej domeny, wykupionej przez osobę posługującą się pseudonimem Ruslan Boranbaev. Działały na niej trzy czasopisma podszywające się pod wiarygodne tytuły: „Science Series Data Report”, „Innova Ciencia” i „Science and Nature” oraz siedem nowych, drapieżnych tytułów.

Ruslan Boranbaev wielokrotnie usiłował też „porwać” czasopismo „Archives des Sciences”, rejestrując fałszywą stronę sciencearchive.com oraz archiveofscience.com, a w sierpniu 2012 skupił się na czasopiśmie „Wulfenia”, dla którego zarejestrował domenę wulfenijournal.at oraz multidisciplinarywulfenia.org. Kolejną domenę – revistas-academicas.com – utworzył dla kilku porwanych czasopism indeksowanych przez WoS: „Natura”, „Doriana” i „Cahiers des Sciences Naturelles”. Odpowiada też za inne porwane tytuły: „Jokull”, „Pensee”, „Revista Kasmera”, „Sylwan” i „Tekstil”.

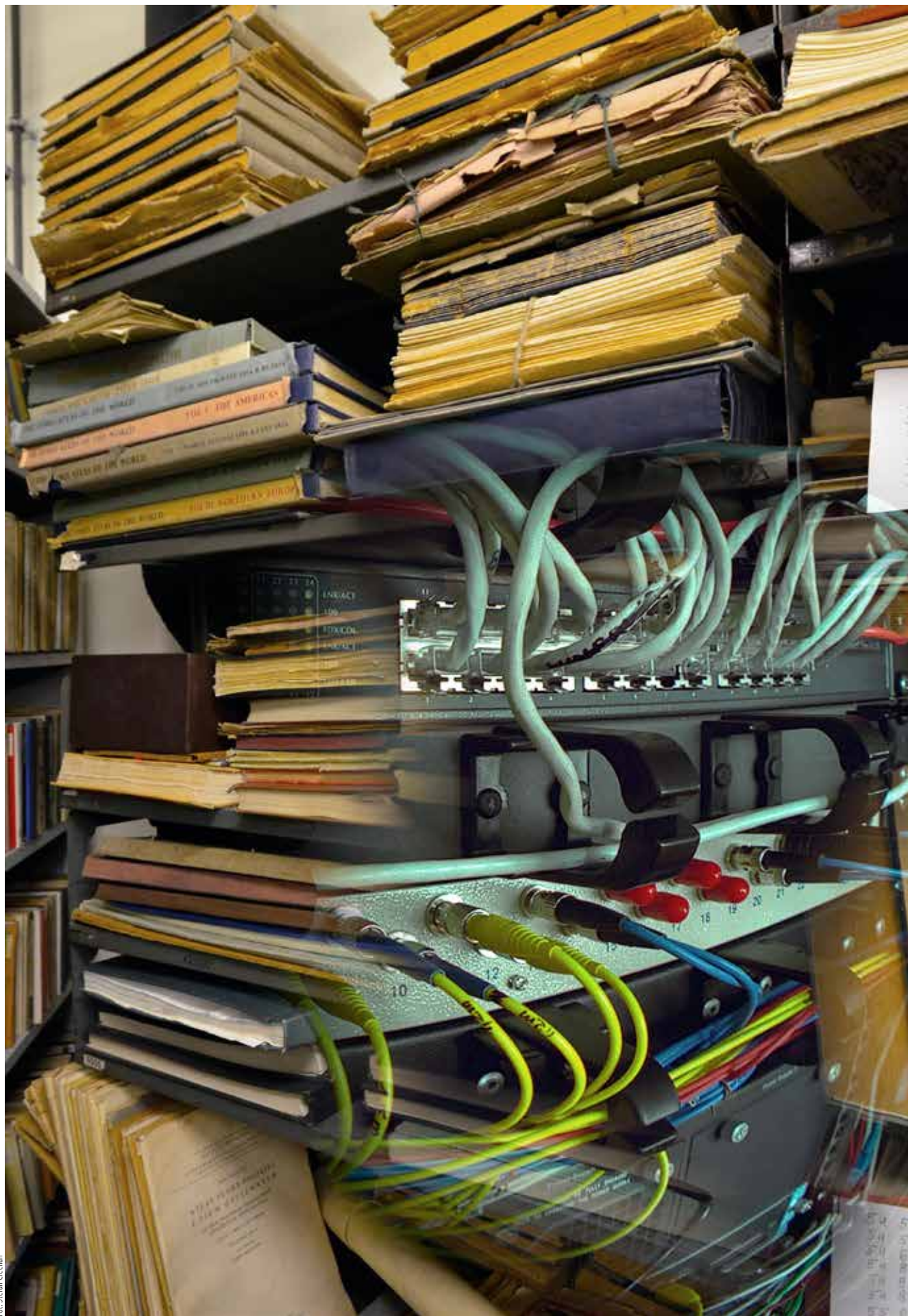
W 2013/2014 roku odbywały się wielokrotne ataki na czasopismo „Afnidad”. Tutaj osoby posługujące się pseudonimami Jane Madlan i James Robinson rejestrowały witryny afnidad.org, afnidadjournal.es i afnidadjournal.org. James Robinson jest osobą zarejestrowaną pod adresem skrzynki pocztowej w Dubaju, a jako Tomas Publishing wydawał też sześć drapieżnych czasopism. Oprócz „Afnidad” atakował też inne tytuły, takie jak „Journal of the American Medical Association”, „Agrochimica”, „Cadmo”, „Kardiologiya”, „Systems Science” i in.

Oprócz Ruslana Boranbaeva i Jamesa Robinsona w latach 2011-2015 cyberprzestępczą działalność w zakresie porywania czasopism „uprawiał” profesor informatyki jednego z uniwersytetów w Arabii Saudyjskiej, współzałożyciel platformy WordPress Experts. Z grupą współpracowników z Pakistanu dokonał kradzieży co najmniej sześciu czasopism naukowych: „Journal of Technology”, „Journal of Advances in Science and Technology”, „Magnt Research Report”, „Scientific Khyber”, „Saussurea” i „Texas Journal of Science”.

Jak się „porywa” czasopisma?

Początkowo drapieżny tytuł można było stosunkowo prosto wykryć, o ile autor był świadomy zjawiska porywania czasopism. Wystarczyło, że porównał adres internetowy witryny z listą czasopism naukowych w bazie Web of Science, inny adres od razu wskazywał na drapieżne czasopismo. Jednak nawet w renomowanych bazach zdarzały się błędy, linkowano do sklonowanej, fałszywej strony, a nie oryginalnego czasopisma.

Niemniej oszuści liczyli na nieuwagę autorów i podrabiali przede wszystkim niszowe, wyspecjalizowane czasopisma, często z nieanglojęzycznych krajów. Rejestrowali domeny niemal identyczne, ale różniące się pojedynczym znakiem lub innym detalem, który łatwo pominąć. Celowali też w czasopisma nieobecne w sieci, takie, które nie mają stron internetowych i wydawane są wyłącznie w wersji papierowej. Sprawiało to, że jedynie strona fałszywego czasopisma była dostępna online.



Fot. Stefan Ciechan

Obecnie, gdy rozpowszechnił się proceder przechwytywania domen, czyli kupowania domen, które nie zostały ponownie opłacone i wygasły, rozpoznanie porwanych czasopism jest znacznie trudniejsze, czasem nawet niemożliwe. Zdarzają się też ataki hakierskie na strony wiarygodnych czasopism, to spotkało np. czasopismo „Talent Development and Excellence”. Generalnie w wielu przypadkach ofiarami porwań padają czasopisma, które niedostatecznie inwestują w bezpieczeństwo i aktualność stron internetowych. Przystępcy mocno stawiają na SEO (Search Engine Optimization), do tego stopnia, że w Google na pierwszych miejscach rezultatów wyszukiwania znajdują się fałszywe witryny, a nie oryginalne, wiarygodne strony czasopism.

Modus operandi porwaczy

Aby „porwać” wiarygodne czasopismo przestępcy przyjmują różne modele działania:

- Kradną tożsamość czasopism – tworzą strony o podobnych, zbliżonych adresach do oryginalnego czasopisma, co ma na celu zmylenie autorów;
- Tworzą stronę internetową dla czasopisma, które istnieje wyłącznie w wersji drukowanej albo nie rozwija intensywnie swojej witryny, w związku z czym nie jest ona wysoko wypozycjonowana w wyszukiwarce;
- Przejmują wygasnięte domeny i wykorzystują ich reputację do uwiarygodnienia czasopisma;
- Przechwytyują używane witryny;
- Wykorzystują dane o wiarygodnych czasopismach, które przestały być wydawane, zmieniły tytuł lub ISSN – podszywają się pod nie, sugerując kontynuację działania;
- Przeprowadzają udany atak hakierski.

Kradzież tożsamości czasopisma

W świecie akademickim kradzież tożsamości może objąć tożsamość nie tyle człowieka, ile legalnego, wiarygodnego czasopisma naukowego. W 2013 roku „Nature” ostrzegł naukowców przed fałszywymi witrynami dwóch czasopism, które w oryginalnej wersji nie miały własnych stron internetowych. Chodziło o „Archives des Sciences”, multidyscyplinarne szwajcarskie czasopismo założone w 1791 oraz „Wulfenia”, czasopismo botaniczne wydawane przez Muzeum Regionalne Karyntii w Klagenfurcie w Austrii.

Na podrobionych stronach oszuści skopiowali nie tylko realne tytuły i inne szczegóły czasopism, ale też dane kontaktowe, IF oraz ISSN. Redaktorzy dowiadywali się o naśladowcach od ofiar – autorów, którzy zgłosili teksty i przesłali pieniądze, ale ich teksty nie zostały opublikowane. Stawki APC wynosiły ponad 500 dolarów, a pieniądze były przesyłane do dwóch banków w Armenii. Podrobione strony były na tyle przekonujące, że zostały uwzględnione w bazie Thomson Reuters, odpowiedzialnej za Scientific Citation Index i obliczanie IF czasopism.

Czasopismem ze sklonowaną wersją jest „Sylwan”, najstarsze w Polsce i jedno z pierwszych na świecie czasopism naukowych z zakresu leśnictwa, założone w 1820 roku w Warszawie. Przystępcy wykorzystali layout strony i do oryginalnego tytułu dodali określenie „English Edition”. Inne polskie czasopisma, które padły ofiarą cyberprzystępców, to „Inżynieria Chemiczna i Procesowa”, kwartalnik wydawany przez Polską Akademię Nauk, „Systems Science”, czasopismo wydawane przez Oficynę Wydawniczą Politechniki Wrocławskiej oraz „Polish Polar Research”, periodyk wydawany pod auspicjami Komitetu Badań Polarnych Polskiej Akademii Nauk.

Ofiarą „porwania” stało się islandzkie czasopismo „Jokull”, którego tematyka koncentruje się na szeroko pojętych

naukach o ziemi. Na sklonowanej stronie skopiowano ISSN i dane o IF, ale dodano do tytułu określenie „Journal”. Jeśli tak przygotowana strona drapieżnego czasopisma nie wprowadzi autorów w błąd, to może to zrobić Google. Po wpisaniu hasła *Jokull* do wyszukiwarki pierwsze w wynikach wyszukiwania pojawia się drapieżne czasopismo. Inne przykłady porwanych czasopism, w przypadku których cyberprzystępcy wykorzystali kradzież tożsamości, to „Tierärztliche Praxis” lub „Turkish Journal of Physiotherapy and Rehabilitation”.

Przechwycenie domeny czasopisma

Wraz rozwojem technologii internetowych, a konkretnie możliwością przechwycenia domeny, porwanie czasopisma stało się znacznie łatwiejsze dla przestępców i trudniejsze do wykrycia. Oszuści doprowadzają do tego, że wiarygodne czasopismo traci kontrolę nad własną stroną internetową i domeną (a nawet nad archiwalnymi plikami), a drapieżnik przejmuje nie tylko tożsamość czasopisma i jego witryny, ale i ruch sieciowy. I niestety nie ma prostego sposobu na zidentyfikowanie czasopisma, które w ten sposób ukradło tożsamość innego tytułu.

Na internetowym rynku każdy może kupić domenę, a sprzedająca ją firma nie będzie weryfikować, czy nabywca ma prawa do danej domeny. A kupowanie wygasłych domen o komercyjnym potencjale stanowi sporą część tego rynku. Euromed Communications mógł być jedną z pierwszych ofiar przejęcia domeny. Brytyjski wydawca biomedycznych książek i czasopism stracił swoją domenę w wyniku niezapłaconego rachunku za odnowienie rejestracji domeny na kolejny rok. Została wykupiona, wobec czego wydawca przeniósł materiały na nową domenę. Jednak osoba lub podmiot, która przejęła dotychczasowy adres, jak się okazało w późniejszym czasie, dokonała „porwania” czasopisma „GMP Review”. Wydawca zaczął otrzymywać maile od naukowców, którzy twierdzili, że opłacili żadaną kwotę za artykuł w „GMP Review”, ale nie doczekali się ani odpowiedzi, ani publikacji. Pod adresem dotychczasowego czasopisma działała bowiem jego kopia, w której usunięte zostały dane mailowe i telefony do wydawcy, a do kontaktu służył wyłącznie formularz.

Podobny los spotkał czasopismo „*Ludus Vitalis*”, którego domena została przejęta, a zawartość strony skopiowana. Tylko że tym razem przestępcy poszli o krok dalej – przyjmowali teksty do publikacji w fałszywej wersji czasopisma za 150 dolarów.

Podszywanie się pod czasopisma, które zakończyły działalność, zmieniły tytuł lub ISSN

Przystępcy wykorzystują nie tylko domeny, których rejestracja nie została przedłużona. Przejmują też takie, które miały przerwę, zakończyły działalność albo zmieniły tytuł lub ISSN. Przykładem takiego czasopisma jest „Linguistica Antverpiensia”, którego ISSN, po zakończeniu działalności w 2012 roku, przejął drapieżny wydawca. Czasopismo działa teraz jako „Linguistica Antverpiensia, New Series – Themes in Translation Studies” z nowym numerem ISSN (2295-5739), ale równolegle funkcjonuje jego porwany odpowiednik o tym samym tytule, który wykorzystuje dawny ISSN tego czasopisma (0304-2294). Co więcej, w bazach danych (m.in. ministerialnym wykazie) tytuł ten zestawiony jest z ISSN sklonowanej wersji, a nie tej wiarygodnej.

Atak hakierski

Notowane są też przypadki pełnego przejęcia kontroli nad oryginalnymi stronami czasopism. Porwanie strony wiarygodnego czasopisma, które indeksują i do którego linkują renomowane bazy danych, jest dla przestępców najkorzystniejsze,

gdź nie muszą dodatkowo uwiarygadniać swojej działalności. Wykorzystują ponadto email spoofing (tworzenie wiadomości e-mail ze sfałszowanym adresem nadawcy w celu ukrycia prawdziwego źródła, z którego wysyłane są maile), rozsyłając do naukowców zaproszenia do publikowania w fałszywym czasopiśmie.

W przeciwieństwie do czasopism, które wciąż funkcjonują i zmagają się z podszywanymi się pod nie drapieżnymi tytułami, „Talent Development and Excellence” zostało zhakowane, dosłownie przejęte przez oszustów razem z oryginalnym adresem; niestety do tej pory działa pod nim drapieżny wydawca. Strona oryginalnego tytułu przestała istnieć, czasopismo nie zostało więc „porwane”, ale w zasadzie unicestwione.

Jak rozpoznać porwane czasopisma?

Jest kilka sposobów, by rozpoznać potencjalnie fałszywe, porwane czasopismo, a niektóre odpowiadają sposobom na rozpoznanie drapieżnych czasopism. Co więcej, w sieci krąży wiele – bardziej lub mniej aktualnych – list porwanych czasopism. Jednak tak naprawdę naukowcy nie dysponują jednym, wiarygodnym i aktualnym narzędziem, które pozwoli rozróżnić sklonowane, porwane wersje czasopism od oryginałów.

Pierwszym miejscem, w którym można sprawdzić wiarygodność tytułu czasopisma, powinny być renomowane bazy danych oraz tzw. białe listy czasopism. Tutaj znaleźć powinny się informacje o ISSN, wydawcy, kraju pochodzenia; niestety rzadziej albo wcale dołączany jest link kierujący do strony czasopisma. Trzeba na to uważać zwłaszcza w przypadku baz typu Scopus czy Web of Science, które nie tylko nie zawsze podają hiperłącze do strony czasopisma, ale zdarzało się im uwzględnić linki do porwanych, sklonowanych wersji czasopism. Co więcej, potrafią przestać indeksować czasopismo, nie podając przyczyny, także w sytuacji, gdy dany tytuł został porwany i indeksowano sfałszowaną wersję czasopisma, a nie oryginał.

Obecnie naukowcom pozostaje wnikliwe sprawdzenie informacji o czasopiśmie poprzez wyszukiwarkę Google, ale także poprzez akademickie blogi, media społecznościowe i fora. Google będzie zapewne pierwszym wyborem, ale tutaj również trzeba uważać, bo wyszukiwarka nie rozróżni prawdziwego czasopisma od sklonowanego, a ponadto porwany tytuł może być znacznie lepiej wypozycjonowany niż oryginalny.

Porwane czasopisma zazwyczaj nie udostępniają informacji i archiwów o opublikowanych tekstach, a jeśli uda się takowe pobrać, okazuje się, że artykuły są niskiej jakości, nie odpowiadają tematyce czasopisma albo są skopiowane z zupełnie innego tytułu. Ponadto obiecują błyskawiczne recenzje i publikacje tekstów. W przeciwieństwie do drapieżnych tytułów, które zwykle mają oficjalnie przypisane numery ISSN i tytuły, porwane czasopisma naruszają również prawa intelektualne autentycznych czasopism, kopiując ich numery ISSN i tytuły. Jeśli zaproszenie do publikacji w czasopiśmie nadeszło drogą mailową, wtedy można nabrać podejrzeń.

Warto także sprawdzić stosowane przez czasopismo identyfikatory obiektów cyfrowych (DOI). Prefiks identyfikatora przypisany jest do określonego wydawcy, więc artykuły z określonym identyfikatorem powinny odsyłać na stronę wydawcy. Dlatego warto przejść na stronę www.doi.org i wyszukać teksty z określonego tytułu – identyfikatory powinny odsyłać na realną stronę czasopisma. Jeśli adres się różni, wtedy można podejrzewać, że czasopismo ma sklonowaną wersję.

Charakterystyczne jest też to, że na stronie umieszczone są spreparowane informacje na przykład o składzie redakcji, bez afiliacji czy informacji kontaktowych. Oszuści będą chcieli pozostać anonimowi, więc realnych informacji nie znaj-

dzie się ani na stronie czasopisma, ani w danych uzyskanych z baz WHOIS lub DNS, podmioty lub osoby rejestrujące daną domenę będą korzystać z usług firm zapewniających anonimowość w sieci. Przy okazji warto sprawdzić też datę rejestracji domeny (niedawna data rejestracji czasopisma z wieloletnią praktyką powinna budzić podejrzenia) oraz lokalizację (hostowanie) strony internetowej czasopisma, np. na stronie <http://ipaddress.com>. Podejrzenie powinny wzbudzić czasopisma, których kraj rejestracji nie zgadza się z danymi adresowymi na stronie lub jest całkiem utajniony.

Warto też sprawdzić dostęp do archiwalnych zasobów czasopisma. Nawet jeśli jakieś są, to mogą być skopiowane z innych witryn, choć częstszą sytuacją będzie brak dostępu do egzemplarzy archiwalnych, a okno dostępu będzie stale wskazywać błąd dostępu lub „tymczasowo” niedziałający link. Nierzadko wydawcy uprawiają recykling tekstów, wykorzystując je w wielu różnych tytułach, tworząc swoiste sieci porwanych czasopism.

Bazy danych i infiltracja cytowań

Drapieżne czasopisma, które powstały na bazie „porwanych” tytułów, przeniknęły do wielu źródeł, choćby do bazy Scopus. Dzięki temu nie tylko uwiarygadniały swoją działalność, ale rozszerzały zasięg, trafiły też do innych źródeł, między innymi do baz udostępnianych przez Światową Organizację Zdrowia.

Scopus weryfikuje jakość indeksowanych czasopism i reaguje na zgłoszenia o nieprawidłowościach, jednak szkoda, że proces ten nie jest transparentny. Scopus nie informuje użytkowników, że konkretne czasopismo, które przestano indeksować, zostało zidentyfikowane jako porwanie, a to pozwala oszustom działać dalej.

Co więcej, zjawisko porwanych czasopism doprowadziło do stworzenia nowego fenomenu, nazwanego infiltracją cytowań (citation infiltration). Ma on miejsce wtedy, gdy w tekstach w renomowanych, recenzowanych czasopismach naukowych cytowane są artykuły z porwanych wersji czasopism. Autorzy, którzy cytują tego typu teksty, nie zdają sobie sprawy, że czasopismo zostało porwane. Myślą, że korzystają i powołują się na wiarygodne, zrecenzowane teksty, ale w praktyce cytują artykuły opublikowane przez nierzetelny, sklonowany tytuł.

Porwane czasopisma w ministerialnym wykazie

Jedną z najważniejszych baz dla polskich naukowców jest ministerialny wykaz, który opiera się m.in. na bazie Scopus. Podobnie jak baza wydawnictwa Elsevier, tak i obszerna lista udostępniona przez Ministerstwo Edukacji i Nauki nie jest wolna od fałszywych czasopism. Aby to zweryfikować, przeprowadzono analizę dostępnych źródeł, porównano ponad 30 tysięcy czasopism, które znalazły się w wykazie Ministerstwa (wersja z 21 grudnia 2021 roku) z następującymi listami:

- oryginalną i uaktualnioną listą Bealla, dostępną pod adresem <https://beallist.net/hijacked-journals/>,
- nową bazą Retraction Watch Hijacked Journal Checker,
- innymi źródłami, które uwzględniają publikacje dotyczące porwanych czasopism, wraz z towarzyszącymi im zestawieniami.

W rezultacie okazało się, że w wykazie znajduje się ponad 150 tytułów, które pojawiają się również na krążących w sieci listach porwanych czasopism. Wiele podrobionych stron już nie działa, hiperłącza są nieaktywne, a wyszukiwarki ich nie indeksują, dlatego nie stanowią niebezpieczeństwa dla autorów. Jednak ponad 80 wciąż ma aktywne „porwane” odpowiedniki, które mogą wprowadzić autorów w błąd.

*Jolanta Szczepaniak, redaktor i kierownik zespołu
Wydawnictwa Politechniki Łódzkiej*

Marta Łazarowicz-Kowalik

Praca w Polsce czy za granicą?

Młodzi badacze mają poczucie, że czynniki, które decydują o rozwoju ich kariery, nie zawsze są tożsame z czynnikami, które uważają za kluczowe dla rozwoju nauki – wynika z badania, które przeprowadziliśmy na próbie laureatów Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Zapytaliśmy ich również o warunki pracy badawczej w kraju oraz wybór między pracą w kraju i za granicą.

Od wielu lat jednym z celów FNP jest przyciąganie naukowców z zagranicy do pracy w Polsce. Doświadczenia prowadzonych przez Fundację programów pokazują, że największe szanse powodzenia wysiłki te mają w przypadku stosunkowo młodych naukowców, którzy po etapie staży podoktorskich są gotowi do założenia własnych grup badawczych. Jednym z takich instrumentów jest program FIRST TEAM realizowany przez Fundację w latach 2016-2023.

Celem programu jest wsparcie pierwszych zespołów badawczych prowadzonych przez doktorów na wczesnych etapach kariery naukowej i zachęcenie do pracy w Polsce naukowców z zagranicy (w tym powrotu do kraju naukowców polskiego pochodzenia). Laureaci uzyskują trzyletnie granty o wartości ok. 2 mln zł. Aby skutecznie przyciągnąć naukowców – zarówno liderów grup, jak i członków ich zespołów – program oferuje konkurencyjne w skali europejskiej stawki wynagrodzeń (za punkt wyjścia przyjęto stawki stosowane w programach Marie Skłodowska-Curie Actions). Łącznie w konkursach przeprowadzonych w latach 2016-2018 złożono 513 wniosków, a wybrano 54 laureatów. Choć program nie jest, ściśle rzecz biorąc, adresowany do naukowców z zagranicy, w praktyce jego laureatami zostają w dużej mierze naukowcy powracający z zagranicy (również cudzoziemcy, choć ci stanowią jedynie 7%). Po kilku latach prowadzenia programu chcieliśmy sprawdzić, jak naukowcy ci postrzegają decyzję o powrocie do Polski i jak oceniają warunki pracy badawczej w Polsce.

Badanie i respondenci

Badanie przeprowadzone zostało metodą anonimowej ankiety elektronicznej. Ankietę wysłano do wszystkich polskich laureatów. Wypełniło ją 39 osób, co stanowi 80% zaproszonych. Wiek respondentów wahał się od 35 do 44 lat, przy średniej 40 lat (SD = 2,3). Rozkład ten dość dokładnie odpowiada strukturze wiekowej laureatów programu. 23% respondentów stanowiły kobiety, co również odpowiada strukturze płci w grupie laureatów. Podobnie wygląda sytuacja, jeśli chodzi o reprezentację poszczególnych dziedzin nauki: zarówno wśród laureatów programu, jak i osób, które wypełniły ankietę przeważają przed-

stawiciele nauk ścisłych i przyrodniczych (odpowiednio 66% i 62%). Znacznie mniej licznie reprezentowane są nauki inżynierjno-techniczne (po 26%), podczas gdy nauki medyczne i o zdrowiu stanowią zaledwie 6% i 8%, a rolnicze występują jedynie marginalnie (2% i 3%). Nauki humanistyczne i społeczne w ogóle nie są reprezentowane wśród polskojęzycznych laureatów i respondentów. Laureaci programu FIRST TEAM byli wybierani w konkursach w latach 2016-2018, posiadając wówczas stopień naukowy doktora nie dłużej niż przez 5 lat. Obecnie 28% respondentów ma stopień doktora habilitowanego, 31% profesora uczelni, a 5% tytuł profesora.

Praca badawcza za granicą i powrót do kraju

Niemal wszyscy respondenci (97,4%) mają doświadczenie pracy badawczej za granicą. Niemal trzy czwarte (72%) spędziło za granicą ponad dwa lata. Kilka osób wróciło do kraju po 5-9 latach studiów lub pracy badawczej w innym kraju. Decyzja o powrocie nie była oczywista. Niemal wszyscy badani przyznają, że rozważali pozostanie za granicą. Połowa (50%) wróciła ze względów rodzinnych lub osobistych. Prawie jedna trzecia (32%) wskazała na lepsze perspektywy uzyskania stabilnej pracy, a 29% na większe możliwości rozwoju badawczego w Polsce (odpowiedzi nie były rozłączne). Na ogół motywacja do powrotu była złożona. Dla 20% respondentów – obok względów rodzinnych/osobistych – dużą rolę w podjęciu decyzji o powrocie odgrywała również perspektywa stabilnej pracy, a 8% obok względów rodzinnych/osobistych wymieniło większe możliwości rozwoju zawodowego. Z kolei większe możliwości rozwoju badawczego w Polsce wskazało łącznie 29% badanych naukowców, ale połowa tej grupy kierowała się także względami rodzinno-osobistymi lub perspektywą stabilnej pracy. Ponad połowa respondentów stwierdziła, że na podjęcie decyzji o powrocie do kraju i prowadzeniu badań w Polsce miał wpływ program FIRST TEAM. Wiele innych osób wróciło do Polski przed uruchomieniem programu, jednak to właśnie konkretne uzyskane w Polsce granty były bezpośrednią przyczyną powrotu. Kilku respondentów stwierdziło przy tym, że konkretne granty, np. FIRST TEAM, zatrzymały ich w Polsce.

Z perspektywy czasu 82% respondentów pozytywnie ocenia decyzję o powrocie do Polski, przy czym 45% bardzo pozytywnie. Komentarze wyrażają mieszane uczucia. Badani wskazują w nich na trudne początki w Polsce, w tym rozczarowanie kulturą pracy w polskich instytucjach badawczych.

„Początek był wyjątkowo trudny, bo nie było żadnego pakietu startowego ani pomysłu na wsparcie budowy zespołu. Chodzi mi nie tylko o pieniądze, bo przyjechałem, zdobywszy niewielki grant i chwilę później miałem większy. Brakowało mi raczej rozmów i życzliwego prowadzenia ze strony kierowników, dyrektorów, Wydziału itd. Mogłem liczyć raczej na przydzielanie zadań i ewentualne reprimendy niż na jakiegokolwiek wsparcie.

Samo doświadczenie było ciekawe i rozwijające, ale jestem wyczerpana pracą na polskim uniwersytecie. Aktualnie wyjeżdżam na roczne stypendium zagraniczne. Szczerze mówiąc, wolałabym nie wracać, gdyż w Polsce bardzo trudno jest mi się utrzymać na światowym poziomie”.

Porównanie warunków pracy badawczej w Polsce i za granicą wypada zdecydowanie na niekorzyść Polski. Najbardziej niekorzystnie dla Polski wypada porównanie, jeśli chodzi o wsparcie administracyjne ze strony jednostki; jakość dyskusji naukowych, seminariów itp.; poziom zarobków; możliwości komercjalizacji oraz wymianę wiedzy między zespołami badawczymi. Obszarów, których sytuacja w Polsce oceniona zostałaby korzystniej niż za granicą, nie ma, choć pewną symetrię ocen widać w przypadku dostępności funduszy na badania oraz możliwości współpracy międzynarodowej.

Barier rozwoju

Największą barierą rozwoju karier badawczych w Polsce jest według badanych niepewność zatrudnienia, choć w tej kwestii ich opinie są mocno podzielone. Część osób uważa, że brak stabilności jest nie tylko naturalną, ale i pożądaną cechą kariery

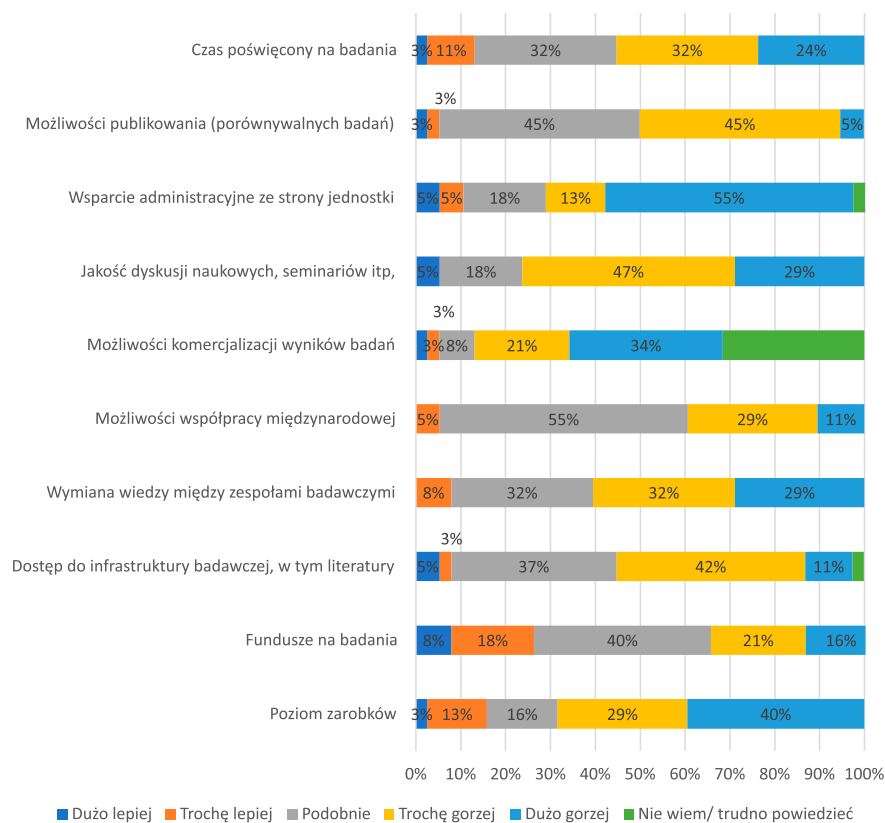
akademickiej („Wydaje mi się, że brak stabilności jest wpisany w karierę naukową”; „Stabilność to problem, ponieważ rozleniwia”). Wyrażane są również opinie, że w Polsce stabilność zatrudnienia i tak jest większa niż w wielu innych krajach. A nawet – że jest nadmierna, co zmniejsza motywację badaczy i powoduje, że etaty są często „obsadzone” słabymi badaczami. O ile część respondentów ceni relatywną stabilność zatrudnienia w nauce w Polsce, inni dostrzegają w niej słabość systemu („Stabilizacja zatrudnienia jest potrzebna, ale w obecnej formie blokuje ona rozwój nauki w Polsce – uzyskanie zatrudnienia na czas nieokreślony jest zatrudnieniem dożywotnim”). Jak podkreśla wielu badanych, prawdziwy kłopot z niestabilnością w pracy naukowej w Polsce polega na niskim poziomie wynagrodzeń i finansowej zależności badaczy od grantów. W rezultacie głównymi barierami okazują się: niski poziom wynagrodzeń; deficyt czasu na badania/nadmierne obciążenie naukowców innymi obowiązkami; słaba jakość środowiska badawczego; sposób zarządzania instytucjami naukowymi oraz nadmierna zależność od grantów.

Pewna zgodność opinii panuje co do tego, że stabilność powinna być zależna od osiągnięć. Innymi słowy: badacze, którzy mają znaczący wkład do nauki, powinni być doceniani i wynagradzani stabilnymi warunkami pracy. W tym kontekście kluczowy okazuje się problem braku adekwatnego systemu oceny pracy naukowców („Problemem jest niejasna ścieżka rozwoju kariery, co wydział to obyczaj”; „W kwestii stabilności oczekuję rzetelnej ewaluacji naukowców”).

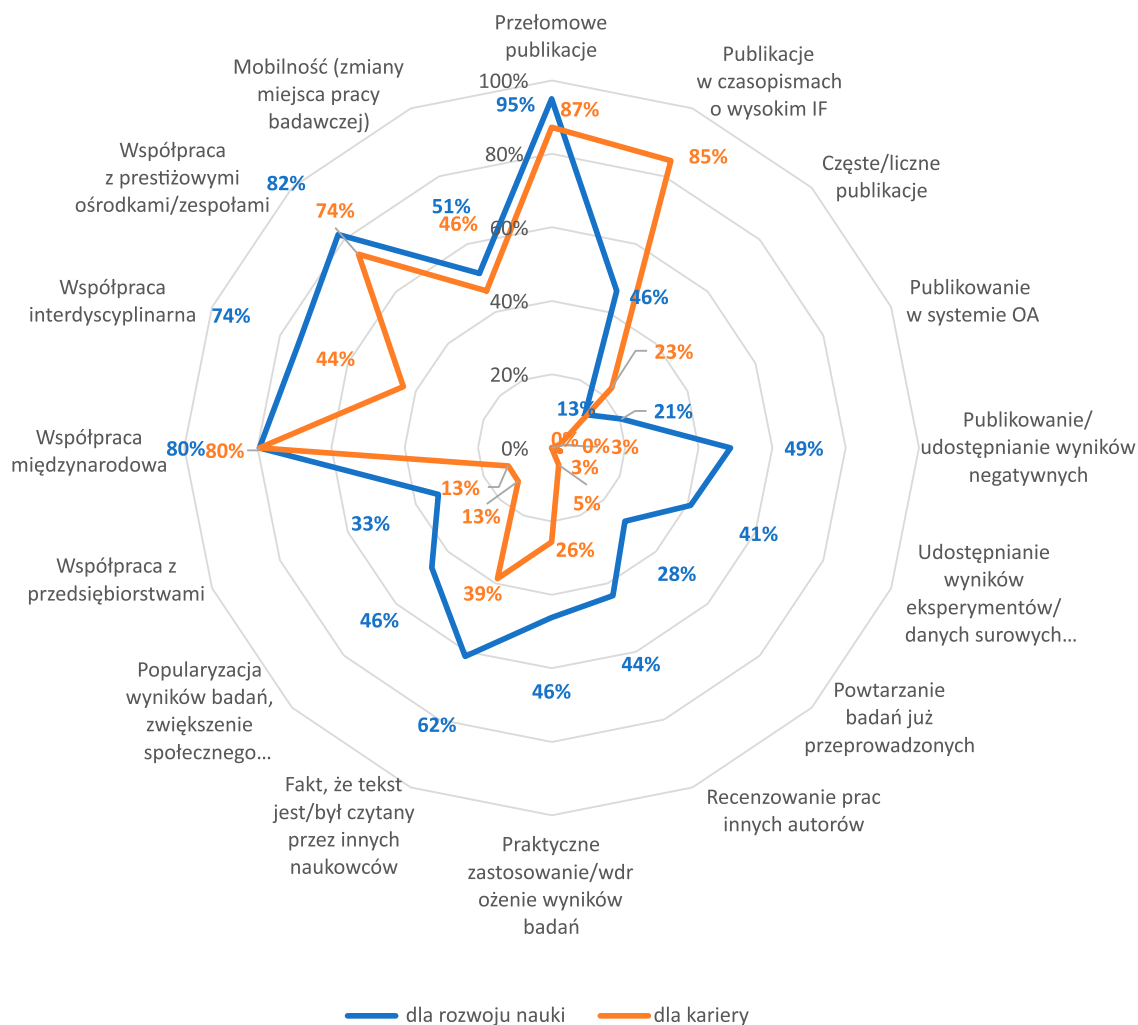
Czynniki sukcesu

Zasadnicze znaczenie z punktu widzenia adekwatnej oceny naukowców mają m.in. kryteria decydujące o ich sukcesie zawodowym. Choć pojęcie sukcesu zawodowego i kariery w świecie nauki nie jest oczywiste, zapytaliśmy badanych naukowców, jakiego rodzaju osiągnięcia i działania przesądzają o roz-

Jeśli chodzi o poniższe aspekty, w Polsce jest...



Czynniki zdecydowanie przydane dla ...



woju ich kariery badawczej. W odpowiedziach wskazano przede wszystkim przełomowe publikacje oraz publikacje w czasopiśmie o wysokim JIF. Na kolejnych miejscach znalazła się współpraca międzynarodowa oraz współpraca z prestiżowymi ośrodkami/zespołami. A następnie mobilność i współpraca interdyscyplinarna.

Niestety czynniki uważane za decydujące dla rozwoju indywidualnej kariery niekoniecznie, zdaniem badanych, są istotne dla rozwoju nauki. Ważne dla rozwoju nauki, jak i własnej kariery, są: przełomowe publikacje, współpraca międzynarodowa, współpraca z prestiżowymi ośrodkami oraz mobilność naukowców. Istotne rozbieżności widać natomiast, jeśli chodzi o publikacje w czasopiśmie o wysokim JIF, które są cenione z punktu widzenia indywidualnej kariery, ale nie rozwoju nauki. Z kolei za ważne dla rozwoju nauki, a nieistotne z punktu widzenia rozwijania własnej kariery uważane są: udostępnianie wyników negatywnych; udostępnianie wyników eksperymentów/danych surowych; recenzowanie prac innych autorów; popularyzacja wyników badań; współpraca interdyscyplinarna oraz powtarzanie badań już przeprowadzonych.

Te rozbieżności oznaczają, że zabiegając o własną pozycję w środowisku badawczym, naukowcy są w dużej mierze nakładani do działań, które mogą okazać się nieznaczące dla postępu nauki, a jednocześnie są zniechęceni do praktyk, które mu zdecydowanie służą.

Podsumowanie

Badanie potwierdza, że atrakcyjne programy grantowe są skutecznym narzędziem przyciągania młodych naukowców do Polski, nawet jeśli ich motywacja do powrotu jest złożona i związana głównie z czynnikami rodzinnymi i osobistymi. Możliwość poprowadzenia własnego zespołu dla naukowca, który dotychczas miał pozycję „postdoka”, niewątpliwie oznacza nowy etap kariery i możliwości rozwoju, które w jakimś stopniu rekompensują gorsze warunki pracy badawczej w Polsce. Bo warunki te nadal – w opinii badanych – odbiegają od standardów, które obserwowali w dobrych instytucjach zagranicznych, zwłaszcza jeśli chodzi o wsparcie administracyjne ze strony jednostki, jakość dyskusji naukowych i seminariów oraz poziom zarobków. Wobec tych problemów, kwestia braku stabilności zatrudnienia, choć wskazywana jako jedna z najważniejszych barier rozwoju karier naukowych w Polsce, usuwa się na dalszy plan, a w każdym razie nie wygląda w Polsce gorzej niż w innych krajach, gdzie nauka jest lepiej rozwinięta. Badanie potwierdziło również inny problem, jakim jest nieadekwatny system oceny pracy badawczej, który promuje wysiłki niekoniecznie kluczowe dla rozwoju nauki, podczas gdy działania służące nauce nie przekładają się na sukces indywidualny. To jednak również nie jest specyfika Polski, bo w innych krajach europejskich także toczy się coraz intensywniejsza dyskusja na ten temat.

Razem czy osobno?

Jest wielu niezadowolonych z klasyfikacji dziedzin nauki, dyscyplin naukowych oraz dyscyplin artystycznych, która została wprowadzona ministerialnym rozporządzeniem z 20 września 2018 roku.

Tytułowe pytanie związane jest z dziedzinami i dyscyplinami nauki i sztuki. Do jego postawienia skłaniają mnie zarówno wyniki ostatniej parametryzacji, jak i mające obecnie miejsce w środowisku akademickim starania uczonych o „wybicie się” na samodzielność ich dyscyplin. Niektórym z nich udało się zrealizować te aspiracje. W kolejce do rozpatrzenia czekają kolejne wnioski w tej sprawie.

„Gowinowska” klasyfikacja dyscyplin

Nie twierdzą, że wszystko to, co łączy się z Ustawą 2.0, nazywaną wzniosłe Konstytucją dla Nauki, a potocznie „reformą Gowina”, nie sprawdziło się w praktyce. Twierdzą natomiast, że jest wielu niezadowolonych z klasyfikacji dziedzin nauki, dyscyplin naukowych oraz dyscyplin artystycznych, która została wprowadzona ministerialnym rozporządzeniem z 20 września 2018 roku. W dołączonym do niego wyjaśnieniu można przeczytać, że „została ona opracowana we współpracy” z najbardziej znaczącymi gremiami przedstawicielskimi polskiego środowiska akademickiego oraz „oparta jest na klasyfikacji przyjętej przez europejską Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD)”. Sporo zastrzeżeń można mieć nie tylko do tej „współpracy”, ale także do jej przekładania na zapisy Ustawy 2.0 oraz dołączonych do niej ministerialnych rozporządzeń. Niejedno zastrzeżenie można również mieć do owego „oparcia się” na klasyfikacji OECD. Co najmniej jedna kwestia pozostaje bezdyskusyjna: wprowadzona tym rozporządzeniem klasyfikacja dyscyplin skróciła życie wielu tym, które się rozmnożyły niczym przysłowiowe grzyby po deszczu, przekraczając punkt krytyczny, za jaki może uchodzić ponad 100 dyscyplin, a jeszcze bardziej rozmnażające się specjalizacje i specjalności naukowe stanowiły zapowiedź, że jest tylko kwestią czasu, kiedy ten światowy „rekord” zostanie poprawiony i ponownie „zawstydzimy” nim kraje, które na czołowych miejscach w prestiżowym rankingu szanghajskim mają wprawdzie swoje uczelnie, ale lista realizowanych na nich dyscyplin naukowych jest dosyć skromna, bowiem liczy niewiele ponad 40 pozycji.

W uzasadnieniu do ministerialnego rozporządzenia stwierdza się, że „dzięki nowej klasyfikacji dziedzin i dyscyplin będzie możliwe przeprowadzenie skrupulatnej ewaluacji jakości dzia-

łalności naukowej”. Odpowiedzią na pytanie, na ile była ona skrupulatna, może być lawina odwołań od wyników parametryzacji dyscyplin za lata 2017-2021. W komentarzu do niej przewodniczący KEN-u Błażej Skoczeń twierdzi, że „pejzaż nauki polskiej, jaki wyłania się z przeprowadzonej w pierwszej połowie roku ewaluacji i kategoryzacji podmiotów w dyscyplinach, jest zbliżony do tego, jaki pokazały dwie poprzednie ewaluacje (2013, 2017)”. W przełożeniu na nowe regulacje prawne oznacza to, że w gruncie rzeczy nie wprowadziły one zmiany do tego pejzażu. Nie podzielam tej opinii. Nie podzielam również opinii B. Skoczka, że wielkość N (oznaczająca liczbę pracowników naukowych dających swoją afiliację do danej dyscypliny) nie miała istotnego wpływu na uzyskany w tej parametryzacji wynik. Wprawdzie jestem skłonny się zgodzić z tym, że mała liczba N nie gwarantowała sukcesu, jakim było uzyskanie najwyższej kategorii, tj. A+, jednak w niejednym przypadku ułatwiała uzyskanie kategorii A oraz B+. Opinie, że duże N nie utrudnia „konkurowania z małymi podmiotami o niewielkiej liczbie N”, nie podzielają zresztą także władze rektorskie uczelni, które mają takie dyscypliny z dużym N i w tej parametryzacji uzyskały jedynie kategorię B+. Rzecz jasna może to stanowić argument dla uczonych, którzy chcieliby wydzielenia ich dyscypliny i pójścia osobno do następnej parametryzacji.

Argumentacja za wydzieleniem dyscyplin

Argumentacja wnioskodawców o wpisanie na listę ich dyscypliny jest zapewne mocno zróżnicowana. Zróżnicowana jest bowiem sytuacja uczonych, którzy ponieśli największe „straty” w wyniku radykalnego skrócenia w 2018 r. tej listy. Największa liczba „poszkodowanych” jest w dziedzinie nauk technicznych. Sporo ich również w dziedzinie nauk rolniczych i humanistycznych. Wprawdzie wyłoniła ona także nielicznych „zwycięzców”, ale „sukces” zawdzięczają oni nie tyle mocnej pozycji na liście OECD, ile względnie, o których tylko niewielu chce otwarcie powiedzieć, a ci, którzy o tym mówią, muszą uznać, że póki co niewiele mogą zmienić. Nie jesteśmy jednak zdani na domyśle w przypadku dwóch nowych dziedzin i siedmiu dyscyplin, którym udało się „wybić” na samodzielność. Ich argumentacja została bowiem uwzględniona przez ministerialnych decyden-

tów i po jej uzupełnieniu tzw. racjami wyższymi przedstawiona w uzasadnieniu projektu podjętej później decyzji.

Zawiera ono zarówno część wspólną, jak i części odrębne dla każdej z tych dyscyplin. W pierwszej znajdują się stwierdzenia, że „pod wpływem zmian w rozwoju badań naukowych oraz potrzeb społeczno-gospodarczych – są kierowane wnioski przedstawicieli środowiska akademickiego, a także ministrów kierujących poszczególnymi działami administracji rządowej wskazujące na potrzebę wprowadzenia zmian w (...) «klasyfikacji», określonej rozporządzeniem”. Dodaje się przy tym, że

„powinna ona uwzględniać systematykę dziedzin i dyscyplin przyjętą” przez OECD, mieć wzgląd na bezpieczeństwo państwa, konieczność dochowania zobowiązań międzynarodowych Rzeczypospolitej oraz cele, których realizacji służy klasyfikacja, takie jak „możliwość przeprowadzenia miarodajnej ewaluacji jakości działalności naukowej”, „umożliwienie rozwoju naukowego pracowników naukowych oraz stworzenie ram prawnych dla rozwoju działalności dydaktycznej uczelni. (...) Proponowane w projekcie rozporządzenia zmiany w stosunku do dotychczas obowiązującego podziału dziedzin nauki i dyscy-

...było i jest wielu niezadowolonych
z klasyfikacji dziedzin nauki,
dyscyplin naukowych oraz dyscyplin artystycznych...



plin naukowych oraz dyscyplin artystycznych pozwolą na pełniejszą realizację wytycznych zawartych w art. 5, ust. 3 ustawy, przez uwzględnienie w większym stopniu systematyki dziedzin i dyscyplin przyjętej przez OECD oraz kwestii bezpieczeństwa państwa, a także kierunków rozwoju badań naukowych prowadzonych przez podmioty systemu szkolnictwa wyższego i nauki. Utworzenie nowych dyscyplin naukowych umożliwi w kolejnych latach przeprowadzenie bardziej efektywnej i adekwatnej do faktycznych potrzeb środowiska naukowego ewaluacji (...), a w następstwie – nadawania stopni naukowych (...) i prowadzenia kształcenia w szkole doktorskiej w ramach dyscyplin”.

W części zawierającej uzasadnienie do obu wyodrębnionych dziedzin i siedmiu dyscyplin wskazuje się przy „propozycji utworzenia dziedziny nauk weterynaryjnych”, że badania naukowe w dyscyplinie weterynaria „nie ograniczają się jedynie do nauk rolniczych”. Natomiast przy dyscyplinach: 1. etnologia i antropologia zwraca się uwagę na „utrudnienia w prowadzeniu międzynarodowej współpracy naukowej” i „oddalenie polskich naukowców od głównego nurtu badań prowadzonych w tym obszarze”; 2. inżynieria bezpieczeństwa – na „zapobieżenie obniżenia poziomu bezpieczeństwa”; 3. ochrona dziedzictwa kulturowego i konserwacji zabytków – na „rozproszenie edukacji akademickiej i badań naukowych w obszarze tzw. Built Heritage, tj. dziedzictwa budowlanego”; 4. biotechnologia – na „realizację projektu utworzenia polskiego hubu biotechnologicznego, mającego prowadzić działalność w obszarach innowacji farmaceutycznych, innowacji w zakresie wyrobów medycznych i rozwiązań cyfrowych w zdrowiu”; 5. nauki o rodzinie – na „przeciwdziałanie obecnemu rozproszeniu środowiska badawczego podejmującego problematykę rodziny”; 6. stosunki międzynarodowe – na „rozwiązywanie konkretnych problemów międzynarodowych, takich jak: zapewnienie pokoju na świecie, funkcjonowanie instytucji międzynarodowych, prowadzenie polityki zagranicznej i dyplomacji”; 7. nauki biblijne – na „przeszkody w rozwoju współpracy z instytucjami biblijnymi i centrami badań i studiów biblijnych w Europie i w Stanach Zjednoczonych, a także w organizowaniu studiów biblijnych do poziomu licencjatu kanonicznego”.

Opinie o tej argumentacji

Projekt rozporządzenia w sprawie dziedziny nauki i dyscyplin został poddany konsultacjom społecznym, w tym konsultacji z Radą Główną Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Uchwałą z 6 lipca 2022 r. wyraziła ona „negatywną opinię przedstawionej propozycji” i „zaapelowała o wstrzymanie ich wprowadzenia w życie do czasu przeprowadzenia postulowanej analizy”. W kilkunastopunktowym uzasadnieniu tego stanowiska stwierdza się m.in., że „a. Żadna z dwóch proponowanych nowych dziedzin nie ma statusu dziedziny nauki w systematyce OECD; b. Spośród 7 nowych, proponowanych dyscyplin tylko jedna (pomijając nauki weterynaryjne) – biotechnologia (...) ma w klasyfikacji OECD status dyscypliny; c. Dziedzina nauki o rodzinie, z dyscypliną nauki o rodzinie znajdują się w klasyfikacji OECD w dziedzinie nr 5 – nauki społeczne (...). Proponowanie nowej dziedziny (w tym jednej dyscypliny) skłania do refleksji”. W ostatnim punkcie wskazuje się na to, że „dyscyplina nauki biblijne (...) w OECD studia w tym obszarze są sytuowane w dziedzinie nauk humanistycznych” (a nie nauk teologicznych jak to ma miejsce w projekcie), jednak „obiektywnie trudno Radzie Głównej ocenić argument uzasadnienia związany z trudnościami, jakie – przy obecnej klasyfikacji nauki w Polsce – «napotyka środowisko biblistów polskich»”. W konkluzji podsumowującej tę negatywną opinię Rada Główna stwierdza, że „wszystkie cele zmian, określone w projekcie rozporządzenia Ministra mogą zostać zrealizowane

przy obecnej klasyfikacji dziedzin nauki i dyscyplin naukowych i dyscyplin artystycznych”.

Rzecz jasna klasyfikacja OECD nie jest „świętością”, do której należałoby podchodzić bezkrytycznie. Nie powinno jednak tak być, że autorzy projektu rozporządzenia wprowadzającego zmiany do klasyfikacji dziedzin i dyscyplin naukowych powołują się na nią w uzasadnieniu proponowanych zmian, ale w praktyce się z nią rozmijają. Mam również pewne zastrzeżenia do tej części ministerialnego uzasadnienia, w której wskazuje się na polskie realia akademickie – takie m.in. jak trudności w prowadzeniu współpracy międzynarodowej czy „przeszkody w organizowaniu studiów”. Skłonny jestem twierdzić, że „etykietowanie” uczonych, jakim jest przypisanie do określonej dyscypliny, ani tej współpracy specjalnie nie pomaga, ani też specjalnie jej nie szkodzi. Liczą się bowiem przede wszystkim ich faktyczne kwalifikacje, w tym umiejętności nawiązywania i rozwijania takiej współpracy. Natomiast jeśli chodzi o „organizowanie studiów”, to na wielu uczelniach pozostawało ono i pozostaje w luźnych związkach z listą dziedzin i dyscyplin naukowych. Wyrazem tego jest m.in. to, że na wielu z nich dużo więcej jest kierunków studiów niż dyscyplin naukowych, a im są one większe i bardziej znaczące, tym dysproporcje są większe.

Multi-kulti

To potoczne określenie stanowi punkt wyjścia do powiedzenia kilku słów o inicjatywie, która pojawiła się niedawno w dyscyplinie nauki o kulturze i religii. Już na podstawie samej nazwy można sądzić, że przy wpisywaniu jej na listę dyscyplin kierowano się założeniem, iż kultura jest tak ogromnie różnicowana, że do jej naukowego badania potrzebni są zarówno uczeni o szerokim profilu badawczym, jak i wąscy specjaliści. Dostyc zagadkowo wygląda owo „i religia”. Można sądzić, że ten dodatek pojawił się w związku z tym, że była ona obecna nie tylko na liście OECD (w dziedzinie nauk humanistycznych, w dyscyplinie 6.3. filozofia, etyka i religia, w tym subdyscyplinach 6.3.c teologia oraz 6.3.d religioznawstwo), ale także występowała – jako odrębna dyscyplina nauk humanistycznych religioznawstwo – na liście ministerialnej do 2018 r. Dzisiaj jest jasne, że ten dodatek nie spełnił oczekiwań nie tylko etnologów, ale także kulturoznawców, których reprezentuje zarówno Polskie Towarzystwo Kulturoznawcze, jak i Komitet Nauk o Kulturze PAN. Obie te organizacje wystąpiły bowiem z wnioskiem do ministra – pierwsza z nich o zmianę nazwy dyscypliny nauki o kulturze i religii na kulturoznawstwo, natomiast druga o „przywrócenie w dziedzinie nauk humanistycznych dyscypliny o nazwie «kulturoznawstwo»”. Są to wprawdzie różne wnioski, jednak sprowadzają się do tego samego: dotychczasowa nazwa im nie odpowiada.

Co na to ci, którzy w tej sytuacji znaleźliby się poza „burtą” jakiegokolwiek dyscypliny naukowej? Mogą odpowiedzieć na to pytanie, przedstawiając stanowisko religioznawców skupionych w różnych ośrodkach akademickich i reprezentowanych przez Polskie Towarzystwo Religioznawcze (jestem wiceprzewodniczącym jego zarządu). Krótko rzecz ujmując: nie ma zgody na tę pierwszą propozycję, a druga byłaby do zaakceptowania tylko wówczas, gdyby na liście dyscyplin pozostawione zostały nauki o kulturze i religii. Rzecz jasna w tym drugim przypadku pogłębiałoby to jeszcze zamieszanie spowodowane pojawieniem się na niej etnologii i antropologii kulturowej. Skoro jednak jej inicjatorom udało się przekonać ministerialnych decydentów, że nie uprawiają oni nauk o kulturze, to nie można wykluczyć, że do ich przekonania trafi również argumentacja podana we wnioskach tych, którzy uważają się za kulturoznawców, ale już nie religioznawców. Mam jednak nadzieję, że tak się nie stanie.

Jarosław Krajka, Magdalena Sowa

Quo vadis, philologia?

Oferta programowa studiów filologicznych jest wypadkową wielu czynników, takich jak m.in. tradycje i misja szkoły wyższej (i/lub instytutu, katedry), zasoby kadrowe, badania naukowe. W ostatnich latach o kształcie programu studiów mocno decydują czynniki zewnętrzne natury polityczno-oświatowej, społecznej, gospodarczej czy demograficznej.

Zainteresowanie językiem i kulturą wybranego języka stanowi sedno studiów filologicznych, co kieruje uwagę na doskonałość wiedzy w zakresie języka, literatury i kultury. Takie pojmowanie filologii było powszechne do końca XX wieku, natomiast z początkiem trzeciego tysiąclecia radykalnie zmienił się sposób postrzegania formacji filologicznej. Wskutek zmian politycznych, społeczno-gospodarczych i rynkowych koncentrowanie się na wiedzy wszechstronnej, wykształceniu językoznawczym lub literaturoznawczym przestało być wystarczające. W ciągu ostatnich 20 lat mocno ewoluował cel studiowania na kierunkach filologicznych: operacyjna znajomość języków obcych stała się silnie pożądaną i cenioną kompetencją zawodową, otwierającą przed absolwentami atrakcyjne perspektywy zawodowe. Z tego też powodu przybrały na sile reformy i działania w celu uprządkowania i większej specjalizacji kształcenia neofilologicznego, radykalnie wpływając m.in. na kształt i zakres formacji.

Ewolucja studiów filologicznych i terminologiczny *embarras de choix*

Niesłabnąca popularność studiów filologicznych na przestrzeni dekad jest faktem, jednak na pierwszy rzut oka kandydat czy student mogą napotkać terminologiczny nieład, tym bardziej że kierunki studiów o tej samej nazwie na różnych uczelniach mogą mieć inny profil (ogólnoakademicki lub praktyczny), różne proporcje kształcenia w zakresie drugich lub trzecich języków czy różną orientację zawodową (nauczyciel języków obcych, tłumacz ustny, pisemny, audiowizualny, specjalista ds. komunikacji językowej, specjalista ds. negocjacji interkulturowych). W różny sposób mogą się na nie składać podstawowe obszary kształcenia, jakimi są praktyczna nauka wybranego języka (jednego, dwóch lub trzech), kształcenie specjalnościowe (zawodowe), kształcenie w zakresie dyscyplin naukowych stanowiących podwaliny studiów filologicznych (językoznawstwo, literaturoznawstwo, nauki o kulturze i religii – w zakresie wybranego języka/języków). Studia filologiczne ze swojej natury są często również interdyscyplinarne, wykraczają poza tradycyjne ramy wspomnianych dyscyplin i otwierają się na nauki o mediach i komunikacji społecznej, historię, ekonomię czy nawet informatykę. Wszystkie te aspekty sprawiają, że zwłaszcza dla maturzysty wybór studiów filologicznych (poza oczywistą decyzją typu „chcę studiować język angielski/rosyjski, języki romańskie, język angielski + hiszpański” itd.) może powodować trudność,

a późniejsza konfrontacja oczekiwań z rzeczywistością w postaci zestawu przedmiotów w planie zajęć i profilu studiów prowadzić do rozczarowania i rezygnacji już przed pierwszą sesją.

Tradycyjnie filologia to badanie języka i jego wytworów, w tym literatury danego kręgu kulturowego, na podstawie tekstów stworzonych w danym języku, w celu ustalenia autorstwa i chronologii, nadania poprawnego kształtu, opracowania objaśnień rzeczowych (realiów) czy przygotowania krytycznej edycji tekstu (*Encyklopedia PWN*). W tradycyjnym ujęciu w latach 70. i 80. XX wieku studia filologiczne zakładały dogłębne i długotrwałe przygotowanie absolwentów do badań językowych, pracy z tekstem obcojęzycznym, jego tłumaczenia i edycji. Zakładały one systematyczne studiowanie poszczególnych obszarów działań językowych w ramach danego języka (tekstów literackich, tekstów kultury, filmów czy wytworów audiowizualnych) przy jednoczesnym zgromadzeniu bogatej wiedzy o systemie danego języka, jego rozwoju historycznym, zależnościach i związkach z innymi językami czy wreszcie uwarunkowaniach socjokulturowych. Filologia stanowiła z początku jedną dziedzinę, dopiero w początkach XIX wieku zaczęły wyodrębnić się filologie różnych języków (filologia klasyczna, neofilologie). Proces ten widać było również w klasyfikacji programów studiów i w dyplomach absolwentów – jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku na polskich dyplomach widniał np. kierunek „filologia”, specjalność „filologia angielska”.

Równoległe z ogólnym terminem „filologia” i doprecyzowaniem konkretnego języka (np. filologia czeska czy germańska) funkcjonowały potocznie terminy z przyrostkiem -styka (np. romanistyka czy iberistyka). Początkowo stanowiły jedynie bardziej obiegowe synonimy, z czasem jednak zaczęły w rzeczywistości uczelnianej nabierać bardziej praktycznego znaczenia, wraz z rosnącym od końca lat 90. ukierunkowaniem zawodowym studiów. Finalnie razem ze zmianami przepisów w sprawie stypendiów naukowych, zakładającymi możliwość przyznania stypendium rektora nie więcej niż 10% studentów na określonym kierunku studiów, wiele uczelni przekształciło dotychczas funkcjonujące specjalności językowe na kierunku filologia (np. filologia germańska czy romańska) w osobne kierunki, stosując już często nazwy nieobejmujące tego słowa.

Praktyczne aspekty funkcjonowania języka

Dużo młodsza niż filologia jest lingwistyka stosowana, która jako dziedzina badawcza rozwijała się bardzo intensywnie od

lat 60. i 70. ubiegłego wieku, głównie dzięki pracom Franciszka Gruczy i stworzonego przez niego ośrodka badawczego na Uniwersytecie Warszawskim. Jak podaje F. Grucza (2017), dziedziną ta obejmuje badaniami zarówno praktyczne aspekty funkcjonowania języka, ulepszanie jego funkcjonowania, jak również same aspekty języka. Dlatego też, zdaniem F. Gruczy, lista praktycznych zastosowań lingwistyki stosowanej, z którymi bywa utożsamiana (i z których to obszarów można oczekiwać kształcenia praktycznego na studiach) jest długa i obejmuje, między innymi, metodykę nauczania języka ojczystego i języków obcych (kształcenie nauczycielskie w ramach nauczania danego – jednego, dwóch lub trzech – języka obcego lub języka ojczystego jako obcego), technologię nauczania języków (kształcenie dla wspomaganego komputerowo nauczania), tworzenie materiałów do nauczania języków obcych, tworzenie testów i testowanie, logopedię, leksykografię, interlingwistykę, sztuki werbalne (np. poetykę czy retorykę) czy wreszcie automatyczne przetwarzanie danych językowych. Listę tych obszarów można uzupełnić również takimi dziedzinami jak reklama, propaganda językowa czy teleinformatyka, co najlepiej wskazuje na mnogość profili zawodowych, które mogą prezentować studia na kierunku lingwistyka stosowana. W praktyce, patrząc jednak na specjalności oferowane na studiach, można napotkać głównie translatorykę (tłumaczenia ustne/pisemne w zakresie tekstów specjalistycznych) oraz glottodydaktykę (nauczanie dwóch języków obcych) przy jednoczesnym praktycznym kształceniu językowym w ramach dwóch języków obcych (najczęściej język angielski jako pierwszy i wybrany język drugi, zarówno te bardziej popularne jak rosyjski, francuski, hiszpański czy niemiecki, jak i rzadziej nauczone, np. portugalski, japoński czy chiński). Z kolei obszary badawcze lingwistyki stosowanej uwidaczniające się w przedmiotach kursowych to np. leksykologia (badania nad słownictwem danego języka), leksykografia (dział językoznawstwa zajmujący się teorią i praktyką tworzenia słowników), wraz z bardziej szczegółowymi działami odnoszącymi się do słowników terminologicznych dla określonych socjolektów (terminologia i terminografia).

Na bazie popularności lingwistyki stosowanej od początku lat 2000. również monofilologiczne kierunki zaczęły się zmieniać, coraz częściej planując kształcenie językowe w ramach dwóch języków obcych. To, co było od zawsze domeną np. filologii romańskiej/romanistyki (dwa języki romańskie) czy filologii słowiańskiej/slawistyki (dwa języki słowiańskie), stało się jeszcze bardziej popularne w przypadku innych obszarów językowych. Coraz częściej zatem można spotkać kierunki typu „języki romańskie w biznesie”, „języki specjalistyczne”, „języki obce na rynku pracy”, pod którymi kryje się kształcenie praktyczne w zakresie dwóch wybranych języków oraz kształcenie kompetencji miękkich wymaganych na rynku pracy. Jednak te nazwy nie są synonimiczne dla lingwistyki stosowanej, nie uwzględniają bowiem w swoim profilu odwołania do badań nad praktycznymi aspektami funkcjonowania języka oraz nad samymi aspektami języka. Dlatego też „lingwistyka w biznesie” może mieć nie tak dużo wspólnego z definiowaną przez F. Gruczę „lingwistyką stosowaną”, oznaczając studia językowe (również jednojęzyczne) o profilu praktycznym, ukierunkowane na umiejętności przydatne na rynku pracy (często nawet współprowadzone z wybranymi pracodawcami lub wręcz realizowane na ich zamówienie).

Ten skomplikowany pejzaż uległ dodatkowemu rozróżnieniu wraz ze zmianami prawnymi w zakresie studiów nauczycielskich wprowadzonymi przez Prawo o szkolnictwie wyższym w 2005 roku (Dz.U. z 27 lipca 2005 roku), które nakazywało uczelniom kształtującym nauczycieli języków obcych na studiach I stopnia wprowadzenie do programów nauczania drugiego

przedmiotu kształcenia. Celem zmian było umożliwienie absolwentom uzyskiwania podwójnych kwalifikacji do nauczania, zwiększenie ich zatrudnialności na rynku pracy i zapewnienie szkołom bardziej wszechstronnej kadry. Jednostki prowadzące studia filologiczne w specjalnościach nauczycielskich musiały zatem dostosować swoje programy kształcenia do wymogów ustawowych, najczęściej wprowadzając przygotowanie do kształcenia drugiego języka obcego czy przedmiotu „wiedza o kulturze” (poprzez „naturalne” wykorzystanie istniejących już w programach filologicznych przedmiotów kulturoznawczych). Niektóre kierunki, zwłaszcza oferowane przez ówczesne PWSZ, otworzyły się na inne przedmioty, np. technologię informacyjną. Jak pisze Anna Niżegorodcew (2007), dwutorowość kształcenia nauczycieli przez filologów była uważana przede wszystkim za zagrożenie dla studiów filologicznych, z uwagi na ograniczenie kształcenia językowego i teoretycznego na rzecz godzin z drugiego przedmiotu, co powodowało nieuchronnie obniżenie kompetencji językowej absolwentów. Istniało również zagrożenie zastępowania filologów specjalistami z zakresu innych przedmiotów czy też native speakerami na stanowiskach nauczyciela. Jednocześnie dwutorowość była jednak, zdaniem Niżegorodcew, szansą na uwzględnienie w kształceniu nauczycieli języków obcych w Polsce koncepcji zintegrowanego kształcenia przedmiotowo-językowego (ang. Content and Language Integrated Learning – CLIL). Mimo że po kolejnej zmianie standardów kształcenia nauczycieli dwutorowość kształcenia przestała być wymagana i wiele kierunków studiów powróciło do kształcenia nauczycielskiego tylko w zakresie jednego przedmiotu, kilkuletni epizod dwutorowości przyniósł pozytywny skutek poprzez zwiększenie interdyscyplinarności studiów filologicznych. Zapewne również dzięki temu proponowane specjalności wykraczające poza tradycyjne dyscypliny filologiczne do świata ekonomii, prawa czy informatyki (np. język rosyjski w obsłudze ruchu granicznego, język rosyjski z językiem angielskim w służbie celnej) znalazły swoje miejsce w pejzażu studiów językowych w Polsce.

Czynniki kształtujące ofertę edukacyjną filologii

Oferta programowa studiów filologicznych jest wypadkową wielu czynników, takich jak m.in. tradycje i misja szkoły wyższej (i/lub instytutu, katedry), zasoby kadrowe, badania naukowe. W ostatnich latach o kształcie programu studiów mocno decydują czynniki zewnętrzne natury polityczno-oświatowej, społecznej, gospodarczej czy demograficznej.

Programy kształcenia na studiach nie mają racji bytu w odezwaniu od przepisów prawa. Kluczowe w modelowaniu oferty programowej okazały się Krajowe Ramy Kwalifikacji i Polska Rama Kwalifikacji, które w centrum uwagi postawiły końcowy produkt edukacji, tj. efekty kształcenia i sposoby ich weryfikacji oraz oceny. Uwalniając się ze sztywnego gorsetu dawnych minimów programowych, uczelnie uzyskały dużą autonomię w kształtowaniu programów studiów, dostosowując je do potrzeb odbiorców i sytuacji na rynku pracy oraz własnych zasobów materialnych i personalnych.

Masowość kształcenia na poziomie szkoły wyższej, niż demograficzny i profil kandydatów na studia to czynniki, które także kształtują programy kierunków filologicznych. W kontekście uwarunkowań demograficznych powszechny dostęp do studiów ma negatywne przełożenie na jakość procesu kształcenia. Choć kierunki filologiczne należą do najpopularniejszych, to ogólna liczba studentów zmniejsza się regularnie od roku 2010/11. Coroczny spadek liczby kandydatów na filologię i lingwistykę wywołany niżem demograficznym powoduje niemałe perturbacje z utworzeniem grup o pożądaną liczebności i problemy z uruchomieniem kierunku. Także duży stopień róż-

nicowania przygotowania językowego kandydatów na studia zmusza do uśrednienia poziomu wymagań, obniżenia warunków progowych i/lub modyfikacji koncepcji studiów. Namacalnym dowodem takiego stanu rzeczy jest m.in. tworzenie tzw. filologii od zera.

Obserwowalna jest silna polaryzacja oczekiwań studentów względem celu podejmowanego kształcenia i jego organizacji na studiach I i II stopnia: priorytetowym zamiarem studentów kierunków językowych jest nauka i doskonalenie znajomości języka jako systemu i środka komunikacji. Cel ten winien być realizowany poprzez regularną naukę w formie intensywnego kursu językowego na studiach I stopnia, natomiast na studiach II stopnia pożądana jest specjalizacja umiejętności stricte językowych w odniesieniu do planów zawodowych. Reprezentacje studiów neofilologicznych profilują się wyraźnie jako studia językowe (licencjat) oraz studia zawodowe, głównie tłumaczeniowe, choć nie tylko (magisterium). Decyzja o rozpoczęciu studiów filologicznych jest decyzją świadomą, podjętą na podstawie krytycznej analizy oferty dydaktycznej dostępnej na stronach uczelni. Pierwszorzędne znaczenie odgrywają w niej elementy dające wyobrażenie o rodzaju i zakresie treści programowych (tj. profil studiów, ścieżki i specjalizacje zawodowe, przedmioty itp.) użytecznych w życiu „po studiach”.

Aktualny rynek studiów w Polsce jest rynkiem studenta. Kluczowe dla profilowania oferty programowej wydaje się zatem

kryterium atrakcyjności i adekwatności kształcenia do oczekiwań beneficjenta (tj. studenta i jego przyszłego pracodawcy). Zmusza to kierunki filologiczne do namysłu nad realnymi perspektywami zatrudnienia przyszłych filologów, a tym samym do współpracy z otoczeniem zewnętrznym. Wolność w zakresie decydowania o kształcie programu nauczania to duża szansa na powiązanie oferty studiów z potrzebami rynku pracy, ale także odpowiedzialność za jakość i skuteczność kształcenia, której miernikiem jest m.in. zdolność absolwentów do zatrudnienia. Istotne znaczenie ma więc ciągłe różnicowanie oferty dydaktycznej, aby corocznie była ona atrakcyjna i pożądana przez potencjalnych odbiorców, których potrzeby i oczekiwania ewoluują. Winna ona także uwzględniać nowo pojawiające się obszary aktywności zawodowej absolwentów filologii. Projektowanie programu studiów wchodzi już wyraźnie w zakres kompetencji UX Designera (User Designer Experience) i polega na projektowaniu doświadczeń studenta, które zwiększą jego satysfakcję z realizowanego programu studiów.

Sposoby uatrakcyjnienia studiów lingwistycznych

Postępujące od kilkunastu lat uzawodowienie studiów, również tych o profilu ogólnoakademickim, doprowadziło do poszukiwania przez neofilologie specjalności umocowanych na rynku pracy. Dla filologów polskich edytorstwo tekstów elektronicznych, copywriting, nowe media czy media



Fot. Stefan Ciechan

społecznościowe stanowiły istotne obszary modyfikacji specjalności w celu „odświeżenia” wizerunku tradycyjnych filologii i przyciągnięcia kandydatów na studia. Neofilologie swojej szansy upatrują w kształceniu w zakresie tzw. języków specjalistycznych, podczas gdy lingwistyki priorytetowo koncentrują się na kształceniu tłumaczy (Tłumaczenia i specjalności tłumaczeniowe są także częstym komponentem kształcenia na filologiach obcych). Dobra znajomość języków obcych jest niezaprzeczalnie atutem na rynku pracy i stanowi często ważne kryterium selekcji wśród pracodawców. Wielu z nich przedkłada umiejętność władania językiem obcym przez kandydata nad wykształcenie kierunkowe, uznając, że w toku szkoleń branżowych uzupełni on szybko niedostatki w zakresie wiedzy zawodowej. Wykształcenie kompetencji komunikacyjnej w języku obcym na pożądanym poziomie może być natomiast bardziej kosztowne i czasochłonne dla pracownika przygotowującego merytorycznie do pracy na danym stanowisku, ale niedolnego do komunikacji w środowisku międzynarodowym. Poza tym są zawody, w których ważniejsze niż wiedza specjalistyczna wydają się tzw. kompetencje miękkie, pozwalające na szybkie uczenie się, elastyczność i szybką adaptację do nowych obowiązków i warunków pracy. Można także zauważyć, że na rynku pracy małe i duże przedsiębiorstwa tworzą atrakcyjne dla filologów nisze zawodowe, w których pożądana jest przede wszystkim dobra znajomość języka. Dowodzą tego m.in. badania prowadzone na uczelniach na temat losów zawodowych absolwentów filologii i lingwistyki: zdecydowana większość filologów podejmuje pracę w obszarach postrzeganych standardowo jako niefilologiczne (np. handel, administracja, zarządzanie, reklama i PR, turystyka, transport i logistyka). Nie dziwi więc, że u podstaw profilowania studiów językowych leżą potrzeby i oczekiwania studentów, co dla uczelni oznacza silniejsze ukierunkowanie kształcenia językowego na problematykę zawodową za sprawą przemysłowych działań na poziomie koncepcji programu i jego wykonania w ramach zajęć.

Widocznym przejawem uzawodowienia studiów językowych jest silna obecność w nazewnictwie kierunków i specjalności oraz zajęć określeń sugerujących wykorzystanie studiowanego języka w konkretnym środowisku pracy. O różnorodności nazw kierunków pisaliśmy wyżej, stwierdzając wyraźne odejście od tradycyjnego nurtu filologicznego z nazwą „filologia” na centralnym miejscu na rzecz innych sformułowań akcentujących naukę specjalistycznych odmian języków obcych, głównie języka biznesu („język angielski w biznesie”, „komunikacja biznesowa w języku rosyjskim”, „lingwistyka dla biznesu”), choć nie tylko. Większe zróżnicowanie widać na poziomie nazewnictwa przedmiotów właściwych dla programu kierunku lub specjalności, gdzie wyraźnie widać powiązanie z branżą i/lub aktywnością zawodową. Wachlarz możliwości jest tu szeroki: od określeń bardzo ogólnych sytuujących język obcy w kontekście specjalistycznym (np. „francuski w świecie pracy”, „niemiecki język branżowy”, „angielski w kontekstach zawodowych”), przez odniesienie do konkretnych branż (m.in. „język włoski ekonomii i finansów”, „język niemiecki finansów i bankowości”, „język angielski w rachunkowości”, „język francuski w hotelarstwie i restauratorstwie”), aż po specyficzne zawody i działania wykonywane za pomocą języka w ramach branży (np. „językowa obsługa biznesu w języku angielskim”, „rozmowy handlowe w języku rosyjskim”, „korespondencja dyplomatyczna w języku niemieckim”, „przewodnik wycieczek w języku rosyjskim”). Obecne jest także w nazwach proponowanych przedmiotów podejście językoznawcze poprzez zaakcentowanie wybranego systemu, najczęściej leksykalnego (np. „terminologia ekono-

miczna”, „terminologia z zakresu prawa gospodarczego i handlowego”, „słownictwo specjalistyczne 2: sztuka, turystyka, krajoznawstwo”) lub analizę dyskursu („język dokumentów handlowo-celnych”, „praca z tekstem prawniczym”, „angielskie gatunki użytkowe w biznesie”, „analiza kontrastywna tekstów specjalistycznych” itp.).

Przedstawione powyżej rozwiązania są atrakcyjne dla uczestników studiów. Jednakże uwzględnienie komponentu zawodowego w programie studiów lingwistycznych pociąga za sobą określone konsekwencje dla jednostki prowadzącej kierunek. Nietrudno zauważyć na powyższych przykładach zajęć różny stopień specjalistyczności oferowanego kształcenia: w jednych dominuje komponent językowy (ewentualnie językowo-kulturowy), inne bardziej uwypuklają element wiedzy specjalistycznej spoza obszaru filologii. Nie obywa się to bez problemów, którym należy stawić czoło. Rozwazde podać należy choćby rozkład proporcji pomiędzy zajęciami ukierunkowanymi na rozwój sprawności językowych a przedmiotami z zakresu wiedzy dziedzinowej (prawo, ekonomia, obsługa celna, obrót gospodarczy itp.), mając świadomość wagi praktycznych ćwiczeń z języka w związku ze wspomnianym wcześniej spadkiem poziomu biegłości językowej kandydatów na studia i nierzadko potrzebą organizacji nauki języka od podstaw. Obawy rodzi także konieczność wprowadzania nowych przedmiotów do siatki godzin, co odbywa się zazwyczaj kosztem zajęć już istniejących, by nie zwiększać kosztowności kierunku. Do tego dochodzą problemy związane z obsadą personalną zajęć (specjalistycznych), a razem z nimi krytyczna ocena zasobów kadrowych jednostki prowadzącej kierunek i potrzeba zaangażowania specjalistów z zewnątrz. Wszystkie decyzje, które należy podjąć profilując zawodowo kierunek studiów, będą miały reperkusje na różnych poziomach: dydaktycznym, merytorycznym, językowym, kadrowym, finansowym i, jak to zwykle w życiu bywa, nie da się zadowolić wszystkich w równym stopniu.

Zwiększanie atrakcyjności studiów filologicznych dokonuje się także poprzez zacieśnienie współpracy z otoczeniem gospodarczym. Praktyka nauczania języków obcych na studiach lingwistycznych pokazuje w ostatnich latach wiele udanych propozycji programowych oraz różnych form współdziałania uczelni z interesariuszami zewnętrznymi. Wśród działań podejmowanych w partnerstwie akademicko-przedsiębiorczym należy wymienić m.in. studia dualne, staże i praktyki, wizyty w przedsiębiorstwach, projekty badawcze. Takie formy współpracy pozwalają pełniej kształtować kompetencje inter- i intrapersonalne studentów, nie usuwając z pola widzenia głównego celu kształcenia, jakim jest rozwój i doskonalenie ich kompetencji językowych. Priorytetowa formacja językowa zostaje uzupełniona o komponent specjalistyczny, dając studentom wyobrażenie o możliwych obszarach zatrudnienia i sposobach wykorzystania w nim języka obcego.

Podsumowując, odpowiedź na pytanie postawione w tytule: Quo vadis, philologia?, może być następująca: studia filologiczne wchodzą w nowe obszary dyscyplinarne, wdrażają innowacyjne możliwości i formy kształcenia oraz aktualizują jego efekty w odniesieniu do wiedzy, umiejętności i postaw poszukiwanych w danej chwili na rynku pracy. Z pewnością nie jest to koniec filologii jako takiej (choć znika ona z nazwy niektórych kierunków), ale koniec pewnej jej formy/formuły i kreatywne otwarcie się na zmiany.

*Dr hab. Jarosław Krajka, prof. UMCS, anglista,
Dr hab. Magdalena Sowa, prof. UMCS,
romanistka, Katedra Lingwistyki Stosowanej
Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie*

Rozmowa z prof. Anną Goebel z Uniwersytetu Artystycznego im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu

Tkanina nieoczywista

Student decyduje o rodzaju swoich działań i jest za nie odpowiedzialny. Oczywiście pomagamy mu, pełniąc rolę stymulatora jego rozwoju. Różnorodność postaw wymaga indywidualnej pracy z poszczególnymi osobowościami, uwzględniając ich poszukiwania i aktualny stan świadomości artystycznej.

Jak zmieniła się pracownia tkaniny w poznańskiej PWSSP od czasu, gdy jej kierowniczką została Magdalena Abakanowicz?

Magdalena Abakanowicz po otrzymaniu złotego medalu na Biennale w São Paulo zaczęła być rozpoznawalna w świecie sztuki. Pracę w poznańskiej uczelni podjęła w 1965 roku. Był to czas reorganizacji, zmian strukturalnych wprowadzanych przez ówczesnego rektora prof. Stanisława Teisseyre'a, który zaprosił do współpracy wybitnych artystów z różnych dyscyplin i ośrodków. Wcześniej tkanina w PWSSP miała charakter użytkowy i w pewnym sensie służebny wobec wiodących specjalności: architektury wnętrz i mebla. Zajmowano się kilimami, tkaninami żakardowymi czy nicielnicowymi. Stosowano warsztaty poziome, które Abakanowicz zamieniła na pionowe, gdyż technika gobelinu dawała większą swobodę twórczą niż ta wykorzystywana przy tkaniu kilimów. A sam gobelin, na Zachodzie naśladujący malarstwo, u nas przyjął formę bardziej strukturalną. Wyjątkowość pracowni wynikała jednak nie tyle z warsztatu, co z osobowości artystki. Po reaktywacji przez prof. Teisseyre'a Wydziału Malarstwa, Grafiki i Rzeźby tkanina znalazła się w katedrze malarstwa jako pracownia artystyczna.

Prof. Abakanowicz deklarowała wprost: „Nie interesuje mnie praktyczna przydatność moich dzieł”.

Tak mówiła i jeszcze zaznaczała, że jej prace nie są dekoracjami. W latach 60. tkanina uzyskiwała już autonomię, a polscy artyści odnosili sukcesy na Międzynarodowych Biennale Tkaniny w Lozannie. Mówiono o Polskiej Szkole Tkaniny, którą oprócz Magdaleny Abakanowicz tworzyli m.in. Jolanta Owidzka, Wojciech Sadley, Ewa Jaroszyńska-Pachucka czy Maria Teresa Chojnacka. Artystów tych cechowała duża otwartość na eksperyment oraz wyjście poza tradycyjne formy i materiały.

Jak pani wspomina swoją obecność w Pracowni Tkaniny?

Początkowo była to Pracownia Gobelinu, co nam specjalnie nie przeszkadzało. Chęć tutaj zaznaczyć, iż zmiany w terminologii dokonują się wolniej niż przemiany w sztuce. W pewnym momencie stwierdziłyśmy jednak, że „tkanina” jest określeniem bardziej uniwersalnym, obejmującym wielość wypowiedzi, nie tylko technikę. Magdalena Abakanowicz stworzyła pracownię, która była miejscem unikalnym nie tylko w skali Polski, ale i świata, ze względu na nowatorskie podejście do tkaniny

w kontekście sztuki oraz ogromną wolność twórczą. Do pracowni przyjeżdżali stażyści z różnych stron świata, co w czasach PRL-u stanowiło ewenement. To były czasy szarości: czarno-białej telewizji, czarno-białych zdjęć, jeśli kolor, to ORWO-wski, który zanikał. A jednak wyróżnialiśmy się na tle studentów zagranicznych ogromną energią, pasją pracy i tworzenia. Uczelnia była naszym drugim życiem, dużo czasu spędzaliśmy razem – w pracowni i poza nią. Często farbiarnia zamieniała się w miejsce do gotowania prostych posiłków. Naszym rytuałem stały się celebracje każdej zakończonej pracy, gdyż pracochłonne realizacje zajmowały na ogół po kilka miesięcy. Pamiętam skrupulatnie przygotowywane wigilie z tradycyjnymi potrawami z różnych regionów Polski i dekoracjami utworzonymi w pracowni. Bywało, że pracowaliśmy do rana, a w przerwach – aby się rozerwać – chodziliśmy na różne imprezy do klubu Dno, który działał w PWSSP. To był intensywny i bardzo twórczy czas.

A jaki był program zajęć pracownianych?

Magdalena Abakanowicz nie podawała konkretnych tematów. Czasami ministerstwo ogłaszało „temat roku” (był np. Rok Sportu, Rok Kobiet albo Rok Wojska), studenci jednak nie musieli pracować zgodnie z tymi wytycznymi. Panowała duża dowolność, można powiedzieć, że program był tylko pewnym szkieletem wypełnianym w czasie roku akademickiego, co uważam za innowacyjne podejście. Oczywiście panowały pewne zasady. Ważna była wiedza technologiczna i materiałowa. Na początku bardziej skupialiśmy się na formach tkaninych. Do połowy lat 80. student zaczynał pracę od poznawania konstrukcji tkaniny, aby zrozumieć jej specyfikę. Każdy był zobligowany do wykonania kompozycji statycznej, a następnie dynamicznej. Swoje szkice studenci interpretowali na krośnie pionowym, a w przypadku realizacji przestrzennej wykonywano wcześniej modele. Materiały przygotowywaliśmy sami, co wpływało na charakter kompozycji. Abakanowicz opowiadała nam, że artyści na Zachodzie mieli do dyspozycji gotowe materiały – w sklepach znajdowały się całe ściany posegregowanych, ponumerowanych włóček w różnych kolorach. U nas, w zgrzebnej socjalistycznej Polsce, to było nie do pomyslenia. Zainteresowały nas jednak inne materiały: len, sizal, materiały poprodukcyjne z Instytutu Włókien Naturalnych. Załatwiałam różne odpady: worki papierowe, w które pakowano cukier, jutowe służące do transportu kawy czy sieci rybackie. Czę-

stym celem wizyt studentów był punkt sprzedaży surowców wtórnych. W pracowni powstawały różnorodne obiekty pojedyncze lub tworzące cykle. Pamiętam, że tematy rodziły się na bieżąco, wynikały ze spontanicznych dyskusji. Zainspirowani rozmową z Japończykiem na temat hamaka szukaliśmy interesujących rozwiązań konstrukcji tkackiej umieszczonej na dwóch linkach albo na podstawie obserwacji sposobu siedzenia każdy student analizował swoją najbardziej komfortową pozycję. Pracowaliśmy nad ideą siedziska, przy czym nie chodziło o formę krzesła, tylko o obiekt przynależny do konkretnej osoby. Kiedyś Abakanowicz przysłała wprost z dworca kolejowego i mówi: „Na ulicy scinają gałęzie drzew”. Od razu zorganizowałam transport i ruszyłam ze studentami, aby je zdobyć. Zrobiliśmy z nich ogromny obiekt łączący podłogę z sufitem – pracowaliśmy w grupie: jeden podawał, drugi wiązał, potem jeszcze obserwowaliśmy działanie tej formy w różnym oświetleniu.

Nie było zarzutów, że „jakoś mało tkaniny w tej tkaninie”?

Nie zawsze spotykałyśmy się ze zrozumieniem. Próbowano nawet przenieść pracownię do mniejszego pomieszczenia i utworzyć w jej miejsce bufet. W czasie przeglądów semestralnych czy końcoworocznych niektórzy profesorowie chcieli zobaczyć więcej tradycyjnej tkaniny. Mówiłyśmy wówczas, że pracownia nie jest tkalnią, że chodzi nam o myślenie kategoriami plastycznymi, a nie tylko tkackimi. Także o wolność w tworzeniu, bo wykorzystywaliśmy nietypowe materiały, jak słoma, pierze, gałęzie, woda. Zastosowanie takich materii wynikało z potrzeby doświadczania i tworzenia prac różnorodnych, tak

pod względem formy, jak i artystycznego przekazu. Pewnego dnia mieliśmy w sobie tyle energii, że pocięliśmy stertę zużytych prześcieradeł i udało nam się zasznurować całą klatkę schodową. Czekaliśmy na pracowników – co to będzie, jak przyjdą i nie będą mogli wejść...

Dużo zabawy, przy okazji.

Wspólna zabawa, ale i doświadczenie z przestrzenią i z materią.

Magdalena Abakanowicz często przebywała za granicą i wówczas samodzielnie prowadziła pani zajęcia ze studentami.

Tak. Abakanowicz przyjeżdżała rzadko, korzystała z różnych urlopów. Jako asystentka stawałam się łącznikiem pomiędzy nią a studentami. Ale „koło toczyło się dalej”. Początki były dla mnie trudne, zostałam rzucona na głęboką wodę, a pracę na uczelni traktowałam bardzo poważnie. Musiałam odnaleźć się na nowym gruncie, w sytuacji, gdy student był moim rówieśnikiem. Na szczęście z Magdaleną Abakanowicz łączyły nas jakieś fale porozumienia, a to jest podstawą współpracy. Poza ćwiczeniami warsztatowymi studenci realizowali najróżniejsze zamierzenia twórcze, powstawały również prace zespołowe, co obecnie należy do rzadkości. Biorąc pod uwagę powolny proces tworzenia tkanin, wprowadzałam tzw. ćwiczenia szybkie, np. w fabryce załatwiałam duże bele papieru i gdy tylko rozwinęliśmy na korytarzu ponad 20 metrów białej materii, już wyobraźnia zaczynała pracować, powstawały formy przestrzenne o zmiennej kompozycji. Początkowo w pracowni realizowaliśmy wiele obiektów przeznaczonych do konkretnych przestrzeni: szpitali, przedszkola, teatru. W latach 70. i 80. tkanina była bardzo popularna w miejscach użyteczności publicznej, stosowano ją we wnętrzach, aby ożywić zimną, betonową architekturę.

Tkaniny pływały nawet na statkach...

Były tak popularne, jak obecnie murale.

Wracając jednak do Pracowni, wspominała pani, że wiele działań uzależnionych było od przypadku, wynikało ze spontanicznej wymiany myśli.

W życiu jest wiele przypadków. Nawet to, że trafiłam do Pracowni Tkaniny, było w pewnym sensie przypadkowe. Często nasze działania były spontaniczne, ale zdarzały się też bardziej zaplanowane. Zajęliśmy się na przykład zagadnieniem przestrzeni i do doświadczeń wybraliśmy obszerną uczelnianą Galerię Aula, o znacznej wysokości. Każdy student opracował koncepcję, jak wypełnić tę przestrzeń i przygotował makietę w odpowiedniej skali. Potem wspólnie realizowaliśmy wybrany projekt. Powstała ogromna forma przestrzenna zrobiona z prostokąta podwieszonego w takich punktach, aby tworzył stół, do którego można wejść. Do realizacji wykorzystaliśmy zużyte worki jutowe i plastikowe. Przy okazji eksperymentowaliśmy z farbowaniem tych materiałów. Tworzyliśmy też różne obiekty miękkie dla dzieci, które później zostały przekazane do przedszkola.

A jakie osobiste wątki wprowadziła pani do programu Pracowni?

Przede wszystkim często wyjeżdżałam ze studentami na plenery. Wówczas organizowano tylko obowiązkowe plenery wydziałowe, które odbywały się w czasie wakacji, natomiast wspólne wyjazdy pracowniane w czasie roku akademickiego nie były praktykowane. Tutaj też o wielu sprawach decydował przypadek. Jedną z naszych studentek kupiła „pałac” w Zamęcie i zaprosiła całą pracownię. W PWSSP działała wówczas



Magdalena Abakanowicz i Anna Goebel ze studentkami w Pracowni Tkaniny



Ćwiczenia w Pracowni Tkaniny

studium wojskowe, zapytałam kierownika czy jest szansa na załatwienie spadochronów wojskowych i dopomógł nam. Spadochrony – ogromne płaszczyzny uszyte z lekkiej materii – łączyliśmy na miejscu. Nazwałam to działanie „Białe na białym”. Panowała wtedy bardzo śnieżna zima i te białe spadochrony w białym krajobrazie poddały się swobodnie działaniu wiatru, a ich lekkość pomagała nam w akcji. Początkowo była to dla nas zabawa, która przekształciła się w przemyślane budowanie monumentalnych form kształtowanych przez ruchy powietrza. Organizowałam także plenery, które odbywały się

da się przewidzieć. Przecież istotny jest proces twórczy, czas poszukiwań własnych środków artystycznego wyrazu. Sztuka nie mieści się w żadnych tabelkach, wymyka się takim klasyfikacjom. Ze sztywnych programów w obszarze twórczym zwykle nic ciekawego nie wynika. Kiedyś nie było sylabusów, na szczęście.

Jak więc wygląda proces dydaktyczny?

Najpierw zawsze rozmawiam ze studentami, dowiaduję się, kim oni są, czym się zajmują w innych pracowniach, jakie są ich

w Grotowie, w środku lasu. A kiedy uczelnia odzyskała pałac w Skokach, Pracownia Tkaniny gościła tam często razem ze studentami z Goldsmith University, gdzie wykładowczynią została była studentka z naszej pracowni. Ona również zaprosiła nas na swoją uczelnię do Londynu. Za granicą często spotykałam się z odmiennym podejściem do dydaktyki. Gdy prowadziłam warsztaty, uczestnicy od razu chcieli wiedzieć, jakich konkretnych technik się nauczą. A u nas bardziej chodziło o przysłowiowe „otwieranie głowy”.

Obecnie mamy te nieszczęsne efekty kształcenia, które trzeba z góry określić przy tworzeniu programu pracowni.

Właśnie, a działania twórcze mają to do siebie, że rezultat nie zawsze



Plener studencki – Pracownia Tkaniny

zainteresowania, co ich nurtuje, w czym mogę im pomóc. Słucham ich uważnie i traktuję bardzo serio, jak partnerów. Wiele problemów jest wspólnych dla rozmaitych pracowni, niezależnie od uprawianych dziedzin sztuki. Toteż różne doświadczenia studentów wzajemnie się uzupełniają. Podaję kilka haseł, ćwiczeń pozwalających rozpocząć działanie, aby się nie pogubić w gąszczu możliwości. Zdarza się, że student nie wie, jak zacząć, po czym wkrótce przychodzi i już ma pomysł, nad czym chciałby pracować. Student decyduje o rodzaju swoich działań i jest za nie odpowiedzialny. Oczywiście pomagamy mu, pełniąc rolę stymulatora jego rozwoju. Różnorodność postaw wymaga indywidualnej pracy z poszczególnymi osobowościami, uwzględnienia ich poszukiwań i aktualnego stanu świadomości artystycznej.



Prace Anny Goebel



Prace Anny Goebel

Czy można zaobserwować wśród studentów zwrot w kierunku zainteresowania tradycyjnymi technikami?

Tak, Pracownia już w swoim założeniu łączy tradycję z poszukiwaniem i eksperymentem. Zachęcam studentów do poszukiwania nowatorskich rozwiązań, które pozwalają transformować tradycyjne, znane już techniki w zupełnie nowy zaskakujący sposób. Nawet tak tradycyjna technika, jak papier czerpany robiony z roślin, to temat rzeka, ciągle można próbować czegoś nowego. W połowie lat 80. wprowadzałam batik, ale interpretowany w sposób twórczy, wykonywany na różnych materiałach, nawet wbrew tej technice. Chcę jednak podkreślić, że należy znać zasady, aby móc im zaprzeczać.

A co znajduje się w centrum pani zainteresowań twórczych?

Wychodzę z założenia, że sztuki się nie wymyśla, więc inspiracje czerpię z rzeczywistości. Fakt, że do moich kompozycji włączam materiał pospolity, jest rezultatem wnikliwej obserwacji i zrozumienia tego, co mnie otacza, jak też i całego mojego stosunku do świata i natury. Na początku szczególnie interesowały mnie materiały poprodukcyjne, różne pakuły, niedoprzędę lnu, materie, których używają instalatorzy, szary papier pakowy z księgarni, którym owijano książki. Gdy na uczelni odbywała się wymiana instalacji elektrycznych, miałam dostęp do drutów umieszczonych w takich parcianyach koszulkach, które mogłam wykorzystać do tworzenia obiektów przestrzennych. Zdarza się, że materia inspiruje, ale częściej do danej koncepcji szukam najodpowiedniejszej technologii. Zawsze fascynowało mnie to, co nieznanne.

Częste pobyty w Puszczy Noteckiej o różnych porach roku pozwoliły mi oswoić się z tajemnicami natury. Do swoich kompozycji zaczęłam wprowadzać elementy bezpośrednio z niej wzięte, np. gałązki brzoź, różne gatunki traw, igliwie... Przetwarzam je lub używam jako cytatów. Bywa, że cykl natury staje się czasem tworzenia i czasem trwania mojego działania w pejzażu, a las spełnia wówczas rolę miejsca kreacji. Zawsze była i jest dla mnie ważna przestrzeń, miejsce ekspozycji prac, które starannie wybieram. Zebrane nad jeziorami trzciny czyszczyć i doprowadzam do takiej postaci, że nie są już tym, czym były.

Wówczas w konkretnej przestrzeni buduję z nich formy, które wypełniają wnętrza galerii, a po zakończeniu wystawy przekazuję materię na warsztaty dla dzieci.

Prace mają więc swoje życie po życiu.

Tak, jest przecież tyle prac zużytych, zniszczonych, mamy nadmiar wszystkiego i sztuki też. Drugi nurt to projekty, do których bywam zapraszana, jak instalacja *Labirynt pytań*, która dotyczyła przymusowej pracy kobiet z Europy Wschodniej w fabryce juty w czasie II wojny światowej. Projekt związany był z konkretnym miejscem, czasem i prawdą historyczną. Pamięci historycznej dotyczył także projekt *Who's afraid of Rosa*. W czasie plenerów i sympozjów inspirowało mnie samo miejsce, niezależnie czy jest to np. fabryka papieru w Ružomberku, czy Park Pezinok w Słowacji. W miejscu, gdzie rosło dużo klonów, pracowałam z różnokolorowymi liśćmi, które przetwarzałam, kreując przestrzenne obiekty. A z nosków klonowych nawleczonych na nitki utworzyłam instalację *Invitation to...* – miejsce zapraszające do parku. Takich działań było sporo.

Jak pani widzi relacje dyscyplin: tkanina artystyczna i rzeźba? Magdalena Abakanowicz odżegnywała się od określenia „tkaczka”, przedstawiała się jako rzeźbiarka.

Dlatego że próbowano ją zaszufłakować, przed czym się broniła. Zresztą wkrótce rzeczywiście stała się rzeźbiarką. Tkanina otworzyła jej drzwi do świata sztuki, ale abakany to przecież miękkie rzeźby. Obecnie granice pomiędzy dyscyplinami zacierają się jeszcze bardziej. Wielu artystów stosuje w swojej twórczości medium tkaniny w najrozmaitszych formach. Tkanina jest interdyscyplinarna – artysta myśli i operuje kategoriami funkcjonującymi w sztuce aktualnej, a nie kategoriami dawnego „tkactwa”. Prawie wszystko bowiem, co najciekawsze i najbardziej twórcze, tak w tkaninie samej, jak i w całej sztuce, rozgrywa się na pograniczach różnych gatunków i dyscyplin. Niektórzy mówią, że to, z jakim medium mamy do czynienia, jest autonomiczną decyzją artysty.

W przeszłości studenci spędzali w pracowniach więcej czasu i łatwiej było ich poznać. Obecnie słyszę niejednokrotnie, że wielu wpada na korekty jak do biura i biegną dalej. Czy jest sposób, żeby ich zatrzymać?

Kiedyś studenci byli bardziej dojrzałi, często zdawali na uczelnię artystyczną po kilka razy, a egzaminy wstępne trwały dwa tygodnie. Kiedy studiowałam, w poznańskiej PWSSP, było tylko 140 studentów z wszystkich lat i wydziałów. Każdy cenił sobie możliwość studiowania na tak elitarnej uczelni, a utrzymać się w niej nie było łatwo. Bardzo pozytywnie oceniam przywrócenie na kierunku malar-

stwo studiów jednolitych, co na pewno będzie sprzyjać indywidualnemu rozwojowi twórczemu młodzieży. Wiele zależy od roku i kierunku, ale widzę, że młodzież chętnie przychodzi do Pracowni Tkaniny na realizację ćwiczeń i różnych działań, a zdobyte doświadczenia wykorzystuje w indywidualnej pracy nie tylko u nas, także w innych pracowniach. Dydaktyka artystyczna jest specyficzna i trudna. Spotykam się z różnymi typami osobowości: jedni są otwarci, inni mniej śmiali. Ja też byłam kiedyś taką myszką, która siedziała cicho i robiła swoje. Czasami student nie wie, o co pytać, a bywa też, że ma nadinterpretację słowną, dużo mówi, ale swojej opowieści nie potrafi wyrazić środkami plastycznymi. Nie o to chodzi, by narzucać młodym ludziom, co mają robić, ale by ich naprowadzać i pomagać im w podążaniu własną drogą. Najważniejsze, aby rozwijać świadomość, bo to dzięki niej dokonujemy wyborów.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska
Zdjęcia z archiwum prof. Anny Goebel



Prace Anny Goebel

O sztuce porozumiewania się

W poszukiwaniu informacji i wyjaśnień dotyczących różnych zjawisk i zdarzeń uznawanych za ważne ludzie wybierają rozwiązanie, mając do dyspozycji alternatywę w postaci nauki albo pogłosek. Różnica polega na tym, że tylko pierwsza z nich pozwala zrozumieć, co naprawdę się dzieje. Jednak, jak pokazała pandemia Covid19, czyli sytuacja z gatunku nagłych i nieprzewidywalnych, zachowanie jednostek polegające na szukaniu łatwych i prostych recept ciągle znajduje wielu zwolenników. Jest to o tyle niebezpieczne, że w zalewającym nas na co dzień chaosie informacyjnym łatwo się zgubić i ulec podszeptom wszechobecnej manipulacji. O tym, jak ważna jest więc umiejętność poszukiwania wiarygodnych źródeł informacji,



przekonuje prof. dr hab. Iwona Hofman, przewodnicząca Komitetu Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach PAN.

W rozmowie zamieszczonej w „Gazecie Uniwersyteckiej” (nr 9/2022), czasopiśmie społeczności akademickiej Uniwersytetu Gdańskiego, poruszonych zostało wiele wątków, także ten dotyczący potrzeby debatowania na temat sposobów komunikowania. Jak podkreśla

prof. Hofman, dobrą platformą wymiany myśli i doświadczeń w tym obszarze jest Kongres Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej. To odbywające się cyklicznie wydarzenie, w którym biorą udział medioznawcy i naukowcy z takich dziedzin, jak socjologia, politologia, filozofia czy językoznawstwo, nastawione jest nie tylko na popularyzowanie efektów naukowych, stanowi także dobrą okazję do integrowania się środowiska badaczy mediów.

Egzamin zdany celująco

Ewaluacji poddanych zostało osiem dyscyplin nauki, siedem z nich otrzymało kategorię A, a jedna kategorię B+. Taki wynik plasuje Politechnikę Krakowską w ścisłej czołówce polskich szkół wyższych, a w gronie uczelni technicznych pozwala jej szczerzyć się drugim miejscem w kraju. Sukces, o którym mowa, udało się osiągnąć dzięki aktywności badawczej, publikacyjnej oraz patentowej. Pozytywny wpływ miała także aktywna współpraca z biznesem, przekonuje prof. dr hab. inż. arch. Andrzej Bialkiewicz, rektor PK. Do końcowego powodzenia przyczyniło się także z pewnością zwiększenie nakładów na każdy z obszarów, wdrożenie programów nagród za osiągnięcia naukowe i publikacyjne, czy przyznawanie premii finansowych dla liderów nauko-



wych dyscyplin. Nie można też zapomnieć o pozytywnym wpływie powołanego do życia Centrum Doskonalenia Badań Naukowych. Wszystkie te inicjatywy w równym stopniu pozwoliły wzmocnić dwa obszary: interdyscyplinarnej współpracy zespołów badawczych oraz indywidualnego rozwoju poszczególnych naukowców.

Przed uczelnią ze stolicy Małopolski stoi wiele wyzwań na przyszłość związanych przede wszystkim ze zmieniającym się światem i czynnikami zewnętrznymi, na które nie ma się wpływu. Politechnika Krakowska jest gotowa, by podejmować nowe wyzwania. To dobry czas, by doskonalić proces kształcenia, wzmocnić umiejętności obrony wiedzy naukowej w czasie, kiedy obserwowany jest wzrost populizmów, a nade wszystko, by nie ustawać w prowadzeniu badań służących ludzkości. Więcej na temat planów rozwoju przeczytać można w miesięczniku „Nasza Politechnika” (nr 10/2022).

Kim jesteś badacz?

Nie ma krzty przesady w twierdzeniu, że postęp technologiczny jest wynikiem działania tych, którzy od zarania dziejów starali się eksplorować rzeczywistość, odkrywając rządzące nią prawa i odnajdując zależności występujące między różnymi zjawiskami. Praktycznym zastosowaniem naukowego oglądu świata są takie materialne artefakty, jak samochody, komputery czy smartfony. Skoro więc rola nauki jest aż tak istotna, to żal, że „społeczeństwo zanurzone w swojej codzienności zdaje się tego nie zauważać, nie pamiętać. Nie dostrzegać znaczenia nauki. Powszechnie uważamy, że to się po prostu zdarzyło”.

Wypowiedź prof. dr hab. Marka Świtońskiego, członka rzeczywistego PAN, która jest częścią obszernej rozmowy opublikowanej na łamach „Więści Akademickich” (nr 3/2022), czasopisma Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, jest



próbą odpowiedzi na pytanie o istotę i rolę naukowca, o to, jaki jest jego status społeczny i jak jest postrzegany w naszym kraju. Zdaniem interlokutora wpływu na to, że nauka nie cieszy się w Polsce odpowiednim uznaniem, upatrywać można w obrębie trzech głównych przyczyn. Pierwszą z nich stanowią sami naukowcy, którzy nie okazują wystarczającej pokory i aspirują do roli ekspertów w każdej dziedzinie, także

też, w której nie dysponują wystarczającym poziomem wiedzy. Drugą jest dzisiejsza rzeczywistość charakteryzująca się skupieniem na krótkich wiadomościach i licznych obrazach. W takich okolicznościach trudno jest znaleźć odbiorców chętnych do sięgania po teksty naukowe, które z istoty rzeczy wymagają dłuższego skupienia i większej uwagi. Wreszcie po trzecie, jako społeczność, nie potrafimy weryfikować źródeł informacji. Ważne jest więc, jak podkreśla prof. Świtoński, by skupić się na propagowaniu umiejętności krytycznego myślenia. Nabywanie tego typu kompetencji należałoby wprowadzać już na poziomie szkoły średniej, podsumowuje rozmówca.

Aneta Zawadzka

Marek Misiak

Tylko bez nazwisk

Niepokojącym zjawiskiem jest stosowanie angielskiej transkrypcji nazw i nazwisk rosyjskich, ukraińskich i białoruskich w tekstach po polsku. Rozumiem, że czasem wynika to z chęci ułatwienia czytelnikom szukania dalszych informacji w anglojęzycznych źródłach, ale niestety nie jest to zgodne z obowiązującymi zasadami poprawnościowymi.

Czasem praca redaktora jest naprawdę fascynująca, zdają się jednak etapy pracy mało porywające, a jednocześnie wymagające skupienia i rozwiązywania problemów (nie sposób ich zatem wykonywać „na autopilocie”). Zdaniem niektórych na tym polega mało dla większości laików zrozumiała różnica między redakcją a korektą – redakcja to praca twórcza (choć na cudzym tekście), korekta zaś polega na wyszukiwaniu błędów o przewidywalnym charakterze. Większość usterek interpunkcyjnych czy związanych z dostosowaniem tekstu do konkretnej konwencji wydawniczej jest dość przewidywalna i można je zaliczyć do którejś z kategorii, które doświadczony redaktor ma już poukładane w głowie niczym szufladki w starym niemieckim biurku. Jeśli mówimy o ujednoczeniu zapisu tytułów (np. tytuły książek kursywą, a czasopism w cudzysłowach), to nie będę nawet próbował udowodniać czytelnikom, że to może być interesujące. Natomiast kontrola poprawności zapisu obcojęzycznych nazwisk to zetknięcie się z obcymi realiami nie tylko językowymi, ale i kulturowymi, gdyż nierzadko zwyczajem związane z imionami i nazwiskami odzwierciedlają meandry rozwoju danego społeczeństwa lub historii danego kraju.

Nie mogę się tu oprzeć pokusie pewnej złośliwości – w kontekście omawianego problemu zawsze zastanawiający był dla mnie kontrast między tym, jak wielu publikujących naukowców jest przywiązanych do własnych nazwisk i nazwisk osób bliskich czy znajomych, a dezynwolturą, jaką potrafią wykazywać w odniesieniu do nazwisk obcych. Ta sama osoba, która przekonuje mnie, że jej nazwisko jest nieodmienne (choć jest wręcz przeciwnie), jest zdziwiona, że np. stosowanie polskiej lub angielskiej transkrypcji nazwisk rosyjskich albo pomijanie umlautów w nazwiskach niemieckich ma znaczenie. Nazwisko to w naturalny sposób coś bardzo osobistego, także dla kogoś, kto mieszka na drugim końcu globu. Dbanie o ten aspekt pracy naukowej – także w przypisach i bibliografii – jest oznaką nie tylko generalnej staranności, ale też szacunku dla ludzi z innych kręgów kulturowych. Poniższe zestawienie reguł oraz kwestii szczególnie podatnych na błędy ma subiektywny charakter. Omawiam zapis imion i nazwisk, które napotykam w mojej praktyce zawodowej i które wydają mi się szczególnie podatne na błędy popełniane przez autorów piszących zarówno po polsku, jak i angielsku. Z uwagi na moje zainteresowania przykłady pochodzić będą głównie ze świata filmu i literatury.

Ona, on, oni

Najważniejszym błędem jest przekręcenie nazwiska. Warto pamiętać, że autokorekta w edytorze tekstu wychwyci

błędy albo w nazwiskach bardzo znanych, które znajdują się we wbudowanym w program słowniku, albo w takich, które sami do niego wcześniej wprowadziliśmy. Wszystkie nazwiska oraz mniej znane (np. obcojęzyczne) imiona warto zatem zweryfikować wcześniej samemu, przed oddaniem tekstu do redakcji. Literówka to jednak ludzka rzecz i zdarza się najlepszym. Natomiast pomylenie w tekście płci osoby, o której wspominamy, może spowodować poważne zadrażnienia, gdy chodzi o osobę żyjącą, a w każdej sytuacji skutecznie ośmieszyć piszącego. Polszczyzna – i w ogóle języki słowiańskie – jest pod tym względem komfortowa, bo z bardzo nielicznymi wyjątkami nie znajdziemy w niej imion, które może nosić zarówno kobieta, jak i mężczyzna. Są jednak języki, w których identyczne imię mogą nosić i mężczyźni, i kobiety. Po francusku Claude to zarówno Klaudia, jak i Klaudiusz, a Stéphane – zarówno Stefan, jak i Stefania (Stéphanie to imię wyłącznie żeńskie). Prawdziwym koszmarem jest jednak pod tym względem angielski, w którym „obupłciowych” imion jest sporo. Dotyczy to nawet takich, które Polakom w oczywisty sposób kojarzą się tylko z jedną płcią: pisarz Evelyn Waugh był mężczyzną, podobnie jak amerykański dyplomata Shirley Abbott. Najważniejszy jest jednak inny aspekt angielszczyzny, w tym języku wyjątkowo dużo zdrobnień funkcjonuje jako osobne imiona, a deminutywy od żeńskiej i męskiej wersji tego samego imienia często wyglądają tak samo. Zatem Bobby/Bobbie to i Robert, i Roberta, Pat – zarówno Patrick, jak i Patricia, a Jess – i Jesse, i Jessica. Zdarzają się też niepowiązane imiona, które mają takie samo zdrobnienie – Sam/Sammy/Sammie to i Samuel, i Samantha.

Osobnym zagadnieniem są imiona, które, zapożyczane do innego języka, „zmieniają płeć”, gdyż w języku docelowym ich forma (zwłaszcza końcówka) kojarzy się z inną płcią. Stąd po włosku Andrea i Luca to imiona męskie (żeglarz Andrea Doria), a w językach germańskich żeńskie (brytyjska aktorka Andrea Riseborough). Warto też uważać na – najczęściej etymologicznie niepowiązane – imiona, które różnią się tylko jedną literą, a przypisane są do różnych płci. Po niemiecku Ute to kobieta, a Uwe mężczyzna, zaś Sönke to mężczyzna, a Silke kobieta; po angielsku Audrey to kobieta (Audrey Hepburn), a Aubrey mężczyzna.

Kolejność imion i nazwisk

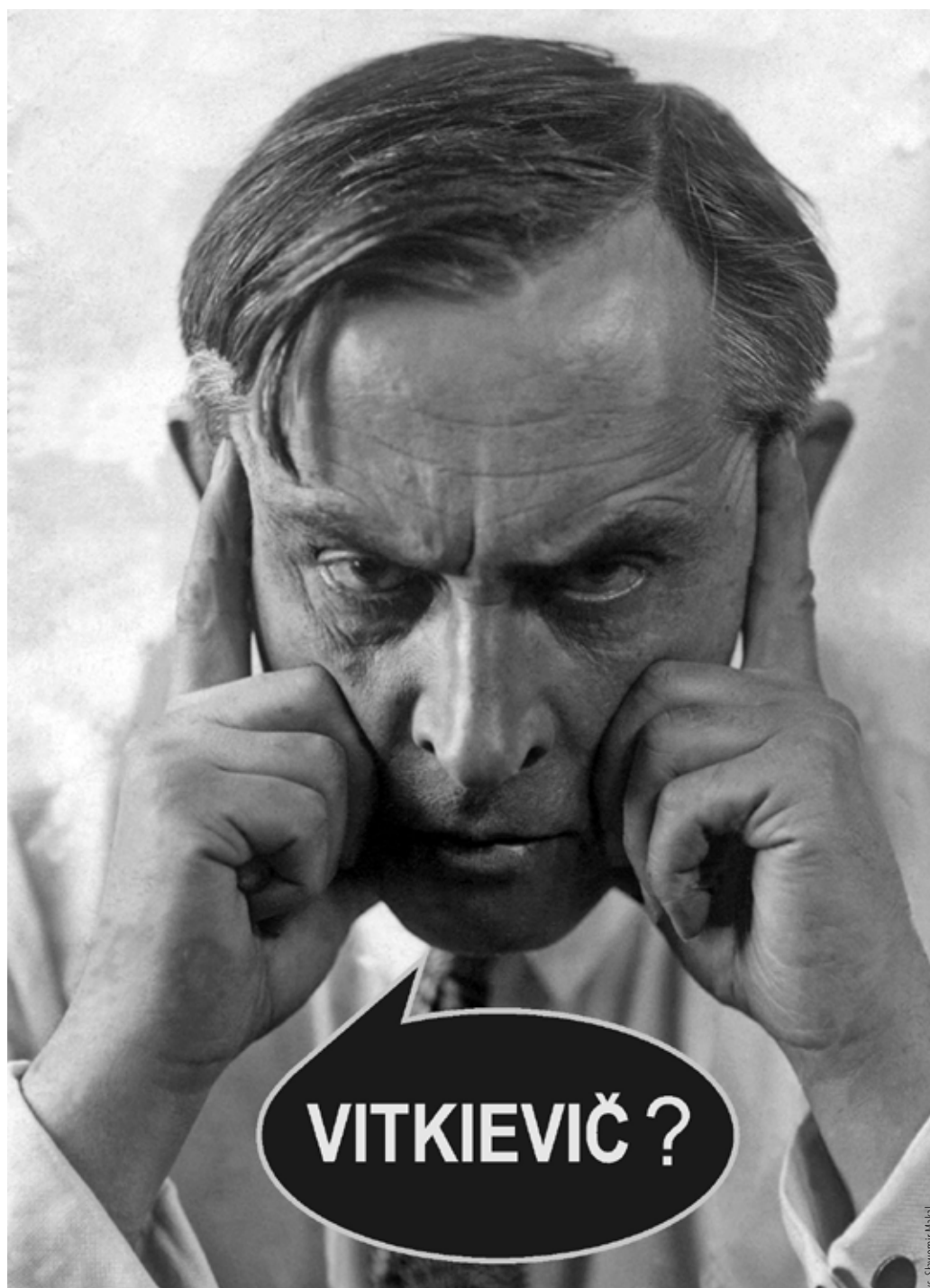
Zarówno przy podawaniu imion i nazwisk w tekście, jak i przy tworzeniu bibliografii warto zwrócić uwagę na kolejność, gdyż sekwencja z imieniem na pierwszym miejscu nie

jest oczywista. Najbardziej znane języki, w których najpierw wymieniane jest nazwisko, a potem imię, to japoński i węgierski. Zatem w tekstach po japońsku Akira Kurosawa to zawsze Kurosawa Akira. W przypadku osoby tak znanej nawet laik wychwyci błąd, ale osoba słabo obeznana z tą kulturą może nie rozpoznać, że kolejność pozostała zamieniona, mimo iż tekst przełożono np. na angielski. Wiele japońskich nazwisk ma podobne końcówki (-oto, -ato, -ashi, -oshi), więc przy osobach takich jak Shinya Tsukamoto czy Masaki Kobayashi (reżyserzy filmowi), ale już Sion Sono (też reżyser) może nasuwać pewne wątpliwości (Sion to imię). Z kolei wielu Węgrów nosi imiona charakterystyczne dla całej kultury zachodniej, które mimo specyfiki tego języka wciąż są rozpoznawalne (György, Ferenc, Tamás, Viktor, Máttyás) albo są znane mimo utraty podobieństwa do pierwowzoru (István to Stefan, Sándor to

Aleksander, a Imre to Henryk). Może się jednak zdarzyć, że autor nie odróżni, że kolejność jest niewłaściwa, jeśli nie rozpozna imienia jako imienia. Zetknąłem się z tym przy okazji takich postaci, jak reżyser Pál Fejős (Pal to Paweł) czy pisarz Mór Jókai (Mór to zdrobnienie od Móric, tj. Maurycy). Warto mieć świadomość, że tego rodzaju konwencje zapisu nie są przenoszone z języka na język, więc jeśli w języku, w którym piszemy, obowiązuje określona kolejność podawania imion i nazwisk, należy to ujednotwić.

Wielocłonowe imiona i nazwiska

Nawet w bardzo profesjonalnie przygotowywanych bazach artykułów czy osiągnięć naukowych nie ma możliwości pełnej weryfikacji wszystkich informacji automatycznie zaciąganych z gromadzonych tam publikacji. Zatem jeśli redakcja czasopi-



sma popełni błąd, ma on dużą szansę zostać powielony w takiej bazie. W danych bibliograficznych szczególnie często napotykam na pomyłki w nazwiskach wieloczłonowych, szczególnie niemieckich, niderlandzkich, hiszpańskich i portugalskich.

Wprowadzając dane bibliograficzne, musimy wiedzieć, które z kilku elementów wchodzących w skład skomplikowanych nazwisk to imiona, a które nazwiska, a także które przyimki należy pisać wielką literą. Niektóre arystokratyczne nazwiska w wymienionych językach składają się z dwóch części rozdzielonych przyimkiem. Hiszpański reżyser José Luis Sáenz de Heredia ma zatem dwa imiona i dwuczłonowe nazwisko, a niemiecki reżyser Florian Henckel von Donnersmack jedno imię i dwuczłonowe nazwisko. Po hiszpańsku i portugalsku podwójne imiona i podwójne nazwiska sporadycznie tylko pisane są z łącznikiem, warto zatem uważać: Gabriel García Márquez ma dwa nazwiska, a hiszpański reżyser José Luis Merino dwa imiona.

Pisownia przyimków (de, di, von, van itp.) wielką lub małą literą to złożone zagadnienie, może to bowiem zależeć zarówno od narodowości danej osoby, jak i od indywidualnej tradycji w danej rodzinie lub decyzji danej osoby. Przyimek von jest po niemiecku pisany zawsze małą literą i także Amerykanie o niemieckich korzeniach (np. aktor Lenny von Dohlen) przestrzegają tej reguły. Natomiast przyimki van/van der/van het/te/ter itp. w nazwiskach holenderskich i afrykanerskich są pisane małą literą (holenderska bojownicza ruchu oporu Kate ter Horst), we flamandzkich – wielką (belgijski reżyser Pieter Van Hess), a w amerykańskich zarówno małą, jak i wielką, ale zdecydowanie częściej wielką (amerykański aktor Harry Van Gorkum). Podobnie jest na gruncie języka angielskiego z przyimkami włoskimi, hiszpańskimi i portugalskimi, które w tych ostatnich językach zapisywane są małą literą (hiszpański kompozytor Alex de la Iglesia i amerykański reżyser Brian De Palma). Mogą się też jednak trafić nazwiska np. włoskie z przyimkiem pisany wielką literą (pochodzący z Sycylii aktor Enrico Lo Verso). Warto też zwrócić uwagę, że niekiedy przyimki takie są pisane ze spacją, niekiedy łącznie, ale wciąż wielką literą (amerykański pisarz Don DeLillo), a niekiedy po prostu łącznie (możliwa jest np. pisownia Mac Donald, MacDonald, McDonald i Macdonald).

Jeśli ktoś posługuje się dwoma imionami, nie należy pomijać drugiego imienia, zwłaszcza że w niektórych językach (np. po francusku i niemiecku) niektóre podwójne imiona są traktowane jako jedna całość (szczególnie jeśli pierwsze imię to Jan: Jean-Paul, Jean-Pierre, Jean-Jacques, Hans-Christian, Hans-Georg itp.) albo po prostu są jednym imieniem, najczęściej nadawanym na cześć jakiejś słynnej postaci: Jean-Baptiste (Lamarck, francuski przyrodnik), Martin Luther (King) czy Mary Stuart (Masterson, amerykańska aktorka).

Ortografia imion i nazwisk

Generalną zasadą jest, aby imiona i nazwiska zapisywane w oryginale alfabetem łacińskim oddawać łącznie ze wszystkimi występującymi w danym języku dodatkowymi literami i znakami diakrytycznymi. Można od tego odstąpić, jeśli wymagałoby to zmiany kroju pisma (choć wielu składaczy umie znaleźć inne rozwiązania – w ostateczności dorysowują diakryty), jeśli dana baza danych i tak nie przyjmuje danego znaku (tak nie powinno być, ale narzędzia informatyczne nie są doskonałe) lub jeśli mogłoby to utrudnić wyszukiwanie danego nazwiska. Transkrypcję (np. niemieckich czy skandynawskich umlautów na ae, ue i oe) należy stosować tylko w ostateczności, jeśli nie ma możliwości zastosowania oryginalnej pisowni. Nazwisko pozbawione specyficznych dla danego języka znaków będzie inaczej wymawiane. Hitlerowski zbrodniarz Rudolf

Höß miał inne nazwisko niż niemiecka aktorka Nina Hoss. Znaczenie mają także oznaczenia akcentu bądź wymawialności samogłoski, bo zdarzają się imiona lub nazwiska (np. francuskie), które różnią się tylko nimi. Jeśli jednak dana osoba sama oczekuje pominięcia znaków diakrytycznych w swoim imieniu i nazwisku, należy to uszanować. Regularnie stykam się z autorami z Turcji, którzy formułują takie oczekiwania. Nie należy natomiast nigdy pomijać występujących w niektórych językach apostrofów, oznaczających albo pominięcie części wyrazu (niderlandzkie van 't wymawiane jako [ət] to skrócone van het, jak w regule van 't Hoffa), albo bardzo krótką samogłoskę (słowackie Ľ oznaczające podniebienne [ɫ], spółgłoskę podobną do „li” w słowie „milion” – por. słowacki pisarz Ludovít Štúr).

Nazwiska rosyjskie, ukraińskie i białoruskie

Nazwiska zapisywane w oryginale alfabetami innymi niż łaciński, podawane są rzecz jasna w transkrypcji. O ile jednak w przypadku transkrypcji z cyrylicy serbskiej, bułgarskiej czy macedońskiej, a także z alfabetu greckiego (starożytnego i współczesnego) błędy zdarzają się sporadycznie, a transkrypcje z alfabetów pozaeuropejskich (chińskich, japońskich, arabskiego, perskiego, hebrajskiego czy alfabetów używanych na subkontynencie indyjskim) to zagadnienie poza zakresem tematycznym tego tekstu, o tyle niepokojącym zjawiskiem jest stosowanie angielskiej transkrypcji nazw i nazwisk rosyjskich, ukraińskich i białoruskich w tekstach po polsku. Rozumiem, że czasem wynika to z chęci ułatwienia czytelnikom szukania dalszych informacji w anglojęzycznych źródłach, ale niestety nie jest to zgodne z obowiązującymi zasadami poprawnościowymi. Obowiązuje zapis za pomocą skodyfikowanej transkrypcji tych języków na polski alfabet łaciński. Dla przykładu: rosyjskie imię Jegor (Егор) bywa w angielskiej transkrypcji zapisywane czasem jako Yegor, a czasem jako Egor, choć w rosyjskiej cyrylicy litera wyglądająca jak łacińskie „e” jest zawsze wymawiana jako [je]. W rezultacie miałem ostatnio okazję usłyszeć, jak rosyjski reżyser filmowy Jegor Konczalowski (Егор Кончаловский) jest przez nieznającego rosyjskiego polskiego krytyka filmowego wymawiany jako [egor konczalowski]. Zdarza się też, że w wyniku stosowania angielskiej transkrypcji nazwiska i nazwy ukraińskie i białoruskie oddawane są w wersji rosyjskiej. Po angielsku bywa to poprawne, ale polska transkrypcja podąża za zapisem ukraińskim/białoruskim, zatem np. prezydent Białorusi po angielsku częściej zapisywany jest jako Alexander Lukashenko (po rosyjsku Александр Лукашенко), a po polsku poprawna jest jedynie wersja Alaksandr Łukaszenka (po białorusku Аляксандр Лукашэнка).

Co także istotne: transkrypcja to nie to samo, co transliteracja (jedna litera za jedną literę) i może do pewnego stopnia modyfikować wymowę. Jeśli chcemy zaproponować własną, naszemu zdaniem lepszą transkrypcję, jest to oczywiście możliwe, ale pod warunkiem podania oryginalnego zapisu cyrylicy. Jeśli zaś komuś bardzo zależy na podaniu transkrypcji angielskiej jako bardziej uniwersalnej, również może podać ją w nawiasie, optymalnie wraz z oryginalnym zapisem. Moim zdaniem należy raczej promować znajomość innych systemów pisma (zwłaszcza że alfabety cyrylicy nie są trudne), niż bazować na różnych systemach transkrypcji, które zawsze są tylko przybliżeniami.

Na zakończenie ciekawostka: Moje własne nazwisko bywa trudne do wymówienia dla obcokrajowców i widziałem już następujące zapisy ze słuchu: Misyac, Misyakk, Misjag, Michak (w niektórych językach ch w takiej pozycji zostanie wymówione jako dźwięk zbliżony do ś), Мисьяк, Мисьяк, Мисіак i Містак.

Władza platform

Za fasadą Google'a, Facebooka i Spotify

Janusowe oblicze władzy korporacji cyfrowych platform, ujmowanej w perspektywie nauki o mediach i komunikacji społecznej oraz zarządzania mediami, jest wielowymiarowe, a próba poznania ich fenomenu interdyscyplinarna.

Wielkie przełomy widać na horyzoncie. Pierwszy to „świt algorytmów” uczenia maszynowego, które mają być równie kreatywne co człowiek. Drugi dotyczy wykorzystania głosu w pozyskiwaniu danych na globalną skalę i ekspansji asystentów głosowych towarzyszącej internetowi rzeczy. Kolejny, odleglejszy, może łączyć się z wykorzystaniem kwantowych komputerów.

Ponieważ wszystko wskazuje na to, że sprawcami i beneficjentami tej ekspansji będą te same wielkie cyfrowe korporacje platform, które od kilku dekad, a zwłaszcza w dobie pandemii, ufundowały miliardom ludzi środowisko pracy, rozrywki i komunikacji – ze wszystkimi tego stanu rzeczy konsekwencjami – warto krytycznie przyjrzeć się celom, jakie im przyświecają oraz ich społecznym, gospodarczym i politycznym wpływom. Czas ku temu jest szczególnie dogodny, ponieważ na tym samym horyzoncie widać jeśli nie schyłek ich władzy, to pęknięcia na ich wizerunku.

Platformy osiągnęły podczas pandemii klasyczne pyrrusowe zwycięstwo: z jednej strony uzyskały historycznie wielkie bogactwo, zatrudniły wielu nowych pracowników i podjęły wyjątkowe, nowe wyzwania, takie jak choćby metawersum. Z drugiej strony za sprawą wzmocnionych państw walczących z pandemią zostały zepchnięte na drugi plan. Jednocześnie erozji uległ mit ich wspierania społecznego dobrostanu i sprawczości. Nie tylko nie uratowały świata przed „zarazą”, ale jeszcze odegrały w jej zwalczaniu marginalną rolę. Ich technologie w niewielkim stopniu wsparły polityczne i społeczne wysiłki, w istotnej zaś mierze pozwoliły na pogłębienie nierówności rynkowych i eksploatacji społecznych przestrzeni. Im bardziej rosło ich bogactwo i postrzegane koszty ich wpływu, tym bardziej rosło zainteresowanie ich władzą i jej konsekwencjami. Jeszcze niedawno były partnerami państw, niezbędnymi, naturalnymi liderami w noosferze, dziś – w defensywie – choć pozostają liderami innowacyjności, a przede wszystkim utowarowienia kolejnych aspektów życia, od pracy, gościnności po emocje, są stawiane pod pręgierzem. I nie chodzi jedynie o testowanie i przesuwanie granic prywatności, ale na przykład – co szczególnie istotne dla ich pozycji – o antykonkurencyjność wynikającą z unikatowej kompetencji identyfikacji i dławienia w zarodku zagrożeń dla ich dominującej pozycji, o umiejętność tworzenia przeszkód konkurencyjnych, kumulowania efektu sieci, sprzę-

żenia zwrotnego danych i wykorzystywania ekonomii skali oraz wpływu lobbingu i „orgiastycznej” dobroczynności.

„Platforma” sugeruje neutralność i egalitarność

Janusowe oblicze władzy korporacji cyfrowych platform, ujmowanej w perspektywie nauki o mediach i komunikacji społecznej oraz zarządzania mediami, jest zatem wielowymiarowe, a próba poznania ich fenomenu interdyscyplinarna. To bowiem platformy niezwykle, uwodzące oferowanymi możliwościami kreatywności, karier i wizjonerstwa, łatwości zanurzenia się i buszowania w cyberprzestrzeni, spędzenia życia w świecie, którego granice zacierają się ze światem realnym. A jednocześnie platformy asymetrii zależności użytkowników i klientów instytucjonalnych wobec zarządzających platformami, ekstrakcji wartości, kształtowania dostępu do informacji i wiedzy oraz mitologizacji – od mitu jednoróżców, po kult porażek. To także uniwersum utkane z rozlicznych fasad, na przykład z równie poruszających wyobrażeń, co magnetyzujących (niekiedy fałszywych) metafor, takich jak platforma i chmura oraz inwazji nowych trendów i terminów, na przykład: marketing 3.0 – 5.0, algokracja, społeczeństwo inwigilacji. To wreszcie ekosystem opisywany umiejętnościami „deformowania rzeczywistości” i wiary, że „niemożliwe jest możliwe” oraz zapowiedzi „końca nauki” w dotychczasowej postaci i świtu posthumanizmu, ale i algorytmicznego uzależniania i wywłaszczania użytkowników z korzyści płynących z zarządzania ich danymi i ich doświadczeniami. To bowiem system niewolny od krytyki feudalnych zależności; retorycznie wyniesiony / upodmiotowiony użytkownik wchodzący na platformę ewoluuje na niej z pozycji podmiotowej w pozycję przedmiotową i, jako taki, trafia na niziny społecznej cyfrowej piramidy. Rola feudała zarezerwowana jest tu dla korporacji platform i jej liderów, rola kapłanów kultu rozwoju (epistemicznej elity) dla programistów, natomiast użytkownikom pozostaje w tej hiperboli dostarczanie danych szkolących kolejne algorytmy oraz mitologizowanie ich znaczenia dla społecznego dobrostanu. Znakomicie ukryciu tych relacji służy sam termin „platforma” sugerujący neutralność i egalitarność, wsparcie dla tych, którzy na nią wejdą, możliwość zajęcia dogodnego miejsca obserwacji i dostępu do otwartej przestrzeni nieograniczonej możliwości i kontaktów z innymi użytkownikami.

W istocie demistyfikacja platform pozwala dostrzec w nich to, co – przy zachowaniu stosownych proporcji teoretycznych

uproszczeń – stanowi o ich rynkowych mechanizmach. W tej perspektywie na platformach „społeczeństwa algorytmicznego” tzw. społeczne algorytmy okazują się zaprojektowane przede wszystkim do reklamowania i sprzedaży produktów, pozyskiwania nowych zasobów (na przykład danych) i tworzą piramidę społeczno-ekonomicznych zależności.

Władza platform jest w tych okolicznościach zdolnością narzucania woli, zmuszania do pożądanego zachowania i kontrolowania poczynań człowieka, grup społecznych i podmiotów gospodarczych, nawet państw. Zasada się na umiejętności kreowania zbiorowych wyobrażeń, kształtowania doświadczeń i decydowania o kierunkach rozwoju. To także wspomniana władza obsadzania retorycznie upodmiotowionego człowieka w roli konsumenta i produsera oraz zazwyczaj biernego odbiorcy, w każdej z tych uzupełniających się ról – jako współtwórcy wartości platformy. W żadnej z nich człowiek nie występuje w roli podmiotowej, nie może bowiem „wejść na platformę” bez przejścia procedury uprzedmiotowienia (przekazania danych i zrzeczenia się roszczeń z tego tytułu). Staje się więc zasobem danych, konsumentem i klientem, rzadko obywatelem, coraz częściej superprocesorem – kluczowym czynnikiem przetwarzania cyfrowych artefaktów, unikatowym „przedłużeniem” komputera.

Bezprecedensowy system kontroli

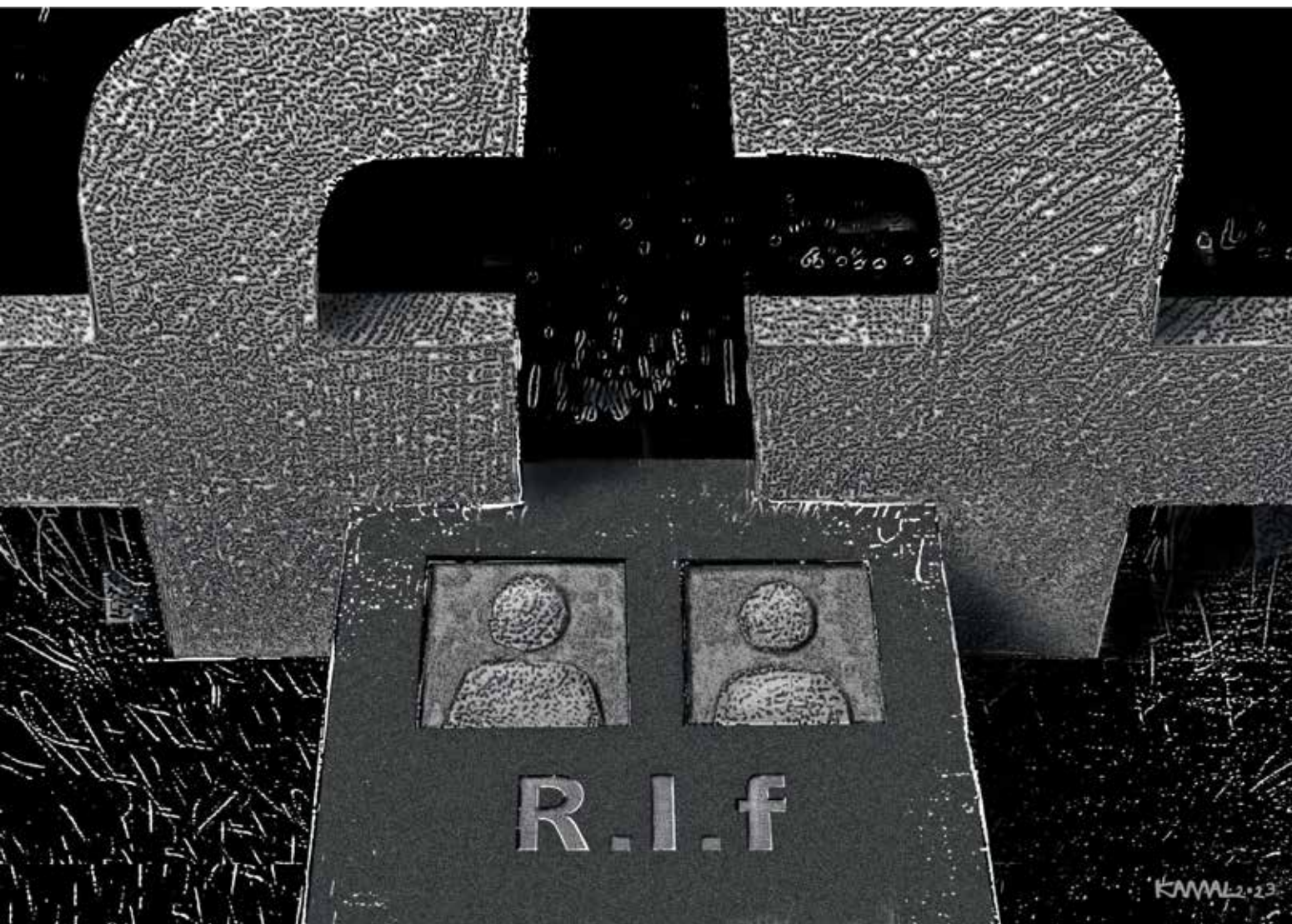
Przykładów takich zależności jest wiele, jak choćby utowarowienie geograficznej lokalizacji oraz cyfrowych śladów. Niema-

terialne zasoby danych są w tym wypadku odzwierciedleniem przestrzeni oraz czasu i mają nie tylko zdolność „opowiadania historii” o człowieku oraz wpływania na to, co pamiętamy i co wspominamy, ale pomagają marketerom w „dodawaniu wartości”. Lokalizacja uzupełnia bowiem informacje dotyczące profili kredytowych, odwiedzin w sieci, historii zakupów i wielu innych zasobów dostępnych dzięki eksploracji danych. Innymi słowy, jest kluczowym środkiem, za pomocą którego codzienne życie jest dodatkowo uwikłane w procesy rynkowej eksploatacji.

W kształtowaniu tych reguł zależności platformom udało się zyskać rangę szczególną, stały się centralnymi, niemal suwerennymi podmiotami ustalającymi zasady doświadczenia online i egzekwującymi jego standardy przez ustanawianie norm technicznych i ekonomicznych, a także kontrolowanie całego zbioru mechanizmów. Nie są jedynie pośrednikami, ponieważ dzięki swojej infrastrukturze i możliwości tworzenia reguł stały się nietransparentnymi liderami rynkowymi i publicznego dyskursu.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego Google (Alphabet) i Facebook (Meta Platforms) są tak potężne, skłania zatem do refleksji nad ich potencjałem narzucania interpretacji, kształtowania dyskursu z unikatową retoryką, unikatowymi kompetencjami gromadzenia i wykorzystania niematerialnych zasobów.

Sięgając dalej po terminologię zarządzania, na potęgę korporacji zarządzających platformami składa się więc: zarządzanie pakietem konkurujących ze sobą albo współpracujących plat-



Rys. Sławomir Makal

form, które zawiadują rdzeniem światowych cyfrowych systemów informacyjnych, korzystających i kształtujących bezprecedensowy gospodarczy, społeczny i geopolityczny system kontroli. Procesom tym towarzyszy i służy „platformizacja”, czyli – w najogólniejszej interpretacji – proces, za pomocą którego platformy przekształcają struktury społeczne, penetrują infrastrukturę, procesy gospodarcze i reorganizują kulturowe praktyki i wyobrażenia na swój temat, działając na rynkach, tworząc rynki i same będąc rynkami.

Aby poznać, jak bardzo jest to władza różnorodna i wyrażona, wypada stanąć wobec mnogości perspektyw, które składają się na przykład na całe spektrum propozycji systemowych: kapitalizmu regulacji, danych, nadzoru, inwigilacji, kapitalizmu algorytmicznego, kreatywnego, kognitywnego, informacyjnego, chińskiego „reglamentowanego kapitalizmu” czy kapitalizmu bezkofeinowego.

Przez lata platformy zawdzięczały swą niezwykłą witalność nie tylko unikatowym kompetencjom, innowacyjnym technologiom i unikatowym modelom biznesowym, umiejętności tworzenia własnych rynków, ale także towarzyszącej im i skrętnie przez nie podtrzymywanej fasadowej oświeceniowej narracji i starały się wykuć nowe idee sankcjonujące zaangażowanie i poświęcenie użytkowników.

Do kompetencji unikatowej platform należy redefiniowanie znaczeń (słowa traciły pierwotne znaczenia i zyskiwały nowe konotacje), a w efekcie strukturyzowanie dyskursu publicznego i kreowanie rzeczywistości. Redefiniowanie jest w tym przypadku elementem perswazyjnej strategii pomijania procesu logicznej i retorycznej argumentacji, ukrywania rynkowej logiki i eksponowania korzyści. Przykładami są takie terminy, jak: przyjaźń, prywatność, polubienie czy darmowość. Katalog ten uzupełni kluczowa umiejętność tworzenia iluzji „społeczności”. Iluzji, albowiem ludzie zgromadzeni na platformach są przypadkową, spontanicznie powstałą wspólnotą, w której

przynależność pozbawiona jest łączącego ją poczucia tożsamości, gronem indywidualistów bez wspólnych doświadczeń.

W całym tym wielkim cyfrowym uniwersum ludzkiej egzystencji aktualne pozostaje pytanie o intencje platform i ich liderów. Ideał bowiem nie sięgnął jeszcze bruku, nadal pobudza wyobraźnię, wydaje się krystaliczny i wciąż aktualna wydaje się metaopowieść o Nowym Oświeceniu, postępie i emancypacji nauki, znaczących jednak kosztami ujętymi dobrze znanym terminem „straty uboczne”. Rzecz bowiem w skutkach kultu postępu ujmowanego jako zjawisko autoteliczne (jest dobry dlatego, że jest, czyli jest celem samym w sobie).

Redefiniując znaczenia, platformy nie tylko ustanawiają i sankcjonują standardy postępu komodyfikacji, ale oferują jednocześnie dostęp do informacji utożsamianej zwykle z wiedzą w zgodzie z tyranią kwantyfikowalności, obsesją na punkcie pomiarów każdego aspektu życia, od nauki i edukacji po filantropię, przyjaźń i miłość. Oraz w zgodzie z wiarą, że jeśli świat nie jest lepszy za sprawą kolejnej aplikacji, to należy stworzyć jeszcze lepszy algorytm.

Jednocześnie platformy okazują się światem aporii, w tym paradoksów, i czerpią swoją siłę z odległej od „policzalnego świata” mitologii utkanej z narracji o nowych technologiach, kultury „wielkich idei”, narracji o wizjonerskich liderach i uniwersum przełomowych innowacji rodem z technoutopii.

Wszystkie te unikatowe umiejętności pozwalają im, mimo licznych przypadków etycznej dezorientacji, występować w roli niezbędnych, a przede wszystkim naturalnych przewodników ludzkości.

Artykuł jest prezentacją książki *Władza platform. Za fasadą Google, Facebooka i Spotify*,
Wydawnictwo Universitas

Prof. dr hab. Jan Kreft, mediaznawca,
Wydział Zarządzania i Ekonomii Politechniki Gdańskiej

Nowi profesorowie

15 grudnia 2022 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Aleksandra Maria Janowska** (UŚ), **Adam Piotr Makowski** (USz), **Beata Katarzyna Obsulewicz-Niewińska** (KUL), **Maria Ostasz** (UPed Kraków)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Michał Krzysztof Baczyński** (UŚ), **Wojciech Dariusz Bożejko** (PW), **Mariusz Jagieła** (PO), **Leszek Mariusz Kaczmarek** (PKosz), **Łukasz Piotr Kaczmarek** (PŁ), **Renata Kotynia** (PŁ), **Jerzy Łabanowski** (PG), **Adam Niewiadomski** (PŁ), **Magdalena Piasecka** (PŚk), **Jarosław Paweł Zuwała** (ICPW Zabrze)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Aleksandra Marta Banaszekiewicz** (WUM), **Beata Sylwia Bergler-Czop** (SUM), **Dorota Agata Bomba-Opoń** (WUM), **Justyna Agata Drukała** (UJ), **Piotr Michał Eder** (UMP), **Krzysztof Gutkowski** (KSW nr 1 Rzeszów), **Zbigniew Krzysztof Jastrzębski** (AWFiS Gdańsk), **Krzysztof Kaliszewski** (UMWr), **Małgorzata Agnieszka Kędzia** (UMP), **Barbara Królak-Olejnik** (UMWr), **Witold Ludwik Krupski** (UML), **Krzysztof Artur Kucia** (SUM), **Piotr Andrzej Leszczyński** (UMP), **Wiesław Piotr Marcol** (SUM), **Artur Bartosz Niedzielski** (CMKP Warszawa), **Jacek Marian Piątek** (Akademia Kaliska), **Anna Elżbieta Polewczyk** (UJK), **Agnieszka Urszula Słopiń** (UMP), **Tomasz Artur Stokłosa** (WUM), **Artur Stolarczyk** (WUM), **Piotr Lech Szopiński** (IHIT Warszawa), **Jolanta Ewa Zalejska-Fiolka** (SUM), **Marcin**

Paweł Zieliński (SSCP „Odrodzenie” Zakopane), **Wiesław Ziółkowski** (AWFiS Gdańsk)

NAUKI ROLNICZE: **Dorota Konopacka** (IO Skierniewice), **Andrzej Rychlik** (UWM)

NAUKI SPOŁECZNE: **Robert Paweł Alberski** (UWr), **Agnieszka Alińska** (SGH), **Barbara Urszula Gawda** (UMCS), **Jarosław Adam Gołębiowski** (SGGW), **Ewa Maria Haman** (UW), **Alina Matuszak-Flejszman** (UEP), **ks. Mirosław Sitarz** (KUL), **Maciej Łukasz Walkowski** (UAM)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Bogusław Bagiński** (UW), **Renata Małgorzata Gadzała-Kopciuch** (UMK), **Marek Dariusz Klonowski** (PW), **Edyta Mariola Kostrzewa-Susłow** (UPWr), **Adam Paweł Rycerz** (UJ), **Krzysztof Jakub Sońnica** (UPWr)

NAUKI TEologiczne: **ks. Andrzej Tomasz Anderwald** (UO)
SZTUKI: **Łukasz Długosz** (AMuz Gdańsk), **Mariusz Jarosław Drzewicki** (AMuz Łódź), **Marek Adam Głowacki** (UJK), **Aleksandra Kazimiera Grucza-Rogalska** (AMuz Gdańsk), **Arkadiusz Kaczyński** (UKW), **Paweł Jan Krauzowicz** (AMuz Kraków), **Małgorzata Nowak** (UMCS), **Anna Olszewska** (UMuz Warszawa), **Tadeusz Jerzy Pietrzykiewicz** (ASP Gdańsk), **Alina Ratkowska** (UMuz Warszawa), **Włodzimierz Andrzej Siedlik** (UPJPII), **Tomasz Sobaniec** (AMuz Kraków), **Katarzyna Joanna Strońska-Sierant** (AMuz Poznań)

Ponadto Prezydent RP przekazał nominację profesorską na ręce małżonki zmarłego profesora **Pawła Izdebskiego**.

Stanisław Krawczyk

Jak zmieniał się polski świat fantastyki

Fantastyka jest twórczością popularną, powinna więc chyba koncentrować się na rozrywce. Zatem jak to możliwe, że w polskim świecie prozy fantastycznej ponad „fantastykę rozrywkową” przedkładano kiedyś „prawdziwą literaturę”?

W sierpniu 1999 roku w Warszawie po raz kolejny przyznano Nagrodę im. Janusza A. Zajdla, najważniejsze wyróżnienie dla polskiej fantastyki. Uczestnicy konwentu Polcon zdecydowali, że w kategorii opowiadań laureatką zostanie 28-letnia Anna Brzezińska. Wybór ten wzbudził gorące spory, najzarliwsze w długiej historii nagrody.

W listopadzie tego samego roku Maciej Parowski, ówczesny redaktor naczelny poczytnego pisma „Nowa Fantastyka”, opublikował na jego łamach głośny artykuł *Gra ciałem*. Pisał w nim: „Statuetka dla opowiadania Anny Brzezińskiej «A kochał ją, że aż strach» obsadza Janusza A. Zajdla w niemiłej mu roli patrona trywialnej fantastyki rozrywkowej”. W artykule wstępnym tego samego numeru dodawał, że gdy zwolennicy fantastyki rozrywkowej „mówią o mocnych dialogach, wartkiej akcji, wyrazistych bohaterach, to bezwiednie odsyłają nas ku Sprawom, Racjom, Zagrożeniom, Uczuciom... o które warto się bić, ryzykować, gardłować, zdobywać zwolenników. Czyli jednak ku ryzykownej walce (z tematem, z własnymi intelektualnymi i artystycznymi ograniczeniami), jaką pozostaje zawsze prawdziwa literatura”.

W latach 80. i 90. takie opinie nie były odosobnione, co dla zewnętrznych obserwatorów może być niemalym zaskoczeniem. Przecież fantastyka jest twórczością popularną, powinna więc chyba koncentrować się na rozrywce. A skoro ukazuje światy manifestacyjnie wręcz inne niż nasz, to tym bardziej można przypuszczać, że nie będzie zabierała głosu w palących sprawach publicznych. Zatem jak to możliwe, że wiele wpływowych postaci w świecie prozy fantastycznej miało kiedyś zgoda inne zdanie? Że ponad „fantastykę rozrywkową” przedkładano „prawdziwą literaturę”? Że twórcy wielu alternatywnych uniwersów byli żywo zainteresowani problemami naszego świata?

Oto pytania, z którymi mierzę się w książce *Gust i prestiż. O przemianach polskiego świata fantastyki*, opublikowanej w 2022 roku w Warszawie przez Wydawnictwo Naukowe Scholar. Monografia dotyczy literatury fantastycznej; filmy, seriale, komiksy czy wiersze umieściłem poza nawiasem. W tym tekście streszczam kilka wybranych wątków książki.

Początki

Kiedy narodził się polski świat literatury fantastycznej – oddzielny społeczny mikrokosmos, rządzący się własnymi

zasadami? Może w 1973 roku, gdy poznańscy studenci na krótki czas założyli klub fanów science fiction. Może w 1975 roku, kiedy w Warszawie utworzono Klub Miłośników Fantastyki Naukowej, bardziej znany pod późniejszą nazwą SFan. A może w roku 1976, gdy ceniony warszawski miesięcznik „Literatura na Świecie” wydał numer w połowie poświęcony fantastyce, również w stolicy powstał Ogólnopolski Klub Miłośników Fantastyki i Science Fiction, w Poznaniu zaś odbył się konwent Eurocon, nazwany oficjalnie III Europejskim Kongresem Science Fiction.

Tak czy inaczej, świat fantastyki w Polsce nie wziął się znikąd. Już w XVIII wieku w naszym kraju pisano utopie, których akcja działa się na Księżycu lub w nieznanych miejscach Ziemi. Była to jedna z konwencji literackich, które wykorzystał Ignacy Krasicki w *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach*, do dziś uznawanych przez wielu za pierwszą polską powieść. Adam Mickiewicz napisał i zniszczył kilka wariantów *Historii przyszłości*, a Bolesław Prus w *Lalce* wprowadził motyw metalu lżejszego od powietrza. W pierwszych dekadach XX wieku wydano szereg powieści o potencjalnych przyszłych katastrofach; temat ten pojawił się między innymi w trylogii księżycowej Jerzego Żuławskiego. Po wojnie zaś niekwestionowanym liderem polskiej fantastyki został Stanisław Lem.

W Polsce Ludowej zachodziły też rozległe zmiany społeczne, które sprzyjały rozrostowi kultury masowej: uprzemysłowienie, urbanizacja, a także upowszechnienie szkolnictwa razem z umiejętnością czytania i pisania. Władze kładły też duży nacisk na rozwój nauk ścisłych i technicznych, mających służyć odbudowie zniszczonego wojną kraju i następnie jego modernizacji. Fantastyka naukowa, prezentująca hipotetyczne przyszłe światy, wpisywała się w te trendy; od lat 60. opowiadania science fiction ukazywały się w pismach takich jak „Młody Technik”. Znaczącą rolę odegrał nadto powojenny wyz demograficzny. W efekcie dla wielu osób kształcących się, kończących studia i następnie pracujących umysłowo – nastolatków, dwudziesto- i trzydziestolatków – powstający świat fantastyki był bardziej atrakcyjny od innych obszarów pola literackiego i dziennikarskiego. Pozwalał na realizację zainteresowań naukowo-technicznych, dawał dostęp do niektórych dóbr zachodniej kultury popularnej (cieszącej się w PRL pewnym

prestizem), a jako nowa przestrzeń społeczna mógł też obiecywać ścieżki szybkiego awansu.

Ponadto w drugiej połowie lat 70. załamanie gospodarcze poskutkowało społecznym niezadowoleniem, które znalazło wyraz w filmach Stanisława Barei, festiwalu w Jarocinie, subkulturze punkowej. Część młodych ludzi szukała wówczas w fantastyce czy to wytchnienia od rzeczywistości, czy też okazji do zakamuflowanej krytyki władz. W tym drugim kluczu chętnie czytano utwory z nurtu fantastyki socjologicznej, szczególnie wydawane już w latach 80. powieści fizyka jądrowego Janusza A. Zajdla, ukazujące realia codziennego życia i oporu w zakłamanych społeczeństwach pod rządami opresyjnych reżimów. Ale władze mogły również traktować tę twórczość jako przydatny dla systemu wentyl bezpieczeństwa. W 1982 roku, jeszcze przed zawieszeniem stanu wojennego, udzielono zgody na założenie miesięcznika „Fantastyka” (późniejszej „Nowej Fantastyki”), wydawanego przez lata w stu pięćdziesiątym tysiącnym nakładzie. Maciej Parowski przytaczał potem zasłyszane informacje o ministrze spraw zagranicznych Stefanie Olszowskim,

który miał stwierdzić: „Niech młodzi pod płaszczykiem fantastyki pobawią się w działalność antysocjalistyczną”.

Społeczny świat literatury fantastycznej rósł szybko. Pojawiały się coraz to nowe serie wydawnicze, amatorskie magazyny, konwenty (wydarzenia łączące cechy zlotu i konferencji), kluby fanowskie. Miłośnicy fantastyki urządzali spotkania autorskie i pokazy filmowe. Twórczością tą w większym niż dotąd stopniu zainteresowali się również literaturoznawcy i krytycy prasowi. Zarazem niecałą prozę fantastyczną późnego PRL cechowało ideowe zaangażowanie. W takich kategoriach trudno byłoby opisać choćby teksty Andrzeja Sapkowskiego, który pod koniec 1986 roku opublikował pierwsze opowiadanie o wiedźminie Geralcie, najsłynniejszym bohaterze polskiej fantastyki, a obecnie też centralnej postaci rozpoznawanych na całym świecie gier cyfrowych i popularnego serialu platformy Netflix.

Fenomen fanów jest pewnie tym, co pierwsze przychodzi nam na myśl, gdy zastanawiamy się nad społecznym kontekstem polskiej fantastyki. Rzadziej zauważamy, że pod koniec XX wieku była to w istotnym stopniu twórczość inteligencka. Jak pokazują notki biograficzne drukowane w „Fantastyce”,

Fot. erem



w latach 80. niemal wszyscy regularnie piszący polscy autorzy science fiction studiowali lub mieli wyższe wykształcenie. Pracowali też (przynajmniej okresowo, a nierzadko stale) jako specjaliści: reprezentanci zawodów twórczych, pracownicy naukowo-badawczy i naukowo-dydaktyczni, nauczyciele, inżynierowie, kierownicy techniczni. Zarówno kryterium edukacyjne, jak i zawodowe pozwala zaliczyć zdecydowaną większość ówczesnych autorów fantastycznych właśnie do grupy zwanej inteligencją. Po 1989 roku wielu pisało nadal i aż do przełomu wieków ich gust literacki kształtował znaczącą część polskiej fantastyki. W rezultacie dość typową jej cechą było łączenie fabularnych i narracyjnych konwencji prozy popularnej z zaangażowaniem w bieżące sprawy życia publicznego.

Pojęcia

Zatrzymajmy się przy samym słowie „fantastyka”. *Słownik języka polskiego PWN* określa fantastykę jako twórczość, która przedstawia „świat i wydarzenia nierealne”. To definicja przydatna jako pierwsze przybliżenie, lecz zbyt ogólna na potrzeby naukowe. Nie wszyscy przecież zgadzają się co do tego, jakie byty istnieją lub mogą istnieć, a jakie nie. Czy realna jest magia? A obcy? A Bóg? Czy zbudujemy kiedyś miecze świetlne? Moglibyśmy uznać, że fantastyczność tkwi w oku patrzącego: to od każdego z nas zależy, czy potraktujemy pewien fikcyjny motyw lub cały utwór jako przykład fantastyki. Ale takie ujęcie nie wyjaśnia, dlaczego w niektórych wypadkach panuje dość powszechna zgoda. Bo ile osób zaprzeczy temu, że podróże kosmiczne z prędkością nadświetlną to fantastyka? Ile osób powie, że Stanisław Lem nie pisał powieści fantastycznych? Tak znaczna zgodność byłaby mało prawdopodobna, gdyby każde z nas klasyfikowało teksty kultury na własną rękę.

Najlepiej stwierdzić, że o statusie fantastyki decydują wspólnie czytelnicy, pisarze, redaktorki, tłumaczki, wydawcy. Indywidualne rozumowanie odgrywa pewną rolę, zasadniczo jednak fantastyczność jest wytworem społecznym (tak jak i brzmienie symfonii jest dziełem orkiestry). Od czego więc zależy to, czy uznamy określony tekst za fantastyczny? Od niedawnych rozmów, obecnych okładek książek, dzisiejszych oznaczeń półek sklepowych i kategorii w cyfrowych katalogach, ale także od długotrwałych procesów historycznych. Zastanawiając się nad twórczością fantastyczną, myślimy słowami, obrazami i dźwiękami, które odziedziczyliśmy po wcześniejszych pokoleniach. Na ile wcześniejszych, to kwestia dyskusyjna; jedni szukają źródeł fantastyki już w *Iliadzie* i *Odysei*, jeżeli nie w *Eposie o Gilgameszu*, inni odnajdują owe źródła dopiero w ostatnich stuleciach. Tutaj przyjmuję, że fantastyka jako odrębna dziedzina twórczości powstała w Europie Zachodniej w XVIII wieku, kiedy zaczęto mniej poważać potwory, duchy, czary i prorocтва. Następnie romantycy w pewnej mierze przywrócili wartość tym motywom i posługującym się nimi tekstom, do dziś jednak nie zanikł podział na twórczość realistyczną i fantastyczną i jeśli któraś jeszcze niekiedy musi usprawiedliwiać swoje istnienie, to właśnie ta druga.

Zarówno fantastykę ogółem, jak też jej odmiany można określić mianem gatunków. Te najczęściej rozumiane są po prostu jako zbiory tekstów lub utrwalonych w tekstach konwencji (literackich, filmowych itp.). Takie definicje nie biorą pod uwagę czegoś ważnego: żaden utwór sam z siebie nie zmusza nas, byśmy widzieli w nim przykład jakiegokolwiek gatunku. Ten typ odbioru zawsze wiąże się z już istniejącymi albo właśnie tworzonymi nazwami gatunkowymi, które w istotnej mierze warunkują naszą lekturę. Co więcej, dwie osoby mogą spierać się o to, do jakiego gatunku należy jeden i ten sam tekst. Ot, czy *Prawdziwa historia* Lukiana z Samosaty z II wieku jest przykładem fantastyki naukowej? Niektórzy powiedzą, że tak:

przedstawia podróż na Księżyc, spotkanie z obcymi formami życia, wojny i kolonizację na kosmiczną skalę. Inni powiedzą, że nie, ponieważ pojęcie fantastyki naukowej powstało dopiero w wieku XX.

Rozbudujmy więc definicję i przyjmijmy, że gatunkiem jest zbiór utworów rozpoznawanych przez pewną grupę społeczną – lub szereg grup – jako należące do wspólnej klasy. Rozpoznanie to bywa różne w różnych grupach i okresach i uwarunkowane jest nie tylko treścią samego tekstu, lecz także wieloma czynnikami kontekstowymi. Przynależność gatunkowa jest zatem zawsze względna, a jeden utwór z punktu widzenia dwu odrębnych grup (tudzież reprezentujących je osób) może należeć do dwu osobnych gatunków. W 1818 roku Walter Scott w recenzji *Frankensteina* określił książkę Mary Wollstonecraft Shelley mianem marvellous romance, porównując ją z tekstami Szekspira, Swifta i de Bergeraca; w roku 1973 Brian Aldiss uznał dzieło za powieść science fiction, umiejscawiając je w zupełnie innym układzie literackich odniesień i prezentując całkiem odmienne odczytanie.

W ostatniej ćwierci XX wieku pojęcie fantastyki nie było w Polsce nowe, chociaż nie było także całkiem ustabilizowane. Szczególnie na początku tego okresu stosowano je nieraz wymiennie z pojęciem fantastyki naukowej (dziś już najczęściej traktowanym jako nazwa tylko jednego z typów fantastyki). Właśnie gatunek science fiction – reprezentowany przez Lema czy Zajdla – przez długi czas uznawano za rdzeń polskiej prozy fantastycznej; dopiero od drugiej połowy lat 80. Andrzej Sapkowski, a po nim Feliks W. Kres i Ewa Białołęcka publikowali prawdziwie popularne i zarazem nagradzane teksty fantasy. Nic dziwnego, że fantastykę naukową wybierało wielu pisarzy kierujących się gustem inteligentkim.

Transformacja

Po zniesieniu cenzury zaangażowana twórczość science fiction nie musiała już mówić aluzjami. Autorzy zaczęli pisać bardziej otwarcie, niejednokrotnie umiejscawiając akcję tekstów w samej Polsce i w nieodległej przyszłości. Tuż po 1989 roku ukazała się grupa opowiadań o rysie antyklerykalnym, od *Złotej Galery* Jacka Dukaja i *Jawnogrzecznicy* Rafała A. Ziemkiewicza po *W leju po bombie* Sapkowskiego. W toku lat 90. kilkakrotnie powracał wątek aborcji, między innymi w opowiadaniach Marka S. Huberatha (*Kara większa*) i Wojciecha Szdy (*Psychonautka*) oraz mikropowieści Tomasza Kołodziejczaka *Wstań i idź*. Zbiór opowiadań Ziemkiewicza *Czerwone dywany, odmierzony krok* oraz dwie powieści tegoż autora, *Pieprzony los kataryniarza* i *Walc stulecia*, przedstawiały różnorakie zagrożenia dla politycznej niezależności oraz kondycji duchowej Polski i Europy. Opowiadania Konrada T. Lewandowskiego *Pacykarz* i *Synara* pokazywały manipulacje masowych mediów. Wszystko to przykłady zbieżne z tradycją inteligencją, zakładającą nie tyle zaspokajanie zastanych potrzeb czytelniczych, co raczej formowanie publiczności – zwłaszcza młodej – za pośrednictwem literatury i ogólnie kultury.

Obok samej literatury świadectwem zaangażowania są też teksty krytyczne i publicystyczne. W latach 90. w czasopiśmie „Nowa Fantastyka” chętnie podkreślano poznawcze i społeczne funkcje prozy fantastycznej, takie jak przestrzeganie przed nadchodzącymi niebezpieczeństwami, zgłębianie natury ludzkiej bądź kontestowanie ustrojów totalitarnych. Negatywnie odnoszono się do PRL, niekiedy sugerując, że fantastyka miała swój udział w obaleniu dawnego ustroju. Formułowano również wypowiedzi o tematyce religijnej i bioetycznej, mające zwykle wymowę konserwatywną. W połączeniu z niechętnymi komentarzami dotyczącymi poprawności politycznej, relatywizmu, komunizmu, Unii Europejskiej i feminizmu, a także

z ideami wyrażanymi wielokrotnie w samej literaturze, pokazuje to, iż w owej dekadzie autorom i redaktorom fantastyki zdecydowanie bliższy był światopogląd prawicowy niż liberalny bądź lewicowy.

Pisarze i komentatorzy fantastyczni byli więc żywo zainteresowani problemami sfery publicznej. Ale na łamach „Nowej Fantastyki” widoczny jest również inny przejaw gustu inteligentkiego. Otóż prozę fantastyczną przeciwstawiano z jednej strony masowej rozrywce, z drugiej strony zaś twórczości uprawomocnionej przez instytucje państwowe czy akademicką krytykę literacką (twórczość tę nazywano zazwyczaj „literaturą głównego nurtu”, a samą fantastykę dość często „gettem”). Zatem sztuka, która cieszyła się uznaniem w polskich kręgach opiniotwórczych, stanowiła dla autorów ważny układ odniesienia, nawet jeżeli było to odniesienie negatywne. Gust inteligentki przekładał się na chęć obcowania z kulturą cenioną, prestiżową, toteż usiłowano łagodzić napięcie między elitarnością a masowością: zaznaczano, że proza fantastyczna jest przynajmniej tak samo wartościowa, jak twórczość legitymizowana przez kanon lektur, ogólnopolskie tygodniki kulturalne i literaturoznawcze autorytety.

W nowej kapitalistycznej rzeczywistości powstały kolejne czasopisma poświęcone fantastyce. Jednym z nich był magazyn „Fenix”, którego publicystyka w większym stopniu niż teksty z „Nowej Fantastyki” hołdowała gustowi popularnemu, w mniejszym natomiast inteligentkiemu. Z rywalizacją obu pism wiązało się współzawodnictwo dwóch koncepcji estetycznych: „fantastyki rozrywkowej” i „fantastyki problemowej”. Konkurencja „Fenixa” i „Nowej Fantastyki” odpowiadała mechanizmom opisanym w teorii pola literackiego Pierre’a Bourdieu, analizującej w szczególności konflikt heterodoksji i ortodoksji, czyli w tym wypadku młodszych i starszych uczestników literackiej gry, przybyszów i weteranów.

Jeżeli chodzi o rynek książki, to na fali transformacji politycznej i gospodarczej wydawcy fantastyki zaczęli publikować bardzo dużą liczbę tytułów zagranicznych (tłumaczonych teraz z języka angielskiego, a nie rosyjskiego). Podobnie jak ówczesne zainteresowanie polskich pisarzy gatunkiem fantasy, tak i ten proces interpretować możemy jako oznakę rosnącej roli gustu popularnego bądź rynkowego. Z biegiem czasu w coraz mniejszym stopniu poszukiwano prestiżu związanego z zaangażowaniem w ważne sprawy publiczne. Zysk pieniężny i przyjemność

czytelnicza – kryteria obecne w świecie fantastyki już wcześniej, ale przez wielu stawiane na drugim miejscu – coraz częściej były kwestią pierwszoplanową. Po 2000 roku w „Nowej Fantastyce” wyraźnie rzadziej wypowiadano się o głośnych problemach sfery publicznej, porzucono również większość odniesień do „literatury głównego nurtu”. Powyższe przemiany wynikały

w dużej mierze z narastającego znaczenia kultury popularnej oraz ekonomicznych kryteriów wartości w społeczeństwie kapitalistycznym, a także ze słabnącej pozycji samej inteligencji. Procesy te rozpoczęły się poza światem fantastyki, lecz wywierały na niego wpływ, przekładając się między innymi na stopniowy wzrost liczby pisarzy i redaktorów kierujących się raczej gustem popularnym niż inteligentkim.

Przyszłość

Przez cały okres PRL i III RP fantastyka była literaturą popularną, ale w latach 70., 80. i 90. (być może i wcześniej) miała także wyraźny rys inteligentki. Rys ten wynikał z inteligentkiego gustu dużej części dawnych redaktorów, pisarzy, krytyków, a najprawdopodobniej również czytelników. Pragnęli oni wykorzystywać prozę fantastyczną do kształ-

towania społeczeństwa oraz mierzenia się z obecnymi i przyszłymi wyzwaniem. Dopiero w ostatnim dwudziestolecu nastawienie to jednoznacznie ustąpiło miejsca koncepcji literatury jako produktu rynkowego, zakorzenionej w guście popularnym – w pełni zgodnym z realiami kapitalistycznego rynku. Efekty widoczne są zarówno w fantastyce, jak też w dotyczącej jej publicystyce: obie odeszły od przejrzystego ideowego zaangażowania.

Zmiana ta nie jest ani wszechogarniająca, ani ostateczna. W Polsce do dziś powstają teksty fantastyczne będące wypowiedziami w kwestiach istotnych dla życia publicznego. W roli przykładów wskazałbym z jednej strony serię historii alternatywnych „Zwrotnice Czasu” (publikowaną w latach 2009–2015 przez Narodowe Centrum Kultury), a z drugiej strony internetowy zbiór Grupy Wydawniczej Alpaka *Tęczowe i fantastyczne. Antologia queerowej fantastyki* oraz numer „Nowej Fantastyki” poświęcony osobom LGBT+ (oba z roku 2020). Być może na tym tle – i pod wpływem dalszych przemian światowego porządku społeczno-gospodarczego – wyłonią się w Polsce kolejne wpływowe nurty fantastyki zaangażowanej. Niemniej nawet jeśli tak się stanie, z pewnością będą to utwory inne niż niegdyś. I wcale nie muszą to być teksty literackie.

Dr Stanisław Krawczyk, adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego



Marcelina Smużewska

Wybitny inżynier

Analizując niewybuch rakiety V-2, stwierdził, że Niemcy podczas całego lotu pocisku mają pełne informacje o jego prędkości i wysokości. Każda rakietka była kierowana i kontrolowana oscyloskopem. Profesor zastanawiał się, czy była możliwość zakłócenia lotu rakiety np. za pomocą sygnału radiowego.

Janusz Groszkowski (1898-1984), elektronik i radiotechnik, był w moim odczuciu geniuszem w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Po pierwsze, charakteryzował się wysokim poziomem zdolności poznawczych – sprawnie i adekwatnie analizował otaczającą go rzeczywistość i napotkane problemy. Bez problemu pokonywał kolejne szczeble edukacyjne. Po drugie, miał też zdolność do poruszania się po nieznanymi obszarach wiedzy i tworzenia oryginalnych koncepcji naukowych. To ponoć cecha dystyngtywna geniuszy. Większość z nas, napotykając problem, odnosi się do rezerwuaru zdobytej wiedzy, geniusze szukają innowacyjnych rozwiązań. Po trzecie, geniusze tworzą nowe formy życia organizacyjnego, co bez wątpienia czynił także bohater tego tekstu. Sam Groszkowski pewnie by się mianem geniusza nie określił, co także charakteryzuje osoby szczególnie uzdolnione.

Fabryczne dzieciństwo

Janusz Groszkowski urodził się 21 marca 1898 roku w Warszawie. Korzenie jego rodu sięgają XVI wieku. Pierwsze wzmianki o nazwisku Groszkowski pochodzą z ziemi łęczyckiej. Przodkowie profesora przenieśli się do Warszawy na sto lat przed jego narodzinami. Ojciec Teodor interesował się wynalazkami i postępem technicznym. Korespondował m.in. z Thomasem Edisonem. Sam profesor wspominał w jednym z wywiadów: „Na rozwój mych zamiłowań technicznych wpłynęło sąsiedztwo fabryki, na której terenie mieszkaliśmy. Całymi dniami wałęsałem się po salach fabrycznych, wśród maszyn, wszystko mnie interesowało. Jako siedmioletni brzdąc próbowałem konstruować urządzenia mechaniczne i elektryczne dzwonki, małe silniki. Byłem w tym szczęśliwym położeniu, że mogłem korzystać z prądu elektrycznego o napięciu kilkunastu woltów, który przeprowadziłem wprost z fabryki. Tym poczynaniom patronował mój ojciec. Pozwalał mi również wcześniej korzystać ze swojej biblioteki. Znajdowałem tam książkę Ochorowicza – psychologa, filozofa i fizyka, a zwłaszcza pracę Wiktora Biernackiego pt. *Nowe dziedziny widma*, zawierającą rewelacyjne wtedy wiadomości o promieniach Roentgena, o doświadczeniach Hertza z falami elektromagnetycznymi, pierwszych próbach Marconiego z telegrafem bez drutu” (wywiad dla Polskiego Radia).

Fascynacja naukami ścisłymi towarzyszyła Januszowi Groszkowskiemu od najmłodszych lat. Było to nie tyle zainteresowanie teorią, co praktyką, a więc kwestie związane z konstruowaniem i techniką. Od najmłodszych lat wiedział, że zosta-

nie inżynierem. Chciał prowadzić doświadczenia związane ze zjawiskiem elektryczności. W tych planach utwierdził go gimnazjalny profesor fizyki Franciszek Zienkowski (1880-1957). Po latach Groszkowski nazwie go „najwspanialszym człowiekiem”.

Jednak edukacja młodego Janusza nie przebiegała całkowicie beztrudnie. Zanim skończył gimnazjum (Szkołę Handlową Zgromadzenia Kupców miasta Warszawy) wybuchła I wojna światowa. Groszkowski wahał się co do wyboru kierunku studiów. Ostatecznie zdecydował się na Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej. W 1915 roku uczelnia ta przyjmowała studentów po raz pierwszy. Po latach Groszkowski okaże się też jednym z pierwszych jej absolwentów i nowych pracowników.

Studia w mundurze

Przyszły profesor był dobrym i zaangażowanym studentem. Egzaminował na bardzo dobre stopnie. Włączył się też w działalność studenckiego ruchu naukowego. W grupach samokształceniowych zgłębiał zagadnienia dotyczące radiotelegrafii i radiotelefonii. Zainteresowania te wynikały z potrzeby czasów. Jako student drugiego roku opublikował swój pierwszy tekst pt. *Radiograficzne badanie metali*. Również jako student został asystentem w Katedrze Miernictwa Elektrycznego (1917). Dziś byłoby to mało prawdopodobne, ale należy zwrócić uwagę na fakt, że politechnika wtedy dopiero inaugurowała swoją działalność. Co więcej, trwała wojna. W 1918 roku ukazały się w czasopiśmie Koła Mechaników „Ars Technica” kolejne prace Groszkowskiego: *Projekt kierowania na odległość za pomocą fal elektromagnetycznych* i cykl *Zasady telegrafii iskrowej*, które miały charakter wykładu.

W wojsku Groszkowski zajmował się (a także) zagadnieniem łączności. Prowadził wykłady i zajęcia techniczne na kursach wojskowych. W 1919 roku został zastępcą Batalionu Radiotelegraficznego w Warszawie. Jednostka ta szkoliła specjalistów do jednostek radiotelegraficznych na froncie. W tym czasie opracował razem z Janem Machciewiczem (1892-1923) skrypt pt. *O czym radjotelegrafista wojskowy wiedzieć powinien (Krótki zarys zasad radjotelegrafii)*. Mimo jej praktycznego charakteru, trzeba docenić, że była to pierwsza książka w języku polskim z zakresu radiotechniki. Była więc pionierska. W tym samym roku Groszkowski został wysłany do Oficerskiej Szkoły Łączności w Paryżu, którą ukończył z sukcesem w 1922 roku. Tam miał możliwość zapoznania się z najnowszymi zdobyczami techniki w tym zakresie. Jeszcze jako student zgłosił swój akces do two-

rzącego się Stowarzyszenia Elektryków Polskich (1919).

Janusz Groszkowski ukończył studia politechniczne w 1922 roku w pierwszej grupie absolwentów. Uzyskał stopień inżyniera elektryka i rozpoczął wykłady z dziedziny lamp katodowych przy Laboratorium Prądów Szybkozmiennych. Był najmłodszym wykładowcą na Politechnice Warszawskiej. W tym samym roku ożenił się z Marią Komicz, z którą miał jedyną córkę Krystynę (1924-2016). Należała do Związku Walki Zbrojnej, walczyła w powstaniu warszawskim, a później została lekarzem-ginekologiem.

Błyskawiczna kariera

W 1924 roku, w wieku zaledwie 26 lat, Groszkowski został kierownikiem Laboratorium Radiotechnicznego. Jako oficer Wojsk Łączności kontynuował wykłady z zakresu radiotechniki w szkołach wojskowych. W 1928 roku uzyskał stopień doktora nauk technicznych. Obronił z wyróżnieniem pracę pt. *Metoda kompensacyjna kontroli stałości fali*. W tym samym roku uzyskał veniam legendi i objął kierownictwo Katedry Radiotechniki na Wydziale Elektrycznym PW. Zostać kierownikiem katedry w wieku 28 lat to nawet jak na nauki ścisłe dosyć niezwykle osiągnięcie. W 1929 roku został profesorem nadzwyczajnym, a 6 lat później otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Od 1933 roku kierował Studium Wojskowym PW. Ta wojskowa „odnoga” kariery Groszkowskiego bez wątpienia przyspieszała awanse, choć talentu i pracowitości profesorowi nie można było odmówić. W 1935 roku został dziekanem Wydziału Elektrycznego.

Obok pracy na uczelni profesor Groszkowski prowadził też intensywną działalność doradcą i organizatorską. W 1928 roku doprowadził do utworzenia Instytutu Radiotechnicznego, czegoś w rodzaju eksperymentalnego instytutu łączności, który miał poszukiwać innowacji. Od 1934 roku jednostka zmieniła nazwę na Państwowy Instytut Telekomunikacyjny. Jej siedziba była zlokalizowana przy ul. Ratuszowej w Warszawie. W laboratoriach instytutu prowadzono przeróżne pomiary – teletechniczne i radiotechniczne, a od 1935 roku zaczęto prowadzić prace nad telewizją użytkową. Od 1934 roku Groszkowski był także członkiem Tymczasowego Komitetu Doradzo-Naukowego przy Ministerstwie ds. Wojskowych. Jak opisał tę instytucję historyk Paweł Brudek, „był to rodzaj naukowego think tanku, który zajmował się m.in. kauczukiem syntetycznym, tzw. promieniami śmierci (laser), noktowizją czy nawet »sztucznym wytwarzaniem wstrząsów psychicznych«. (...) badano także kwestię napędu raketowego w pojazdach poruszających się na ziemi, w wodzie i w powietrzu oraz problem przenoszenia ładunków wybuchowych na dalekie odległości. Pracowano również nad systemami telekomunikacyjnymi służącymi do kierowania obiektami szybkimi w rodzaju torped i samolotów”. Jak widać więc, był to bardzo interesujący twór organizacyjny, który zrzeszał samych wizjonerów. Jakby tego było mało, Groszkowski angażował się też w prace Komisji Technicznej Polskiego Radia. Dzięki zaangażowaniu profesora stabilność fal polskich radiostacji należała do najlepszych na świecie.

Podczas II wojny światowej

W 1939 roku profesor Groszkowski otrzymał wojskowy rozkaz ewakuacji Polskiego Instytutu Telekomunikacyjnego



Janusz Groszkowski

Zdjęcie: encyklopedia.pwn.pl

na wschód. Do 1941 roku przebywał we Lwowie, gdzie zorganizował Katedrę Radiotechniki w Instytucie Politechnicznym. Dzięki tej inicjatywie wielu specjalistów z terenów okupowanych znalazło bezpieczne zajęcie. Po powrocie do Warszawy wykładał w Państwowej Wyższej Szkole Technicznej, która powstała za zgodą władz niemieckich. W konspiracji prowadził tajne wykłady według programów przedwojennych. Brał też czynny udział w ruchu oporu jako żołnierz Armii Krajowej, z czym wiążą się interesujące historie.

Groszkowski sporządzał dla AK ekspertyzy na temat łączności, radiolokacji i radarów. Badał niemieckie urządzenia zdobyte przez wywiad. Produkował urządzenia radiowe dla podziemia. Po zamachu na Franza Kutschere w lutym 1944 roku gestapo przystąpiło do akcji odwetowych. Jedną z nich miało miejsce na Politechnice Warszawskiej. W tym czasie w swoim laboratorium Groszkowski przechowywał 60 grawerowanych płyt do nadajników radiowych AK. Udało mu się je tak skutecznie ukryć w ścianie starej szafy, że nie dostały się w ręce okupantów (wspomnienia z 1988 r.). Innym razem prof. Groszkowski dostał zlecenie przeanalizowania systemu sterującego tajnej niemieckiej broni V-2 (nazwa pochodzi od kryptonimu Vergeltungswaffe, czyli broń odwetowa). Początkowo rakiety te produkowano w Peenemünde, niedaleko Świnoujścia, ale po zbombardowaniu ośrodka testy przeniesiono na tajny poligon na Podkarpaciu. Tam w maju 1944 r. udało się oddziałowi AK zdobyć niewybuch rakiety. Groszkowskiemu przypadło w udziale zbadanie urządzeń radiowych nadawczo-odbiorczych oraz układu sterowania rakiety.

Analizując rakiety Groszkowski stwierdził, że Niemcy podczas całego lotu pocisku mają pełne informacje o jego prędko-

ści i wysokości. Każda rakietą była kierowana i kontrolowana oscyloskopem. Profesor zastanawiał się, czy była możliwość zakłócenia lotu rakiety np. za pomocą sygnału radiowego. Całe dnie Groszkowski pracował w swoim mieszkaniu na Mokotowie, którego pilnowali żołnierze AK. Po dziesięciu dniach profesor ukończył szczęśliwie eksperytyzę. Dopiero po wojnie przeczytał o historii tej akcji. Wszystkie zebrane dokumenty dotyczące rakiety zostały przekazane do Londynu. Opisał je w swojej pracy *Most Secret War* Reginald V. Jones (Londyn 1979). Swoją rolę w operacji Groszkowski oceniał skromnie: „Nie wiem, czy jej wyniki miały jakieś większe praktyczne znaczenie przy zwalczaniu rakiet V-2; wydaję mi się, że nie. Natomiast miała ona, moim zdaniem, wielkie znaczenie moralne, psychologiczne; broń raketowa, dzięki niej, przestała być tajemnicza, a przez to stała się mniej groźna. Ludzie dowiedzieli się, że alianckie sztaby ją znają, wiedzą, jak działa, a zatem wcześniej czy później znajdą na nią sposób” (wspomnienia z 1988 r.).

Lata powojenne „człowieka-institucji”

W 1945 r. prof. Groszkowski powrócił do wykładów z radioelektroniki i lamp elektronowych. Zajął się także zagadnieniem próżni. Pracował na Wydziale Łączności (później Elektroniki) Politechniki Warszawskiej aż do przejścia na emeryturę w 1968 roku. Przez ponad 20 lat był promotorem 33 doktoratów. Został inicjatorem i założycielem Zakładu Elektroniki przy Polskiej Akademii Nauk. Był członkiem rad programowych wielu czasopism, m.in. pełnił funkcję redaktora naczelnego w „Archiwum Elektrotechniki” (1952-1971) oraz w periodyku „Nauka Polska” (1963-1971).

Bezpośrednio po wojnie prof. Groszkowski zaangażował się też w odbudowę Państwowego Instytutu Telekomunikacyjnego. Przed wojną pracowało tam ponad 200 osób. Trzeba było znaleźć nowych specjalistów, przeszkolić ich, dokonać remontu i zakupu nowych urządzeń. Wznowiono wydawanie „Przeglądu Bibliograficznego Telekomunikacji”, „Kwartalnika Telekomunikacyjnego” i „Przeglądu Telekomunikacyjnego”. Przed wojną instytut zajmował się m.in. telewizją i badaniem fal radiowych. Po wojnie coraz wyraźniejszy stawał się podział pracy na dwa nurty: związany z lotnictwem i wojskowością oraz cywilny – związany ze środkami masowego przekazu i łącznością telefoniczną jako taką. Doprowadziło to w roku 1951 roku do podziału PIT na Instytut Łączności zajmujący się zagadnieniami cywilnymi i Przemysłowy Instytut Telekomunikacji pracujący głównie dla wojska. Było to zgodne z ówczesną polityką naukową, która była skupiona na etatyzacji i ideologizacji nauki. Trzeba było zdymisjonować prof. Groszkowskiego, ponieważ miał za dużo władzy i wiedzy w zbyt wielu dziedzinach o strategicznym znaczeniu dla Polski Ludowej. Co więcej, profesor miał w przeszłości epizod współpracy z AK i kontakty międzynarodowe. Nie budził zaufania nowych władz, jednak był zbyt „cenny”, by odsunąć go całkowicie od badań, jak to się działo z niektórymi przedwojennymi uczonymi. Po dymisji w PIT profesor ograniczył się do aktywności akademickiej na Politechnice Warszawskiej, o czym już wspominałam.

W latach 70. prof. Groszkowski zajął się polityką. Został posłem na Sejm VI kadencji i zastępcą przewodniczącego Rady Państwa. Flirt z polityką trwał cztery lata i skończył się srogim rozczarowaniem dla profesora. Składał liczne interpelacje poselskie w sprawie pokrzywdzonych obywateli i wadliwego funkcjonowania sądownictwa. Wszystkie bezskuteczne. Rozczarowany przygotował *Memoriał do Rady Państwa o postępowaniu organów wymiaru sprawiedliwości*, a następnie złożył mandat posła i zrzekł się funkcji zastępcy przewodniczącego Rady Państwa. Publicznie na temat polityki jednak nadal się wypowia-

dał. Przykładem tego było wystąpienie na Zgromadzeniu Ogólnym PAN w 1980 roku dotyczące potrzeby odnowy moralnej środowiska naukowego. Wspierał także aktywnie środowiska ówczesnej „Solidarności”.

Za co nauka zapamięta Janusza Groszkowskiego?

Profesor był autorem 16 patentów i 361 publikacji naukowych. Wiele z nich było wydanych za granicą, co oznacza, że jego badania uzyskiwały międzynarodowy rozgłos. Pierwszy na świecie (w 1925 r.) przygotował monografię dotyczącą lamp katodowych (*Lampy katodowe oraz ich zastosowanie w radioelektronice*). W latach 1932-1933 zajmował się nieliniową teorią generacji i stabilizacji drgań. Szeroko komentowana była praca pt. *The Interdependence of the Frequency Variation and Harmonic Content and Constant Frequency Oscillator* opublikowana w „Proceedings of Institute of Radio Engineering” w 1933 roku. Tam pojawiło się równanie, które ilustruje zależność zmiany częstotliwości drgań generatora od zawartości harmonicznych. Później zostanie ono nazwane „równaniem Groszkowskiego”. Podsumowaniem 30 lat pracy nad teorią generacji była monografia pt. *Frequency of Self-Oscillations* z 1964 roku. Wraz ze Stanisławem Ryżko (1910-1974) profesor skonstruował magnetron metalowy z obwodami wewnętrznymi i katodą tlenkową (powstał w latach 1937-1939). Te prace przyczyniły się do powstania magnetronu wielorezonatorowego, który skonstruowali Brytyjczycy w 1940 roku. Dla niewtajemniczonych wspomnę, że magnetrony są przetwornikami energii i generują promieniowanie mikrofalowe. Potencjalne zastosowania są więc liczne.

Janusz Groszkowski zajmował się także techniką próżni. Pierwsze publikacje na ten temat pochodzą jeszcze z lat 20. XX wieku. W 1948 roku ukazała się praca pt. *Technika wysokiej próżni*. Często cytowany był także tekst pt. *Jauge manométrique a collecteur extérieur pour pression très basses* z 1966 roku. Opracowanie to otworzyło nowy rozdział w dziedzinie badania próżni. Eksperymenty zapoczątkowane przez Groszkowskiego kontynuowano m.in. w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Japonii. W latach 50. i 70. pojawiły się cztery kolejne monografie o technice próżni, skierowane tym razem do sowieckiego odbiorcy (wydania w języku rosyjskim i czeskim).

Siły organizacyjne Janusza Groszkowskiego wydawały się nieograniczone. Był on członkiem wielu polskich i zagranicznych towarzystw naukowych, w tym: Akademii Nauk Technicznych (od 1936 r.), Towarzystwa Naukowego Warszawskiego (od 1949 r.), członkiem i prezesem (1963-1972) Polskiej Akademii Nauk, członkiem (od 1919 r.) i prezesem (1936-1937) Stowarzyszenia Elektryków Polskich, współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Elektroniki Teoretycznej i Stosowanej (od 1962 r. członek honorowy), członkiem amerykańskiego Institute of Electrical and Electronic Engineers (od 1932 r.), członkiem honorowym Société des Électriciens et Électroniciens (od 1967 r.), wiceprezesem Union Radio-Scientifique Internationale (1966-1972). Był też członkiem sześciu zagranicznych akademii nauk. Został pierwszym prezesem Polskiego Związku Krótkofalowców, a jego legitymacja miała numer 1.

Otrzymywał od władz państwowych liczne prestiżowe nagrody oraz odznaczenia, w tym Złoty Krzyż Orderu Virtuti Militari w 1974 roku. Był doktorem honoris causa trzech uczelni: Politechniki Warszawskiej, Politechniki Łódzkiej oraz Politechniki Gdańskiej. Po śmierci (3 sierpnia 1984 r.) został patronem ośmiu szkół średnich. Jego imię nosi też Wojskowy Instytut Łączności oraz Gmach Wydziału Elektroniki i Techniki Informatycznych Politechniki Warszawskiej. W środowisku naukowym był szanowany nie tylko jako wybitny naukowiec, ale też wzorzec moralny.

Opóźniony doktorat i truskawki ze śmietaną

Liczono się z większą ilością prac pisanych „do szuflady”. Okazało się, że z udziałem promotorów i redaktorów czasopism naukowych powstał system „przedcenzuralnego zniechęcania” potencjalnych autorów. Mało kto ryzykował podjęcie „trefnych” zagadnień.

Podjęcie prac nad doktoratem wypełniało zadanie życiowe związane z pracą badawczą. Nie mogło jednak zapewnić środków na utrzymanie, choćby na pokrycie doraźnych kosztów. Nie byłem abnegatem, chciałem wyglądać „przyzwoicie”, zwłaszcza w szkole, gdzie wszyscy patrzą na nauczyciela. Prowadziłem zajęcia dzienne oraz wieczorowe, co wypełniało wszystkie miesiące dydaktyczne i pozostawiało niewiele czasu na archiwum. Po roku uzyskałem dyplom Studium Pedagogicznego – z wyróżnieniem. Napisałem pracę dyplomową na temat zasad nauczania, dodając nową zasadę do tradycyjnego katalogu. Więcej zyskałem poprzez praktykę dydaktyczną i wychowawczą. Jeśli miałem być „prywatnym uczniem”, to musiałem odejść ze szkoły i znaleźć doraźne zatrudnienie w instytucji naukowej. Wobec uniwersyteckiego „wilczego biletu” pozostawała tylko możliwość pracy w Polskiej Akademii Nauk. Władze łaskawie dopuszczały opozycjonistów do pracy w PAN, dysponując kontrolą zadań badawczych w cyklu rocznym. Złożenie jednego artykułu pod koniec roku nie było trudnym zadaniem. Korzystny był brak dyscypliny pracy, ponieważ w Pałacu Staszica ilość zatrudnionych znacznie przekraczała normy powierzchni przypadające na pracownika.

Największe możliwości zatrudnienia po moich studiach dawał Instytut Nauk Prawnych PAN. Pierwszą z propozycji, jaką życzliwie do mnie skierowano, była specjalizacja w aspektach prawnych systemu kontraktacji trzody chlewnej. Bardziej sensowne było zatrudnienie w Pracowni Badań Rad Narodowych. Badaniami kierował ówczesny minister sprawiedliwości, prof. UW Sylwester Zawadzki. Karierę zawdzięczał działalności w studenckim ruchu młodzieżowym. Zatrudnił się początkowo w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR. Gdy przechodził proces „uzwyczajnienia” (nadanie tytułu profesora), przyszedł w przeddzień do prof. Leśnodorskiego na tradycyjną rozmowę z promotorem wniosku w Senacie UW. Zdumienie prof. Leśnodorskiego nie miało granic: promowany przydzwił się walizkę wypełnioną nadbitkami, broszurami oraz wycinaniami prasowymi. Zawadzki starał się wyglądać i wypowiadać jak profesor. Zanim podjął rozmowę domową, „kazał na siebie czekać”. Rozmawiając – i wykładając – zdejmował z namasz-

czeniu okulary, by po chwili założyć je z poważną miną. Do kierowania Pracownią zatrudnił żonę, zabieganą kobiecinę, też „partyjną”.

W Instytucie Nauk Prawnych PAN pracowałem od 1 kwietnia do 31 grudnia 1972 roku. Obok mnie zatrudniano podobnego zesłańca, bliskiego habilitacji Winicjusza Narajka. Głównym zadaniem Pracowni była ówczesnie organizacja konferencji polsko-radzieckiej w Pałacu Radziejowickim. Naraziłem na kłopoty Winicjusza, ponieważ odmówiłem zakupu skrzynki wódki (rachunek opiewać miał „kwiaty”). Podczas konferencji szokiem była dyspozycja, by przerwać obiad i wrócić na chwilę na salę obrad – oficjalny fotograf CAF przyjechał „tylko na chwilę”. Opublikowana w prasie fotografia wypadła okazale.

Prof. Zawadzki zlecił mi napisanie artykułu „metodologicznego”. Odkryłem systemowy brak więzi poziomych między radami tego samego szczebla. Dominowały więzi pionowe, a w praktyce biurokracja ministerialna. Artykuł nie został skierowany do druku. Poznałem jednak smak truskawek ze śmietaną w środku zimy – podczas obiadu w Urzędzie Rady Ministrów. Prof. Zawadzki nie mógł zaaprobować mojej odmowy „zredagowania” artykułu o prawie finansowym nadesłanego przez Natalię Gail z Uniwersytetu Łódzkiego. Miałem skrócić tekst z 40 do 20 stron. Prof. Zawadzki sądził, że jestem całkowicie od niego uzależniony, tymczasem praca w Instytucie Nauk Prawnych nie spełniała moich oczekiwań. W opinii Zawadzki napisał, iż przez parę miesięcy „nic nie zrobiłem” (a przygotowałem doktorat i dwie recenzje). Nawet dyrekcja Instytutu uznała, że opinia była niesprawiedliwa – po dwóch miesiącach, kiedy nie miałem pracy, sporządziła własną opinię.

Zadatki na prezesa

Czekałem na etat w Pracowni Epistemologicznej Zakładu Prakseologii PAN. Klimat w tej placówce był dla mnie korzystny. Ikoną był Tadeusz Kotarbiński. Zakładem kierował umocowany partyjnie Wojciech Gasparski. Pracownią zawiadywała Elżbieta Neyman. Pozostawiła mi całkowitą swobodę badawczą, a nawet znalazła mieszkanie do wynajęcia. Pasjonatką naukometrii była w Pracowni Maria Nowakowska. Przekładała dane jakościowe

na skale ilościowe, by umożliwić łączną ocenę systemu wartości badacza. W moim przypadku ustaliła, że mam szansę osiągnąć godność prezesa Akademii. Taki wynik analizy nie wskazywał, by teoria Marysi była bezdyskusyjnie poprawna: nie uwzględniała realiów politycznych i czynnika ideologicznego w naszym systemie.

W tym czasie nawiązałem współpracę z Sekcją Socjologii Nauki Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, kierowaną przez Janusza Goćkowskiego. Organizował konferencje w ośrodkach PAN – dawnych pałacach oraz w Karpaczu, gdzie Politechnika Wrocławska dysponowała małym ośrodkiem. Uczestnicy obrad mieli kłopot z wyborem: uciekać w góry czy całodziennie słuchać referatów. Tak czy tak formowało się rozległe dyscyplinowo grono amatorów naukoznawstwa. Wśród nich jedynie historycy nauki mieli dobrze zdefiniowane wymogi warsztatowe.

Dzięki sugestii prof. Leśnodorskiego wydobylem z tematu „Polityka naukowa w Polsce 1944-1953” zagadnienie natury organizacyjnej. Już temat pracy magisterskiej, nietypowy jak na Wydział Prawa i Administracji, był dość odległy od zapisów normatywnych: „Organizacja życia artystycznego w Królestwie Polskim (1864-1890)”. Prof. Leśnodorski uznał, że zebrałem wystarczający materiał do pracy doktorskiej *Pierwszy Kongres Nauki Polskiej jako forma realizacji założeń polityki naukowej Państwa Ludowego*. W rozmowie z Eugenią Krassowską oraz w archiwaliach znalazłem potwierdzenie tezy, że nie spektakularna „Sesja Kongresu”, a prace przygotowawcze (1949-1951) były istotą działań decydentów. PPS dostrzegła w Kongresie szansę na demokratyczną przebudowę nauki. Jednak dla władz Polskiej Partii Robotniczej pomysł Jerzego Borejszy, by zorganizować imprezę propagandową, wydał się bardziej przydatny. Do tego skrycie planowano przebudowę świadomości uczonych poprzez totalitarne przejście konferencji i publikacji naukowych. Sesja Kongresu dała okazję do oficjalnego powołania państwowej instytucji wzorowanej na systemie sowieckim w postaci Polskiej Akademii Nauk. Przy okazji zlikwidowano Polską Akademię Umiejętności i Towarzystwo Naukowe Warszawskie.

Ujawniać czy nie

Praca doktorska miała bezdyskusyjny wymiar źródłowy, nie wkraczałem w problemy ideologiczne, chociaż pośrednio to o nich świadczył Kongres. Obrona odbyła się 20 czerwca 1973 roku w Sali Lustrzanej Pałacu Staszica. Recenzentami byli Bogdan Suchodolski oraz krytyczny wobec stalinizmu, ale wysoko umocowany w PZPR socjolog Władysław Markiewicz. Podczas obrony opiekun ideologiczny historyków nauki Eugeniusz Olszewski stwierdził, że do pracy dobrałem specjalnie „kwiatki”. Odpowiedziałem: „to była cała łąka”. Olszewski złożył partyjną skargę do KC PZPR. W efekcie skierowano tekst przygotowany do druku w planie wydawniczym PAN do recenzji w Wydziale Nauki KC PZPR. Cenzor Stanisław Czajka zablokował druk w Ossolineum,

ponieważ praca „nie spełniała wymogów metodologii marksistowskiej”. Po paru latach dowiedziałem się, że nie chodziło o szczegółowe sformułowania, a oceniano w całości, czy można ujawniać publicznie taki obraz stalinizmu, czy też nie. Szczególnie drażliwym problemem było uprzedmiotowienie ludzi nauki, a w praktyce – zagłada nauki akademickiej. W języku partyjnym uczeni byli „kułakami nauki”, żyjącymi w „rezerwacie przeszłości”, jaką była Polska Akademia Umiejętności. O blokadzie druku nikt mnie nie poinformował, tym bardziej o tajnym uzasadnieniu. Wszystko to nie zniechęciło mnie, a odwrotnie: zachęciło do kontynuowania badań systemu polityki naukowej w Polsce. Doszedłem do wniosku, że badając lata 1944-1953 muszę uwzględnić także obraz dziedzictwa przedwojennej nauki akademickiej, przekazywany drogą tradycji. W okresie powojennym odbudowywano naukę na przedwojennych fundamentach wbrew oczekiwaniom władz komunistycznych. Zwalczały one idee nauki, takie jak autonomia organizacyjna uczelni czy wolność wypowiedzi i publikacji naukowych. W obrazie działań decydentów na pierwszym planie występowało zjawisko instytucjonalizacji nauki, do czego przyczyniały się procesy podejmowania decyzji przez organy biurokratyczne.

Gdy zachwiały się podstawy systemu władzy komunistycznej, złożyłem w 1980 roku wniosek do Komisji do spraw Odwołań od Krzywdzących Decyzji, powołanej w PAN. Kierowała nią prof. Zofia Kielan-Jaworowska. Komisja ustaliła, że obok mojego doktoratu krzywda dotknęła także autora pracy o stosunkach polsko-czeskich po II wojnie światowej. Było to pewnym zaskoczeniem, ponieważ liczono się z większą ilością prac pisanych „do szuflady”. Okazało się, że z udziałem promotorów i redaktorów czasopism naukowych powstał system „przedcenzuralnego zniechęcania” potencjalnych autorów. Mało kto ryzykował podjęcie „trefnych” zagadnień. Nie ma wątpliwości, że tematem numer jeden był wśród nich stalinizm. Po dwóch latach doktorat wydrukowano w Ossolineum bez ingerencji w treść, usunięto jednak notę autora o zatrzymaniu pracy w wydawnictwie przez dziesięć lat. Redaktorka przyznała, że pełniła tę funkcję również przed dziesięciu laty, działała wtedy w myśl dyrektyw partyjnych, ale teraz była w „Solidarności”.



Pierwszy Kongres Nauki Polskiej, Galeria Sztuki Socrealistycznej, Muzeum Zamoyskich w Kozłówce

Reportaż naukowy

Być może, a nawet prawdopodobnie, mamy do czynienia z narodzinami nowego gatunku piśmiennictwa. Przynależy treścią do kategorii publikacji naukowych, formę ma reportaży.

12 października 2022 roku doktor socjologii z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN Anna Wylegała odebrała nagrodę im. Tomasza Strzembosza, ufundowaną przez fundację jego imienia, założoną przez dzieci wybitnego historyka współczesności, za książkę *Był dwór, nie ma dworu. Reforma rolna w Polsce*.

Należę do świadków historii, tj. pokolenia, które przeżyło reformę rolną w wieku, kiedy chłonie się wydarzenia znaczące, a zachodzące w bliskim otoczeniu, jakim jest kraj ojczyzny. Mimo to lektura odkrywała mi rzeczy nowe i wywoływała refleksje ogólniejszej natury.

Autorka raz tylko, dość lakonicznie stwierdza, że zaaplikowana po wojnie przez narzucone Polsce władze parcelacja majątków ziemskich daje się w skutkach porównać ze zniesieniem pańszczyzny. Skutki społeczne zniknięcia z krajobrazu wsi dworów są chyba znaczniejsze i trwalsze, bowiem po reformie rolnej przestała istnieć wpływowa klasa (pozostając przy zakwestionowanej nazwie), nie mając sukcesorów w pełnieniu zadań wobec oświaty i kultury, wobec, najogólniej mówiąc, postępu cywilizacyjnego.

Cechy gatunków

O wartości merytorycznej, tj. walorach naukowych książki Anny Wylegały, napisano już trochę, a zapewne powstanie jeszcze sporo recenzji – pozytywnych, jak mniemam, bo książka nie budzi wątpliwości, a wywołuje uznanie. Podzielę się uwagami o jej formie, próbując dowieść jej nowatorskiej przynależności do wymienionego wyżej gatunku, niemieszczącego dotąd publikacji naukowych.

Reportaż, uważany za szlachetny gatunek dziennikarstwa, ma wymagane cechy, nie zawsze obecne w komplecie, lecz oczekiwane w takiej obecności, która pozwoli utwór nazywać reportażem. Wymienię główne cechy, tj.: obecność nazwanego bohatera – jednostkowego lub zbiorowego (w drugim przypadku z wyraźnymi granicami), osobiste świadectwo, tzn. opisanie bezpośredniego kontaktu reportera z bohaterem i przekazanie odbiorcom relacji bohatera w miejsce autorskiego opisu zdarzeń bądź przeżyć. Przekaz ten obowiązuje ścisłość faktograficzna, polegająca na tym, że bohater może puszczać wodze wyobraźni, a reporterowi tego nie

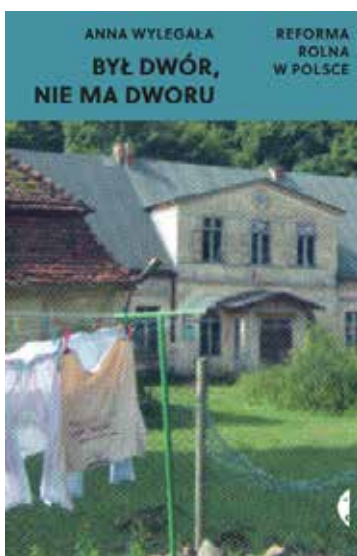
wolno, musi się trzymać sytuacji, przez co mieści się w opowieści, której słucha. To warunek podstawowy – nie ma reportażu powstałego z przeczytanych książek albo cudzych opowieści, choćby najudatniej spisanych. Sposób spełnienia tych wymagań stanowi o wartości reportażu i w oczywisty sposób wpływa na jego odbiór.

Publikacje naukowe podlegają innym rygorom. Oczekujemy od nich pełnej wiarygodności, co nie przeszkadza, by zawierały stwierdzenia polemiczne, zawsze ujawnione uczciwie, czyli z argumentami strony przeciwnej, z rewerencją. Przywykliśmy, jak myślę, do tego, że prace naukowe, jeśli dostępne

wykształconym laikom, zawierają nieuchronne uproszczenia, których granice znają autorzy baczący, by owe uproszczenia nie fałszowały głoszonych tez i wniosków. Zwykle uprzedzają o tym we wstępie do pracy, która też zawsze opatrzona jest przypisami wskazującymi źródła wiadomości przytaczanych na jej stronach, objaśniającymi kontekst i antecedencję.

Można się zastanawiać, dlaczego w piśmiennictwie naukowym miałyby się pojawić nowy rodzaj prezentacji zagadnień, który na wstępie określiłam mianem reportażu naukowego. Można też pytać, w jakim stopniu świadomie odwołała się doń autorka książki *Był dwór, nie ma dworu*. Może kiedyś zdarzy mi się ją o to zapytać. Tymczasem przytoczę wyznaczenie z zamykającej książkę „Noty metodologicznej”: „Moją podstawową zasadą było traktowanie priorytetowo źródeł o charakterze narracyjnym – przede wszystkim dokumentów osobistych z epoki, ale również powstających później oraz współcześnie wywołanych. Uznawszy, że w tego typu źródłach najpewniej znajdę informacje dotyczące subiektywnych aspektów interesujących mnie zjawisk, zaczęłam od szerokiej kwerendy w dokumentach osobistych opisujących sytuację w zachodnich dystryktach Generalnego Gubernatorstwa, czyli na tym obszarze II Rzeczypospolitej, na którym ziemiaństwo w większości utrzymało swój stan posiadania do końca wojny”. Mamy pośrednie przyznanie się do podejścia reporterskiego, przynajmniej w kategoryzowaniu oraz wyborze źródeł.

I próbka rezultatu takiego podejścia, nieco dłuższa, żeby przekonać: „W Pławowicach losy majątku Morstinów ważyły



się długo, bo wielu było zainteresowanych: chłopi chcieli ziemię rozparcelować, powiatowy urząd ziemski – zachować ją na majątek państwowy, trzecim graczem był zaś Związek Literatów Polskich, któremu Ludwik Hieronim Morstin przed wyjazdem przekazał pałac na dom pracy twórczej. Sławomir Lenartowicz, który pod koniec lutego 1945 roku został komisarzem majątku z ramienia PUZ, wspomina, że w kilka tygodni potem, w kwietniu, do wsi przybył »pełnomocnik do spraw parcelacji«: We wsi zawrzało jak w ulu. Ruchu takiego nie widziałem nigdy, chyba przy pożarze. Baby nawoływały mężów i synów. Psy szczekały w całej wiosce. Harmider jak na odpuście. Wezwano i mnie do pełnomocnika, poszedłem. Pełnomocnik był bardzo energicznym człowiekiem – w chwili, gdy starałem się precyzyjnie przez drzwi, wyrzucił za nie wszystkie niewiasty, pozwalając pozostać jedynie fernalom i tym kobietom, które z racji wdowieństwa mogły rościć pretensje o ziemię (...) Okazało się, że służba liczyła na wycięcie starych drzew w parku na budowę budynków dla siebie. Pan pełnomocnik uciszył tumult kilkukrotnym stuknięciem lufy pistoletu o stół i oświadczył krótko: Fornale dostaną po 5 hektarów ziemi, a paru gospodarzy ze wsi tyle, żeby wyrównali swe upełnorolnienie również do 5 hektarów. Reszta zostaje jako majątek państwowy dla produkcji paszy dla ryb, a stawy będą należały do majątku».

Połączenie

Bardzo ważnym walorem książki, którą nazywam reportażem naukowym, jest przedłużenie narracji do czasów współczesnych, o ile wiem wyjątkowe w pracach poświęconych reformie rolnej. W tych dalszych rozdziałach również mamy cechy reportażu, ale tam przede wszystkim skupia uwagę wiedza na temat zasadniczo odmienionego losu potomków warstwy, która w nieodległej przeszłości odgrywała nie najmniejszą rolę w rozwoju kultury i doskonaleniu rozmaitych aspektów życia społecznego.

Reporterskie zapisy badaczki, jeśli wolno tak je określić, pokazują ex post, przez co może bardziej wiarygodnie, ocenę byłych dziedziców. Wspominają ich dzisiaj wnuki mieszkańców czworaków i przenoszą w teraźniejszość dziedziczone oceny. Z tych zapisanych w książce wspomnień czytelnik dowiaduje się na ogół dopiero teraz, że w bliższym i dalszym otoczeniu dworu bacznie oceniano dziedzica i te oceny przetrwały w pamięci, umocnione wspomnianiem z jednej strony przy-

sług świadczonych przez ziemian poddanym – uczenie dzieci, pomoc w chorobie – a z drugiej tego, jak wielu poddanych jeździło do miasta, gdzie wygnani z dworów właściciele zamieszkali. Z paczkami potrzebnej, zwłaszcza w początkowym okresie po parcelacji, żywności.

W reporterskich materiałach, gromadzonych poprzez wywiady wśród mieszkańców przydworskich wsi, powtarza się warunek owych późniejszych, po wywłaszczeniu, kontaktów: Jeśli dziedzic był dobry. Spora liczba zarejestrowanych kontaktów pozwala myśleć, że dobry był niejeden dziedzic, albo inaczej, że zdecydowanie niedobry, darzony powszechną niechęcią zdarzał się nie bardzo często. To każe rewidować relacje oficjalne towarzyszące reformie rolnej, dzisiaj zresztą już wywietrzałe, znane historykom. Książka Anny Wylegaty odkłamuje je, a przede wszystkim pozwala poznać projekt społeczny powojennej socjalistycznej władzy, realizujący postulat społecznej sprawiedliwości w warunkach narzuconych przez ideologię, zatem z krzywdami po obu stronach.

Opowieść o tym, co działo się z bohaterami tego projektu po zakończeniu parcelacji, ma cechy reportażu naukowego i klasycznej naukowej publikacji. Pierwsze czynią lekturę bardziej atrakcyjną dla czytelnika niespecjalisty. Ani socjologa, ani historyka. Drugie zapewniają wiarygodność i wskazują (przypisy, nota końcowa) drogi poszukiwania bogatszej wiedzy o poruszonym temacie.

Na koniec uwaga nieco bardziej praktyczna. Przeżywamy „powrót do korzeni”, niezależnie od tego, czy korzenie były bogatsze, czy skromniejsze. Towarzyszy temu nieuchronnie skłonność do mitologizowania, sama w sobie nieszkodliwa albo mało szkodliwa. Anna Wylegata pokazuje w reporterskich wywiadach, że zasobność rodzinnej, środowiskowej czy nawet społecznej przeszłości jest bogata, kiedy eksplorujemy ją z pragnieniem odkrycia prawdy o przeszłości, bez uprzednio przyjętych założeń. Historykom, którzy zechcą opisywać nasze czasy, można, jak myślę, polecić reportaż naukowy, który – zda się – narodził się właśnie, a prawdopodobnie będzie się rozwijać i doskonalić, nie mieszącąc ze sobą form tradycyjnych, lecz tworząc ich syntezę.

Anna Wylegata, „Był dwór, nie ma dworu. Reforma rolna w Polsce”,
Wydawnictwo Czarne, Warszawa 2022.



Parcelacja gruntów w 1944 r.

Źródło: kurenhistoryczny.pl

Choroba Morgellonów

Kiedy w 1990 roku ustała komunistyczna cenzura państwowa, z początku sądzono powszechnie, że nastąpią czasy wielkiej wolności, a właściwie dowolności, która przesłoni niedostatki i krzywdy brutalnej pseudoopieki antykulturowej nad poprawnością polskich tekstów i zachowań. Szybko można było się przekonać, że nic takiego się nie stało. Biura i stanowiska cenzorskie w Urzędzie Kontroli Publikacji i Widowisk zostały zamknięte, redakcje i instytucje kultury dostały placet na wszelkie dotychczas niedozwolone działania, łącznie z drukiem wszystkiego, co tylko się ludziom spodoba. Ale momentalnie zaczęto mylić brak cenzury z normą myślenia. Nadal bowiem czuwa cenzura, a właściwie pilnują autorów jej rozliczne i skrętnie skrywane formy, z karami w postaci głównie ostracyzmu i cichych zakazów publikacji czy wręcz funkcjonowania w najważniejszych mediach. Na przywrócony dawny (słuszny etycznie, logicznie i merytorycznie) niepisany system przestrzegania społecznej obyczajności, podawania prawdy, zgodności informacji z faktami nałożyło się to wszystko, co się wymyka rzetelnej wiedzy i możliwości sprawdzania. Przyczyną jest to, że niestety wciąż nie dysponujemy jasną definicją prawdy i faktu, a także dopuszczalności publikowania tekstów. Nigdzie nie precyzuje się granic, na których kończy się obyczajność, prawda, słuszność. Wszyscy mamy z tym kłopot, a prawnicy i dziennikarze w szczególności.

Metody swoiście pojmowanej a cenzurowanej wolności, tej niesłusznej i szkodliwej, a w rzeczywistości relatywizmu wydostały się z biur dawnej cenzury na świeże powietrze i zaczęły przekręcać wszystko, co się przekreślić lub odwrócić da, i to dla całkiem realnych korzyści: pieniędzy i władzy. Pewnych rzeczy nadal nie wolno mówić, bo można wylecieć z pracy, na przykład z uniwersytetu.

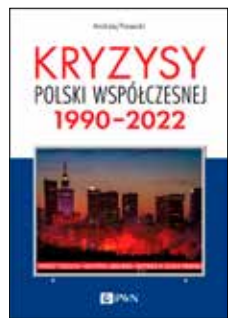
No, ale przejdźmy do jakiegoś konkretnego. Oto kiedy tylko znikła cenzura oficjalna, w gazetach (przypominam, rok 1990) spektakularnie odrodziło się znachorstwo. Była to akcja ciekawie pomyślana i trudna do rozpoznania jako działanie ekonomiczno-przemysłowe. Wszak chodziło o skuteczne, ale sprytnie ukryte przekonywanie, że za czasów komuny nie wolno było o pewnych metodach leczenia i pewnych lekach mówić. A skoro właśnie teraz następuje wolność, powinniśmy z tego natychmiast skorzystać. Chodzi o prawdę o nieskutecznej medycynie naukowej, która najlepsze metody lecznicze ukrywa, bo są kosztowne i kłopotliwe w stosowaniu, i że takie jej ustawienie w systemie pozostało władzy po komunie. Lekarzom nie wolno wierzyć, są pracownikami władzy. Lecz oto my, producenci specjalnych leków, będziemy wam, ludziom dotychczas zaniedbywanym przez służbę zdrowia, bezpiecznie i „niemal za darmo” serwować produkty, które były celowo produkowane w znikomych ilościach, abyście nie byli zdrowi. A przecież nadeszła nowoczesność!

Mnóstwo ludzi w to uwierzyło i wierzy do tej pory, bo media bez przerwy lansują takie metody i preparaty, i nikt temu nie oponuje. Cenzury nie ma i rzekomo czuwa nad tym rozsądek publicystów i właścicieli mediów, w tym gazet, radia i telewizji. Wobec likwidacji cenzorskiego zła, na zasadzie odbicia od dna cierpień oraz wobec powszechnej wolności teksty znachorskie i paramedyczne mają obecnie prawo działać bez żadnej kontroli, która przecież z założenia, sama w sobie jako represja jest złem. Preparaty o dobrej nazwie zasługują, aby nazywać je lekami, rozmaite doskonałe pomysły producentów wszelkiego rodzaju środków zaproponowano jako metody postępowania wobec totalnej i udowodnionej niemożności starej, zidiociałej medycyny naukowej. Każdy chory wie dzisiaj, że służba zdrowia jest niewydolna i należy się wspomagać osobiście. Na czoło wysuwa się dotychczas ukrywany przed ludzkością magnez jako czynnik, który powinien być przyjmowany w formie tabletek przez każdego zdrowo myślącego człowieka. Równie niezbędne powinny być tabletki z witaminami, które poprawiają odporność, czynność serca i wątroby. Każdy facet powinien być w seksie maratończykiem i spryskiwać sobie narząd. O mózgu już się nie mówi, bo to słabiej działa na wyobraźnię, ale już taką wątrobę można sobie wymacać w brzuchu (nawet jeśli każdy wymacuje ją gdzie indziej). Pukanie się w głowę też nie pomaga. Ponadto istnieją zbyt słabo używane przez medycynę preparaty antywirusowe, bo skoro w żadnym podręczniku medycyny nie ma mowy o tym, że mogą zabijać wirusy, to jednak my, producenci, musimy o tym powiadać w reklamach.

Bardzo solidnie zajęto się też pasożytami, informując ludzkość, że wszyscy ludzie mają je w sobie w postaci robaków obłych, podobnych do makaronu.

Za tymi akcjami poszło przywoływanie dawno zapomnianych przypadłości. Ostatnio nastąpił nawrót choroby Morgellonów, odkrytej w XVII wieku w rodzinie o nazwisku Morgellon, w której na skórze dzieci miały wyrastać włókienka pasożytów. W roku 2001 podobne włókienka odkryła u swego syna pani Mary Leitao, biolog pracująca jako technik laboratoryjny w szpitalu w Bostonie. Ponieważ lekarze masowo to zjawisko ignorowali, nie znajdując ani odkrytych przez Leitao bakterii, ani żadnych objawów choroby (poza włókienkami, których zresztą pod mikroskopem nie widać, ale które chorzy i ich opiekunowie potrafią narysować), biolog zaczęła szukać pomocy w Internecie i założyła fundację choroby Morgellonów. Do dziś zarejestrowało się ponad 300 tysięcy chorych na zakażenie bakteriami włókienkowymi. Co ciekawe, już się pojawiły pierwsze probiotyki (bakterie ze szczepu DSM 21097), a towarzyszą temu zalecenia, aby o swoim zachorowaniu nie rozmawiać z lekarzami. Wieści docierają już do Polski. Na szczęście w Polsce cenzura od ponad trzydziestu lat nie działa.

W bólach i chaosie



III RP od początków przechodziła wiele kryzysów. Andrzej Piasecki skupia się na najbardziej powszechnym rozumieniu kryzysu jako zjawiska niespodziewanego i niebezpiecznego, zagrażającego, utrudniającego, a niekiedy uniemożliwiającego wręcz normalne funkcjonowanie państwa. Niektóre kryzysy lat 1990-2022 wiązały się z przełomem, załamaniem, inne były punktem zwrotnym, zmianą społeczną, zmianą sytuacji gospodarczej. Siłą rzeczy należało dokonać ich selekcji. Chronologicznie w książce znajdziemy charakterystykę

dalszego ciągu transformacji systemowej z roku 1990 z towarzyszącymi jej protestami doprowadzającymi do przyspieszonych wyborów, kwestię ilustracji (1992), koniec prezydentury Lecha Wałęsy (1995), powódź tysiąclecia (1997), rolnicze protesty (1999), aferę Rywina (2003), kryzys finansowy (2008-2009), katastrofę smoleńską (2010), okupowanie sali sejmowej (2016) i niepokoje czasów pandemii (2020-2022). Prof. Piasecki w wytypowaniu do pracy owych dziesięciu najpoważniejszych kryzysów kierował się oceną ich wpływu na przemiany społeczno-polityczne. Cechą wspólną tych wydarzeń, pomimo różnorodnego podłoża, zasięgu i skutków, są czynniki, które wymusiły aktywność służb publicznych. Każdy z tych kryzysów spowodował destabilizację pewnych struktur administracyjnych, społecznych lub gospodarczych, a państwo – jak pisze – „zadrżało w posadach”. Autor niewiele miejsca poświęca moralnej charakterystyce i ocenie kryzysów.

Pod koniec lat 90. niejednokrotnie przemieszczałem się po Polsce, natrafiałem na blokady rolnicze, postanowiłem więc przyjrzeć się z perspektywy czasowej temu zagadnieniu. Piasecki daje ku temu sposobność, gdyż kwestię blokad rolniczych poprzedził pogłębioną analizą sytuacji społecznej polskiej wsi po transformacji. Wieś straciła więcej niż miasto. Zamieszkiwało ją 40% obywateli RP w ponad 2 milionach gospodarstw i do tego rolnicy byli najliczniejszą (blisko 30%) grupą zawodową z silnym poczuciem pauperyzacji. Dochód tej grupy w stosunku do średniej krajowej płacy pomiędzy latami 1990 a 1998 spadł z 92% do 40%. Producenci żywności po wprowadzeniu gospodarki wolnorynkowej musieli zmierzyć się z konkurencją towarów z importu. Fala protestów przybrała apogeum w 1999 r., wyprzedzając dziesiątki tysięcy rolników na drogi.

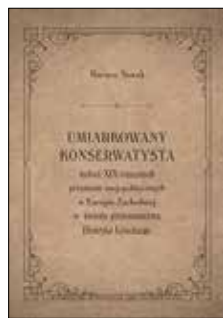
Sprzeczkami, awantury, rękoczyny, do jakich dochodziło pomiędzy rolnikami blokującymi drogi a kierowcami, wprowadziły do polityki Andrzeja Leppera. W 1992 r. stanął na czele Samoobrony – najpierw związku zawodowego, potem partii politycznej, która osiągnęła w 2001 r. znakomity wynik, 3. miejsce w wyborach parlamentarnych (53 mandaty poselskie i 2 senatorskie). Sukces został powtórzony w 2005 r. (56 posłów, 3 senatorów). Lepper w 2005 r. w pierwszej turze wyborów prezydenckich zajął 3. miejsce (2 259 094 głosów, tj. 15%), a poparcie ze strony jego elektoratu przesądziło o zwycięstwie Lecha Kaczyńskiego w drugiej turze. W nowym Sejmie sprawował Andrzej Lepper funkcję wicemarszałka, szczytem kariery było stanowisko wicepremiera (2006-2007). Tragiczna śmierć w 2011 r. zakończyła jego działalność. Szkoda, że autor nie dotyka tematu spekulacji co do przyczyn śmierci Leppera. Społeczeństwo, zwłaszcza internauci, nie zgadzają się z oficjalną jej wersją przedstawioną przez prokuraturę. Jest to przejaw braku zaufania do instytucji państwowych, co świadczy o kryzysie drążącym państwo.

Są istotne kryzysy w historii III RP, którymi żyło społeczeństwo, a których zabrakło lub zostały jedynie wzmiankowane w tej książce. Autor wprawdzie zaznacza, że musiał dokonać selekcji materiału, warto by jednak poszerzyć opracowanie o takie wydarzenia jak ujawnienie agentów WSI, sprawę weekendowych samobójstw (w tym Leppera), kwestię Kościoła katolickiego. W indeksie osób wśród wielu nazwisk nie powinno zabraknąć ani Piotra Jaroszewicza, ani Marka Papaya.

Bogdan Bernat

Andrzej PIASECKI, *Kryzysy Polski współczesnej 1990-2022*.
Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2022.

Zapomniany moderantysta



Henryk Krzeczkowski, ów „torys z ulicy Czackiego” (określenie Jacka Bartyzela), indagowany o definicję konserwatyzmu, stwierdził, że jest to żądanie niewykonalne i bezsensowne. W połowie lat siedemdziesiątych minionego wieku pisał o postawie zachowawczej: „...głównym urokiem konserwatyzmu jest to właśnie, że, choć łatwo rozpoznawalny, jest całkowicie niepodatny na wszelkie zabiegi uczonych klasyfikatorów”. I jeszcze: „Każda inna zmieści się bez reszty w rubrykach ankiet socjologicznych i kwestionariuszów, pozwole się zaszufladkować

i oznaczyć odpowiednimi paragrafami programów i dogmatów, jeden tylko konserwatyzm obezwładnia różnorodnością swych wcieleń, doprowadzając pedantów do wściekłości tym, że jest tak oczywisty a zarazem nieuchwytny, tak anachroniczny i śmieszny, a przecież tak trudny do wyśmiania”.

Właśnie! Konserwatyzm niejedno ma oblicze. Co za bogactwo spostrzeżeń, analiz i pomysłów... A współczesne interpretacje, polemiki, próby zastosowania hic et nunc... Wspomnijmy przykładowo niedawne publikacje. Rzeczy różnorodne, ale i jakoś się dopełniające: Włodzimierza Bernackiego *O wolności w czasach niewoli* oraz Jacka Bartyzela *Zboże polskiego myślenia*. I pomyśleć, że w połowie lat osiemdziesiątych objawieniem była antologia *Stańcycy* opracowana przez Marcina Króla. Publikacja ze wszech miar wartościowa, choć skrojona na potrzeby innych czasów i wyzwań.

Konserwatyzm ma się dziś dobrze. Powstają prace będące owocem rzetelnych, często pionierskich badań. Książka Mariusza Nowaka *Umiarkowany konserwatysta...* jest tego znakomitym przykładem. Autor po raz pierwszy w sposób naukowy przedstawia życie i działalność Henryka Lisickiego (1839-1899). Był on publicystą i pisarzem historycznym związanym ze środowiskiem krakowskich konserwatystów. Monografista posługuje się podziałem konserwatyzmu na dwa nurty, umiarkowany (moderantystyczny) i skrajny (tradycjonalistyczny). Tradycjonalistą był dajmy na to Henryk Rzewuski, zaś Lisicki był stańczykiem moderantystycznym. Dostrzegał postępujący kryzys społeczeństw Europy Zachodniej, bez ogródek wypowiadał się o poczynaniach utopistów i demagogów socjalnych, którzy głosząc egalitarne frazesy, dążyli de facto do zdobycia nieograniczonej władzy. Lisicki był zwolennikiem dziedzicznej monarchii konstytucyjnej, opowiadał się za społeczeństwem zorganizowanym w sposób hierarchiczny, opartym na sprawdzonych w ciągu wieków wzorach. Czy był przeciwnikiem jakiegokolwiek zmiany? Nie. Przywołajmy tu cytat z omawianej książki: „Lisicki akceptował proces stopniowej metamorfozy, a zatem przekształcanie istniejącej rzeczywistości, lecz przy odrzuceniu tej, która miałaby mieć charakter gwałtowny. Przeczyła bowiem teleologii ludzkości, tj. powolnej przemianie ku coraz doskonalszej formie organizacji społeczeństwa, aż do idealnej komunii stworzenia ze Stwórcą”.

Wielką wartością książki jest ukazanie twórczości Lisickiego na tle tego, co działo się w porewolucyjnej Francji, Niemczech epoki Bismarcka czy Anglii. Swoiste umiejscowienie i uczasowanie poglądów wypowiedzianych przez przedstawicieli konserwatyzmu pozwala lepiej rozeznaczyć nie tylko w tym, co łączyło przedstawicieli różnych nurtów myśli zachowawczej, ale również w tym, co ich dzieliło. Dotyczy to również ideowych uwikłań na ziemiach polskich pod zaborami. W przypadku Lisickiego trzeba głównie brać pod uwagę zachodnią Galicję z Krakowem, gdzie stańcycy oczywiście przeważali, ale działali też reakcyjniści (Antoni Walewski, Jerzy Moszyński) oraz ultramontanizm z „Przeglądu Powszechnego”.

W zakończeniu wypada wyrazić nadzieję, że ta ważna i potrzebna monografia znajdzie wkrótce dopełnienie przynajmniej w wyborze pism Lisickiego.

Tomasz Klusek

Mariusz NOWAK, *Umiarkowany konserwatysta wobec XIX-wiecznych przemian socjopolitycznych w Europie Zachodniej w świetle piśmiennictwa Henryka Lisickiego*,

Wydawnictwo Uniwersytetu Jana Kochanowskiego, Kielce 2022.

Dlaczego wszędzie widzimy spiski



Jak pisze Butter, teoria spiskowa to pogląd, że działająca potajemnie grupa spiskowców dąży do opanowania lub zniszczenia jakiejś instytucji, kraju lub nawet całego świata. Myślenie wyznawców tych teorii opiera się na trzech głównych założeniach: nic nie dzieje się przypadkiem; nic nie jest takie, na jakie wygląda; wszystko jest ze sobą powiązane.

Jedną z najpopularniejszych obecnie teorii spiskowych jest negowanie prawdziwości pandemii covid-19. Niemieckie wydanie książki powstało jednak przed pandemią, więc o koronawirusie autor wspomina tylko we wstępie do wydania polskiego, zaznaczając, że mogłaby być ona „ilustracją wszystkich omawianych w książce aspektów teorii spiskowych”.

W przeszłości większość tego typu teorii dotyczyła masonów, Żydów, socjalistów i liberałów. Do lat 50. XX wieku teorie spiskowe w zachodnim świecie uważano za w pełni prawomocną postać wiedzy i nie podważano jej podstawowych założeń. Dopiero po II wojnie światowej wykluczono konspiracyjne idee z dyskursu publicznego. Holokaust boleśnie uświadomił nam, do czego mogą one prowadzić.

Obecnie teorie spiskowe przeniosły się do internetu, gdzie żyją własnym nieskrepowanym życiem. Ludzie wierzą na przykład, że rząd Stanów Zjednoczonych jest odpowiedzialny za zamachy na World Trade Center, jesteśmy potajemnie sterowani przez Nowy Porządek Świata, który zniewala nas za pomocą smug chemicznych i szczepionek, Barack Obama, Angela Merkel i George W. Bush należą do elity pozaziemskich reptilian żywiących się naszą energią negatywną, nigdy nie doszło do lądowania na Księżycu, a John F. Kennedy został zamordowany przez CIA. Najbardziej znany i najzamożniejszy w Stanach Zjednoczonych głosiciel teorii spiskowych to Alex Jones. Twierdził on na przykład, że masakra w szkole podstawowej w Sandy Hook została sfingowana przez władze, aby ograniczyć prawo Amerykanów do posiadania broni. Zginęło wtedy 26 osób, w tym 20 dzieci. Warto dodać, że w październiku 2022 roku sąd zdecydował, że Jones musi wypłacić łącznie prawie miliard dolarów odszkodowań osobom, które zostały narażone na szkany w związku z jego poglądami.

Dlaczego tak łatwo nam uwierzyć w teorie spiskowe? Ludzki mózg został przez ewolucję zaprogramowany do rozpoznawania prawidłowości. Zapewniało to przetrwanie, kiedy np. uczyliśmy się, by omijać gatunek pająka, po którego ugryzieniu zmarł członek wspólnoty. Wszystkiemu próbujemy więc nadać sens. To dlatego zwolennicy teorii spiskowych twierdzą, że nie ma przypadków, a wszystko, co się dzieje, zostało przez kogoś zaplanowane. Zjawiska odbierane jako zło i zagrożenie przypisuje się świadomie działającej grupie, dzięki czemu możemy wskazać „wroga”. Pomagają wyjaśnić – jak ujął to Dieter Groh – dlaczego „dobrym ludziom zdarzają się złe rzeczy”.

Uważa się, że w teorie spiskowe wierzą przede wszystkim mężczyźni po czterdziestce, którzy czują się zmarginalizowani i żywią obawy przed degradacją społeczną. Badania wskazują jednak, że obraz typowego wyznawcy jest niejednorodny. Mężczyźni popierają raczej wielkie polityczne teorie spiskowe, a do tego częścię angażują się w ich rozpowszechnianie czy komentowanie na forach. Kobiety również często wierzą w teorie spiskowe, ale bardziej skupiają się na tych dotyczących ich życia: szczepieniach, smugach chemicznych.

Autor zaznacza, że teoria spiskowa to co innego niż spisek, taki jak sprzysiężenie Katyliny czy wysoko prawdopodobne próby oddziaływania Kremla na wynik wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Postuluje również, by zastąpić pojęcie „teoria spiskowa” pojęciem „ideologia spiskowa”, bo nie są to teorie w sensie naukowym.

Justyna Jakubczyk

Michael BUTTER, *Teorie spiskowe. Nic nie jest takie, na jakie wygląda*, tłum. Joanna Gilewicz, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2022.

Jeśli nie koniec świata, to co?



Jeszcze całkiem niedawno komunikaty zamieszczane w przestrzeniach publicznych zachęcające do gaszenia światła, mogły spowodować co najwyższy efekt w postaci zniecierpliwionego prychnięcia. Dziś tego rodzaju apele raczej nie wywołują złośliwych uśmiezków. A wszystko to za sprawą rosnących w niesamowitym tempie cen energii. Kryzys wywołany przez wojnę na Ukrainie zaskoczył część europejskich krajów, które uzależnione do tej pory od jednego dostawcy, zorientowały się nagle, że brak dywersyfikacji źródeł energii jest realnym zagrożeniem

dla stabilności gospodarczej państwa. Wygląda na to, że wcześniejsze nawoływanie o modyfikację polityki energetycznej w związku z zachodzącymi zmianami klimatycznymi nie były wystarczająco przekonującymi argumentami prowokującymi do podjęcia zdecydowanych działań. Dopiero widmo realnego braku ciepłych kaloryferów wywołało wśród rządzących chęć prawdziwej aktywności. I tak doszliśmy do momentu, kiedy dramatyczna sytuacja może stać się początkiem zmieniania świata na lepsze. O tym, jakimi metodami dokonać tej koniecznej rewolucji, pisze Marcin Popkiewicz. W książce *Zrozumieć transformację energetyczną*, o której można bez przesady powiedzieć, że jest kompendium wiedzy z zakresu szeroko pojętej energetyki, analizuje on przyczyny obecnego stanu rzeczy i podaje propozycje konkretnych rozwiązań, mogących wyprowadzić ludzkość z dołu, do którego sama wpadła, kierując się niepohamowaną żądzą zysku. Autor przygląda się poszczególnym technologiom w bardzo drobiazgowy sposób, w każdym przypadku wskazując na ich zalety i wady. Podkreśla, że rzeczą priorytetową musi być zmniejszenie emisji CO₂ i to do zera. W praktyce oznacza to całkowitą rezygnację z paliw kopalnych. Trudność polega na tym, że ludzie, przyzwyczajeni do wygody, jaką mają dzięki nim, a trzeba pamiętać, że właśnie one zaspokajają ok. 85% potrzeb energetycznych, nie chcą dobrowolnie opuszczać strefy komfortu.

Marcin Popkiewicz uzmysławia powagę sytuacji, ale nie gra popularnymi chwytami wykorzystującymi ludzki strach, tylko za pomocą rzeczowych argumentów, popartych faktami i konkretnymi danymi, pokazuje, że aby uniknąć końca świata, wszyscy muszą przeformułować własne zachowania. Przyszłość zależy bowiem nie tylko od dokonania dekarbonizacji i wykorzystania potencjału tkwiącego w wodzie, wietrze, fotowoltaice czy atomie, ale nade wszystko od tego, czy uda się opanować nadmierną konsumpcję i odejść od obowiązującego schematu ciągłego wzrostu.

Dużo uwagi poświęca autor potrzebie właściwego zaplanowania polskiej przyszłości energetycznej. Konieczne jest, wskazuje, podejmowanie racjonalnych działań, od zinwentaryzowania zużycia energii począwszy (już na tym etapie można się przekonać, jak wiele jest w naszym otoczeniu tzw. wampirów energetycznych), a na zarządzaniu nią skończywszy.

Z pewnością Marcin Popkiewicz ma ogromną wiedzę. Ważne, że potrafi się nią podzielić. Czyni to zresztą w niezwykle sprawny sposób, a recepcję podawanych treści ułatwia przytaczanie licznych przykładów z życia i specyficzny rodzaj humoru, nieujmujący przy tym niczego powadze prezentowanego tematu. Twórca wprost pisze o tym, że wraz ze zmianami klimatu, wywołanymi przez działalność człowieka, stabilna od wielu tysięcy lat sytuacja znacznie ulegać zmianie, a po przekroczeniu punktu krytycznego wystąpią nieodwracalne skutki. Dlatego nie ma już czasu na zbędne dywagacje, trzeba zaangażować się w konkretne działania i zmienić mentalność ciągłego nabywcy. Zasoby Ziemi nie są przecież nieograniczone, a marzenie o kolonizowaniu innych planet należy włożyć między bajki. Tego, co nadchodzi, nie uda się ludzkości tak po prostu przeczeć.

Aneta Zawadzka

Marcin POPKIEWICZ, *Zrozumieć transformację energetyczną. Od depresji do wizji albo jak wykopywać się z dziury, w której jesteśmy*,

Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2022, seria: Post factum.

U progu nowoczesności literackiej



Książka Patrycji Bąkowskiej opisuje poezję oświecenia z perspektywy tego, co przez oświecenie zostaje zapoczątkowane, a więc nowoczesności. Opisywane przez badaczkę fenomeny kulturowe – wybrane utwory poetyckie pisarzy bardziej (Franciszek Dionizy Kłaja czy Julian Ursyn Niemcewicz) i mniej (Józef Morelowski, Cyprian Godebski, Dyzma Bończa Tomaszewski) znanych – są tym bardziej fascynujące, że stanowią nowoczesności moment początkowy, a więc taki, w którym nie zdążyła ona jeszcze zaistnieć w pełni, siłując się z tym,

co ją poprzedza.

Praca składa się z czterech rozdziałów, cztery są bowiem formy tytułowej ekspresji podmiotowości nowoczesnej. Podział ten nie tyle odpowiada rzeczywistym formom przejawiania się podmiotowości w oświeceniu, ile jest konstrukcją przyjętą po to, by w przekonujący sposób o owej podmiotowości opowiedzieć.

W rozdziale pierwszym Bąkowska rozpatruje relację, jaką „ja” w liryce Karpińskiego, Kłaja i Adama Jerzego Czartoryskiego nawiązuje samo ze sobą. Podmiot w tych tekstach powoli (jeszcze nie tak radykalnie jak w epokach późniejszych) rozstaje się z systemami, które dotychczas sytuowały go w świecie.

Rozdział drugi pokazuje, że jednym z czynników wykorzeniających „ja” z miejsc, które dotychczas zajmowało w świecie, jest historia. W rozdziale „Ja” wobec Boga i historii przekonująco się pokazuje, jak pod wpływem „ciśnienia dziejowości” i w sporze z tradycją staropolską wytworzą się nowe sposoby artykułowania jednostkowej podmiotowości. Wszystkie interpretowane przez Bąkowską teksty zakładają jeszcze istnienie opatrności, zarazem jednak pojawia się w nich już nowoczesny historyzm, a więc przekonanie, że to, co się wydarza w Polsce pod koniec XVIII wieku, wydarza się tylko tutaj i stanowi to wyjątkowość i oryginalność naszego narodu.

Jedną z głównych sytuacji określających tożsamość jednostki nowoczesnej wobec wspólnoty i jednostki jest sytuacja zniewolenia. Bąkowska podkreśla, że „strategie osławiające «ja»” z niewolą można rozpatrywać na dwu płaszczyznach: relacji wygnańca/więźnia z samym sobą i relacji wygnańca z narodem oraz konstytuowaną wspólnotą zastępczą. Pozostawanie sam na sam ze sobą staje się dla podmiotu liryki opisywanej w rozdziale „Ja” wobec wspólnoty i jednostki okazją nie do odnalezienia Boga (jak było jeszcze w staropolszczyźnie), ale odnalezienia siebie – pojmowanego jako nieredukowalna do niczego innego jednostkowość. Natomiast „W drugim wariantcie *homo exil* to człowiek, który odczuwa potrzebę wynalezienia nowego, bo uwzględniającego drastycznie zmieniające się okoliczności sposobu określenia się wobec wspólnoty”.

Rozdział ostatni przynosi interpretacje twórczości zupełnie już dzisiaj zapomnianych utworów, takich jak *Rolnictwo* Dyzmy Bończy Tomaszewskiego czy *Powrót* Adama Jerzego Czartoryskiego. W tekstach tych konkurują ze sobą dwa modele rozumienia natury. Pierwsze, sensu stricto oświeceniowe, to natura jako byt samoistny, niepodległy człowiekowi; drugie, które pojawia się w oświeceniu polskim, nawiązuje do tradycji ziemiankich, ale nie jako powtórzenie, tylko melancholijno-nostalgiczny zwrot w kierunku tego, co zostało utracone.

Książka Patrycji Bąkowskiej najciekawsza jest w tych miejscach, w których pokazuje „obszary swoistości” polskiego wieku światła, niejednokrotnie diametralnie różne od oświecenia zachodniego. Napisana językiem dojrzałym, nowatorska i błyskotliwa praca z pewnością będzie lekturą ciekawą dla wszystkich, których interesuje osobliwy moment, kiedy rodzi się wrażliwość nowoczesna.

Paweł Bohuszewicz

Patrycja BĄKOWSKA, *Formy ekspresji podmiotowości nowoczesnej. Tożsamość indywidualna i zbiorowa w poezji polskiej schyłku XVIII i początku XIX wieku*, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2021, seria: Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Faust na Mazurach



Piśmiennictwo mazurskie XIX stulecia zarówno w języku polskim, jak też niemieckim, to wciąż nie do końca odkryty obszar badawczy. Stosunkowo rzadkie edycje przypominają, że na Mazurach żyli i tworzyli autorzy nietuzinkowi. Jednym z nich był pastor Carl Eduard Cludius. Urodził się w Ełku w roku 1826, zmarł w Rynie w 1889. Esej pt. „Faust” Goethego jako apologia chrześcijaństwa wydał w 1868. Jest to szkic interpretacyjno-teologiczny. Jego autor wypowiada się jako teolog, biblista, człowiek zorientowany w filozofii, kaznodzieja, znawca

literatury, moralista, historyzof, żarliwy chrześcijanin. Odkrywa w *Fauście* przemyślenia o dziejach Objawienia, sposobach działania szatana, o źródłach i granicach człowieczeństwa.

Zagadnienia te łączą się z wewnętrznymi przemianami ówczesnych Prus i Niemiec. Europa wchodziła w fazę modernizacyjną. Nurt wielu refleksji Cludiusa z powodzeniem można odnieść także do biegu zdarzeń pierwszej dekady naszej współczesności. Zdumiewają swoją przenikliwością i aktualnością niektóre sentencje: sztuka „ekscytuje ludzi właśnie przez to, że ich dezorientuje”; „Któż inny, jak nie on [Goethe – przyp. ZCh], pokazał, że ten, kto zamiast zagłębić się w poznanie słowa Bożego Objawienia, narzuca mu jako wykładnię swoje własne wyobrażenia, ten nie może otrzymać świętej mocy i nie jest zdolny do pokonania grzechu”; „W drugiej części pierwszego aktu Goethe piętkuje fałszywą sztukę i poezję bogactwa, której celem jest jedynie łechtanie i odurzanie zmysłów. Tacy artyści i poeci są przedstawiani jako bardzo zręczni lokaje swawolnego, sprośnie skąpego, nadętego w swej głupocie, sprytnego Plutusa, są oni woźnicami bogatego plutokraty”; „Bez boskiego sensu chrześcijaństwa wszystko, co piękne w życiu człowieka, jest pospolite, jest tylko pozorem, cieniem, spowinowaconym z tym, co brzydkie, egoistyczne, zbudowane na zbrodni”; „grzech jest właśnie tym, co wydobywa smak życia, barwne odbicie wszystkich kolorów tęczy. Grzech jest apoteozowany”; „Nawet Cesarz zapomina o swojej godności, o swoich obowiązkach, nie jest już cesarzem, lecz tylko najbogatszym człowiekiem, a w każdym razie najpotężniejszym i najbardziej żądnym zysku spośród bogaczy”.

Wznowienie w postaci reprintu i wydanie w przekładzie Elżbiety Zarych na język polski eseju teologiczno-literackiego Cludiusa wzbogaca obraz recepcji twórczości niemieckiego romantyka w wymiarze regionalnym. W kompetentnym wprowadzeniu redaktora tomu Jarosława Ławskiego czytelnik poznaje biografię autora i bliskie mu otoczenie, a także wstępnie uporządkowane idee poruszone przez niego. Ławski jako znakomity znawca romantyzmu śledzi treść przesłania niekiedy zawilego tekstu mazurskiego pastora, który w przekładzie zachowuje żywotność.

Podczas lektury rozważań pastora warto uświadomić sobie kontekst historyczny, w którym komentował *Fausta*. W 1866 Prusy wygrały wojnę z Austrią. Zachodziły procesy związane z jednoczeniem się krajów niemieckich i upowszechnianiem się myślenia nacjonalistycznego. Cludius z jednej strony rozpatruje arcydziełną tragedię w myśl chrześcijańskiego uniwersalizmu, a z drugiej wydobywa z *Fausta* przesłanki do uznania pangermanizmu. W eseju mazurskiego pastora duch uniwersalizmu wydaje się silniejszy.

W faustowskich rozmyślaniach człowiek wierzący w Boga zmagają się z fundamentalnymi pytaniami i wątpliwościami wobec epoki, w której biorą górę cele ziemskie, materialistyczne, schlebające temu, co diabelskie, nieetyczne, totalnie egoistyczne. Pod wpływem głębokiego czytania *Fausta* mazurski pastor dochodzi do przekonania, że ludzkość może uratować jedynie miłosierdzie.

Zbigniew Chojnowski

Carl Eduard CLUDIUS, „Faust” Goethego jako apologia chrześcijaństwa, tłum., przedślowie Elżbieta Zarych, wstęp, oprac. tekstu i red. Jarosław Ławski, Wydawnictwo Temida 2, Białystok 2022.



Fot. Stefan Ciechan

Leszek Szaruga

Produkowanie stopni

„W parze z seminariami, prowadzeniem zajęć, nauką do egzaminów, wnioskowaniem o granty i dofinansowania uczęszczał na obowiązkowe warsztaty, gdzie uczono go, jak „właściwie” robić doktorat, by „nie odpaść w wyścigu”. (...) Co pół roku każdy doktorant musiał wypełnić raport podsumowujący jego aktywność. Szybko okazało się, że zamiast jakości liczy się końcowa liczba punktów”. Te dwa zdania z artykułu Damiana Nowickiego *Z Akademii do baru* opublikowanego w „Tygodniku Powszechnym” (nr 50/2022) zdają się dobrze ilustrować zjawisko, które z chęcią określiłbym jako technologię produkcji tytułów naukowych.

Jako czelkowi dość już podeszłego wieku, wciąż jeszcze tolerowanemu w przestrzeni akademickiego życia, niemniej z pewnością oddalonemu za sprawą nieuniknionego starczego konserwizmu od obowiązujących w nim zasad, taki obraz doktoranta wydaje mi się przerażający. Młody naukowiec, który zapewne studiować zaczynał przekonany o tym, że akademika jest miejscem, w którym nacisk położony być winien na pobudzenie kreatywnej wyobraźni pozwalającej odkrywać nieznaną dotąd właściwość świata, w którym żyjemy, zredukowany został przez system do wyrobnika norm wytwarzanych w procesach urzędniczego planu produkcyjnego. Stara, jeszcze średniowieczna – a to wcale nie znaczy, że niemądra – zasada, mówiąca, że uniwersytet to wspólnota ludzi bezinteresownie poszukujących prawdy, nie tylko została zarzucona, ale po prostu sponiewierana i pozbawiona znaczenia. Nie o dochodzenie prawdy bowiem w tym systemie chodzi, ale o wytwarzanie tytułów naukowych.

Z cytowanego artykułu dowiedziałem się też, że uruchomione za sprawą kolejnych „reform” ministrów Gowina i Czarnka „szkoły doktoranckie”, stanowiące miejsce owego procesu produkcyjnego, którego istotę zdaje się stanowić gromadzenie „punktów” (czym jest ten „punkt”, o tym nie sposób się dowiedzieć), pozbawione są całkowicie tego, co w wielowiekowej tradycji uniwersyteckiej było jedną z zasad niezbywalnych: możliwości terminowania u mistrzów, których

się bądź samemu wybierało i starało się o znalezienie się w ich kręgu, bądź było się przez nich do współpracy zapraszany, co zresztą stanowiło o prestiżu skupionych w takim gronie czeladników. Wyboru dokonywało się wtedy – w owych zamierzonych czasach mojej młodości – już na etapie rozpoczynającego się na czwartym roku studiów magisterskich nieopreżonych jeszcze etapem licencjackim seminarium, przy czym to studenci wybierali sobie promotorów, a nie byli im przydzielani „z rozdzielnika”, choć oczywiście nie każdy pozostawał przy wybranym mistrzu, gdyż ten po rozmowie z kandydatem mógł adepta odrzucić. Decydowały w obu wypadkach zainteresowania zarówno mistrza, jak ucznia.

Dziś to bez znaczenia – istotny jest cel, a tym celem niekoniecznie musi być opracowanie wybranego zagadnienia. Celem stał się dyplom. Temat podjęty przez magistranta czy doktoranta niemal nie ma znaczenia. Do lamusa odeszły „szkoły” badawcze, takie choćby jak światowego zasięgu matematyczna szkoła lwowsko-warszawska ze Stefanem Banachem i Hugonem Steinhausem czy odgrywająca w Polsce na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ważną rolę warszawska szkoła historyków idei z Leszkiem Kołakowskim i Bronisławem Bączką oraz Barbarą Skargą. W obecnie kształtowanych strukturach uczelnianych tego typu zjawiska są praktycznie rzecz biorąc niemal wykluczone.

Jeden z bohaterów cytowanego artykułu mówi, że „system przypomina fabrykę, w której produktem jest nauka”. Rzecz w tym, że nauka jest tu raczej produktem ubocznym, a nie zamierzonym. Produktem systemu są „osiągnięcia”, przede wszystkim zbiory „punktów”. Inna osoba podkreśla: „Najbardziej absurdalne jest to, że akredytacja uczelni zależy od osiągnięć jej kadry, czyli wystaw, publikacji, udziału w projektach czy konkursach”, na co trudno znaleźć czas. I tak to się kręci, zaś w efekcie powstają olbrzymie tomy urzędniczej sprawozdawczości dokumentujące w istocie nie naukowe osiągnięcia, lecz przede wszystkim efekty produkcji dyplomów licencjackich, magisterskich i wreszcie doktorskich.

FORUM AKADEMICKIE

Czasopismo towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach systemowych i codziennych problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiało na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

Miesięcznik informuje o wydarzeniach ze środowiska akademickiego znacznie pełniej niż gazety codzienne i portale poświęcone nauce. Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objaśniamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą.

Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stronimy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;

prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,

w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok

i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Nagroda im. Pierwszego Rektora
Uniwersytetu Łódzkiego
Prof. **Tadeusza Kotarbińskiego**

za wybitną pracę naukową
z zakresu nauk humanistycznych
www.ntk.uni.lodz.pl

Gala wręczenia nagrody laureatowi VIII edycji:
29 stycznia 2023 r., godz. 18:00,
Filharmonia Łódzka
stream: fb @nagrodatk

